



MIKE GAYLE

TRZYDZIESTKA

Tytuł oryginału TURNING THIRTY

Dla Jackie Behan i Johna O 'Reilly 'ego, moich dwojga przyjaciół, którzy, jak ja, zbliżają się do trzydziestki.

Wszystkiego najlepszego Wam obojgu.

TLR

Podziękowania

Najserdeczniejsze podziękowania składam wszystkim zainteresowanym, którzy przyczynili się do rzucenia tej pozycji na rynek. Szczególna wdzięczność jak zwykle należy się mojej żonie Claire, bez której ciężko zarobione pieniądze wymienilibyście na paręset czystych kartek papieru.

Do wszystkich zainteresowanych: Żyćcie długo i szczęśliwie.

TLR

Specjalista zauważył, że ludzie doznają urazów psychicznych wynikających z panującej w społeczeństwie obsesji „wiecznej młodości”. (...) Wiele osób po sześćdziesiątym piątym roku życia usiłuje dowieść, że są „młode duchem”, a w tym celu jeżdżą na rolkach, ćwiczą aerobik, chodzą do nocnych klubów. (...) „Wieczna młodość” została współczesnym Świętym Graalem. Młodość w środkach masowego przekazu, młodzi prezenterzy telewizyjni oraz lęk przed wizerunkiem człowieka „zbyt starego” do pracy wszystko to przyczyniło się do umocnienia opisywanej tendencji.

Artykuł z „Birmingham Evening Mail”

„Pamiętam, że kiedy stuknęła mi trzydziestka, powiedziałem sobie:
»Koniec wymówek. Muszę wyjść na prostą«".

Brad Pitt, 1999

TLR

sentyment *m IV, D. -u, Ms. -ncie; lm M. -y* 1. <**sympatia**, skłonność, uczucie do kogoś lub **czegoś; przywiązanie**> (...) 2. *rzad.* <uczuciowość, **sentymentalność**> (...)

Słownik języka polskiego PWN

TLR

NOWY JORK

TLR

JEDEN

Już mówię, o co chodzi: od dłuższego czasu ja, Matt Beckford, czekam na swoją trzydziestkę. Czekam na dzień, kiedy to z racji swych trzydziestu lat dorobię się stojaka na wino, w którym będzie wino. Niezbyt ambitne zamierzenie, moglibyście pomyśleć nie bez racji. Widzicie, kiedy w moim świecie pojawia się butelka wina, zazwyczaj jej zawartość znika w czasie od dwudziestu minut (kiepski dzień) do dwudziestu czterech godzin (mniej kiepski dzień). Nie dlatego, że jestem alkoholikiem (jeszcze nie), tylko ze względu na moje upodobanie do wina plus brak samokontroli. O co zatem chodzi? A o to (słuchajcie): stojaki na wino z samej definicji są przeznaczone na więcej niż jedną butelkę wina. Niektóre mieszczą sześć, inne aż dwanaście. Nie ma to większego znaczenia. Znaczenie mają ważkie egzystencjalne pytania, które rodzi pragnienie posiadania na własność stojaka na wino: po pierwsze, kogo tak naprawdę stać na zakup dwunastu butelek wina naraz? Po drugie, kto (zakładając, że istnieją tacy, których stać) trzymałby w domu dwanaście butelek wina, przychodził po ciężkim dniu pracy i potrafił oprzeć się pokusie wypicia wszystkiego? I po trzecie, kto w ogóle uważa, że stojak na wino to dobry pomysł?

Odpowiedź na ostatnie pytanie – a także, jeśli już o to chodzi, drugie i pierwsze – brzmi, rzecz jasna, trzydziestaki (jak nazywa ich moja dziewczyna Elaine), czyli trzydziestoparolatkowie i trzydziestolatkowie; ludzie, którzy kiedyś byli dwudziestolatkami, a teraz... już nie są. To my, którzy jako dwudziestolatkowie odejmowaliśmy sobie od ust i walczyliśmy, właśnie dlatego, żeby pewnego dnia w przyszłości zakupić rozliczne butelki wina, trzymać je na eleganckich stojakach w eleganckich kuchniach i... nie pić zawartości tych butelek. Przynajmniej nie naraz. Chcieliśmy móc popi-

sywać się tym, że w końcu, po tylu latach, nie brak nam samokontroli, upodobania do bardziej wyrafinowanych rzeczy w życiu, nawet dojrzałości.

Chciałem w to wejść. Byłem gotowy. Gotowy na podbój tego nowego wspaniałego świata! Wszystko sobie zaplanowałem. W każdym calu. Trzydziestka ma to do siebie (poza stojakami na wino), że zanim dotrzesz na miejsce, myślisz, że doskonale wiesz, jak tam jest. To kamień milowy, na który czekałeś całe życie, oznaczający, że stałeś się dorosły. Żadne inne urodziny nie mają takiej mocy. Trzynaste? Też coś! Pryszczce i *angst*. Szesnaste? Jeszcze więcej pryszczycy, silniejszy *angst*. Osiemnaste? Pryszczce, *angst* i koszmarne ciuchy. Dwudzieste pierwsze? Pryszczce, *angst* i nieco lepsze ciuchy. Ale trzydzieste? Trzydzieste urodziny to już coś. Gdzieś w domu twoich rodziców znajduje się lista (a może tylko zbiór luźnych notatek), którą sporządziłeś w wieku... eee, powiedzmy, trzynastu lat, a dotycząca niemal nierealnej daty w przyszłości, kiedy to będziesz się zbliżał do trzydziestki. Swoimi niepowtarzalnymi bazgrołami napisałeś tam: „Kiedy skończę trzydzieści lat, będę (*tu wpisać nazwę modnego zawodu*) i chcę być żonaty z (*tu wpisać imię osoby, za którą się wtedy szalało*)”. Z tego oświadczenia wynika, że już w tak młodym wieku uświadamiałeś sobie, że w życiu, jak niegdyś powiedział Freud, „liczy się tylko miłość i praca”, a myśl ta, jeśli ma się tylko trzynaście lat, prowadzi do rozważań nad dwoma istotnymi problemami:

1)Co mam zrobić ze swoim życiem?

2)Czy kiedykolwiek znajdę dziewczynę?

Co mam zrobić ze swoim życiem?

Odpowiedź na to pytanie była dla mnie oczywista, nawet gdy miałem trzynaście lat. Podczas gdy moi koledzy ze szkoły chcieli być każdym, od dziennikarza i aktora przez kierowcę ciężarówki do kosmonauty, ja przez

całe życie pragnąłem zostać programistą komputerowym. I zostałem. Poszedłem na uniwersytet, zrobiłem dyplom z informatyki i znalazłem pracę w londyńskiej firmie C-Tech, która produkuje specjalne oprogramowanie dla instytucji finansowych. No dobra, nie wymyśliłem nowych Space Invaders, Froggera ani Pac Mana, co było moim marzeniem w wieku trzynastu lat, ale przynajmniej pracuję w swojej dziedzinie. To mogłem odpfajkować.

Czy kiedykolwiek znajdę dziewczynę?

Rzecz jasna, odpowiedź na to pytanie była twierdząca (o tym później), ale z wiekiem pytanie ewoluowało: czy istnieje idealna dla mnie dziewczyna, a jeśli tak, kto to i gdzie jest? Na to było nieco trudniej odpowiedzieć, zwłaszcza że o ile dobrze pamiętam swoje późniejsze notatki, wpisałem Madonnę.

Dosyć późno zacząłem myśleć o dziewczynach (bardzo późno, zważywszy na wysoki niektórych dzieciaków), więc kiedy poważnie potraktowałem zagadnienie, poziom mojego testosteronu niebezpiecznie się podniósł. Wtedy właśnie pojawiła się Madonna. Pamiętam dokładnie, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem ją w telewizji. Wystąpiła w *Top of the Pops*, promowała *Lucky Star*, brytyjską kontynuację *Holiday*, i zwała mnie z nóg. W tamtych czasach niezbyt dobrze znano ją w Anglii i, zdaniem moich rodziców, wyglądała jak za mocno umalowana i obwieszona błyskotkami wariatka z upodobaniem do religijnej symboliki. Moim zdaniem jednak była fantastyczna. Mimo że byłem nastolatkiem z Birmingham, a ona dwudziestoparolatką z Nowego Jorku, miałem absolutną pewność, że pewnego dnia zostanie moją dziewczyną. Oto optymizm młodości! Ktoś musi być chłopakiem Madonny, powtarzałem sobie. Gdyby każdy myślał, że nie może zostać chłopakiem Madonny, nie miałyby się z kim całować, a moim zdaniem Madonna wyglądała jak ktoś, kto musi się regularnie całować.

Po paru latach wyrosłem z Madonny i zainteresowałem się prawdziwymi kobietami... na przykład Lindą Phillip o miłym uśmiechu, która siedziała obok mnie na geografii, albo Bethany Mitchell, dziewczyną w klasie wyżej, której obcisły szkolny sweterek nie zostawiał pola do popisu wyobraźni. Później jednak wyrosłem nawet z Lindy oraz, co przykre, z Bethany, i zainteresowałem się naprawdę prawdziwymi kobietami, zwykłymi, których nie trzeba wielbić, na przykład Ginny Pascoe, moją dawną dziewczyną/niedziewczyną.

Nazywam Ginny swoją dziewczyną, ale właściwie była przyjaciółką, z którą się czasem całowałem. Nigdy nie nazwaliśmy po imieniu tego, co nas łączyło między szesnastym a dwudziestym czwartym rokiem życia. Był to rodzaj niepisanej umowy. Najpierw to nawet nie była umowa, jedynie brzydki nawyk. Napędzani thunderbirdem, mocnym słodkim winem, ulubionym trunkiem nastolatków, dobieraliśmy się w parę na dyskotekach w szóstej klasie, na imprezach, czasem nawet w naszym pubie, Kings Arms. Jednak gdy tylko nadchodził poniedziałkowy ranek, w szkole Ginny i ja zawsze, bez pudła, udawaliśmy amnezję, demencję i/lub zwykłą nieświadomość tych weekendowych zbliżeń. Układ pasował nam obojgu, gdyż ja przez długi czas uganiałem się za Amandą Dixon, dziewczyną, u której miałem takie same szanse jak u Madonny w czasach przeboju *Material Girl*. Z kolei Ginny podobał się Nathan Spence, który nie tylko był dla niej równie nieosiągalny jak Amanda dla mnie, ale w dodatku miał tak zwaną reputację, co w najbardziej zadziwiających zakątkach kobiecej logiki, na jakie natrafiłem w młodym wieku jeszcze przydawało mu uroku. Nigdy nie robiliśmy problemu z naszego układu (jak wiele dziwacznych sytuacji, im dłużej trwał, tym normalniejszy się wydawał) i na szczęście nie kolidował on z naszą przyjaźnią. Byliśmy przyjaciółmi. Czasem trochę więcej niż przyjaciółmi. I tyle.

Czas uciekał, Ginny w końcu uciekła wraz z nim. Wyjechała na uniwersytet w Brighton, ja na uniwersytet w Hull. W następnej dekadzie przez moje życie przewinał się łańcuszek dziewczyn. Przy każdej myślałem,

choćby przez moment, że właśnie z nią doczekam trzydziestki. Żeby nie przedłużyć i oszczędzić sobie wstydu, oto cała lista:

Wiek: Dziewiętnaście lat

Dziewczyny w tamtym roku: Ruth Morrell (kilka tygodni), Debbie Foley (kilka tygodni), Estelle Thompson (dwa tygodnie), Anne-Marie Shakir (dwa tygodnie)

Liczba kontaktów z Ginny Pascoe: 8

Wiek: Dwadzieścia lat

Dziewczyny w tamtym roku: Faye Hewitt (osiem miesięcy),
Vanessa Wright (z przerwami **przez** dwa miesiące)

Liczba kontaktów z Ginny Pascoe: 5

Wiek: Dwadzieścia jeden lat

Dziewczyny w tamtym roku: Nicky Rowlands (niecały miesiąc) i Maxine Walsh (dziewięć miesięcy)

Liczba kontaktów z Ginny Pascoe: 3

Wiek: Dwadzieścia dwa lata

Dziewczyny w tamtym roku: Jane Anderson (dwa miesiące z hakiem) i Chantelle Stephens (trzy miesiące)

Liczba kontaktów z Ginny Pascoe: 10 (spektakularny brak samokontroli)

Wiek: Dwadzieścia trzy lata

Dziewczyny w tamtym roku: Harriet „Harry” Lane (mniej więcej dziewięć miesięcy zrywania i powrotów)

Liczba kontaktów z Ginny Pascoe: 3

Wiek: Dwadzieścia cztery lata

Dziewczyny w tamtym roku: Natalie Hadleigh (dwa miesiące), Siobhan Mackey (dwa miesiące) i Jennifer Long (dwa miesiące)

Liczba kontaktów z Ginny Pascoe: 1

Wiek: Dwadzieścia pięć lat

Dziewczyny w tamtym roku: Jo Bruton (weekend), Kathryn Fletcher (mniej więcej dziewięć miesięcy), Becca Caldicott (miesiąc)

Liczba kontaktów z Ginny Pascoe: 0 (brak kontaktu)

Wiek: Dwadzieścia sześć lat

Dziewczyny w tamtym roku: Anna O'Hagan (dziesięć miesięcy), Liz Ward-Smith (jeden dzień), Dani Scott (jeden dzień), Eve Chadwick (półtora dnia)

Liczba kontaktów z Ginny Pascoe: 0 (nadal brak kontaktu)

Wiek: Dwadzieścia siedem lat

Dziewczyny w tamtym roku: Monica Aspel (prawie rok, trochę mniej)

Liczba kontaktów z Ginny Pascoe: 0 (znajomość prawie zapomniana)

Po zdarzeniach, które pozwolę sobie nazwać „fiaskiem z Monicą Aspel” i bez Ginny Pascoe do pociechy, w wieku dwudziestu siedmiu lat doszedłem do wniosku, że co za dużo, to niezdrowo, i wpisałem się na listę chętnych do przeniesienia z biura w Londynie do filii w Nowym Jorku. W końcu, powtarzałem sobie, zmiana jest równie dobra jak odpoczynek, a mnie potrzebny był odpoczynek od kobiet, żeby moje życie zawodowe nabrało tempa. Po dwóch dniach w Wielkim Jabłku poznałem Elaine Thomas, atrakcyjną, inteligentną, trochę niezyciową dwudziestoletnią studentkę nowojorskiego uniwersytetu, która uwielbiała potrawy z fast foodów, długie rozmowy przez telefon i Anglików. Pokochaliśmy się i po idiotycznie krótkim okresie narzeczeństwa zamieszkaliśmy razem. W końcu sobie odpuściłem. Po tych latach, po tych dziewczynach, wiedziałem, z którą będę jako trzydziestolatek.

Nie z Madonną.

Nie z Ginny Pascoe.

Z Elaine. Moją Elaine. Byłem szczęśliwy. I wtedy wszystko się pochryzało.

TLR

DWA

Dzień, w którym wszystko się pochrzaniło, był zimny i mokry, wrzesień dobiegał końca. Właśnie wróciłem do domu z pracy, żeby się przekonać, że Elaine jak zwykle gada przez telefon. Uwielbiała telefon. Nie mogła bez niego żyć. Czasem wracałem do domu przed nią, niezbyt często, a kiedy przychodziła, gadając przez komórkę, machała mi na powitanie i dawała buzi, po czym kończyła pierwszą rozmowę, wykręcała drugi numer na stacjonarnym i od razu się łączyła. Zawsze mnie ciekawiło, czy to kwestia praktyki, czy też przypadek, i kiedyś ją o to zapytałem. Obdarzyła mnie swoim najpiękniejszym uśmiechem i powiedziała, z najlepszym akcentem ze Wschodniego Wybrzeża, wyjątkowo telewizyjnym, moim zdaniem: „Bill Gates ma smykałkę do komputerów. Picasso miał smykałkę do pędzla, a ja mam smykałkę do rozmów przez telefon. To mój dar dla świata”.

Rzuciłem torbę na podłogę i ucałowałem Elaine na powitanie, a ona odwzajemniła pocałunek, nie przerywając rozmowy. Nie wiedząc, co robić dalej, usiadłem obok niej na sofie i usiłowałem ustalić, z kim gada. Chyba więcej słuchała, niż mówiła, dziwne jak na Elaine. W tej rozmowie padło wiele „rozumiem”, „co zrobisz?” i „to okropne”, a także moje ulubione „aha”, które można tłumaczyć jako „bywa”, albo „wszystko jedno”, w zależności od intonacji. Tak czy siak, nie dało się wyciągnąć żadnych wniosków. To mógł być którykolwiek z kilku milionów przyjaciół Elaine. Czekałem kilka minut, aż skończy, ale wkrótce stało się jasne, że rozmowa

jeszcze potrwa, więc zniknąłem w kuchni, żeby sprawdzić, czy zrobiła obiad.

Kuchnia była nieskazitelna — dokładnie taka, jaką ją zostawiłem, kiedy posprzątałem dziewięć godzin temu i wyszedłem do pracy — i nie dostrzegłem żadnych śladów kulinarnej aktywności. Nie chodzi o to, że oczekiwałem od Elaine przyrządzenia nam posiłku dlatego, że była kobietą (już dawno temu zmusiła mnie do porzucenia wszelkiej nadziei), nie, oczekiwałem od niej przyrządzenia nam posiłku dlatego, że dziś wypadła jej kolej. Wzięła sobie dzień chorobowego, bo zasnęła, i złożyła obietnicę, że zrobi zakupy na cały tydzień, więc liczyłem na to — jak widać, zbyt optymistycznie — że może dorzuci, jakiś smakołyk".

Próbując znaleźć dowody na aktywność zakupową, przeszukałem szafki kuchenne. Nie było tam nic, co mogłoby uchodzić za smakołyk, poza torbą świderków makaronowych, słoikiem marmite'a, który przysłała mi mama, i dwóch kromek chleba, tak wyschniętych, że kiedy niechcący rzuciłem je na blat kuchenny, pękły na mnóstwo kawałków. Nie mogłem nawet liczyć na herbatę, bo torebki marki PG Tip, przysłane przez mamę (razem z marmite'em i kasetą wideo z EastEnders z dwóch tygodni) się skończyły, a ja za nic nie chciałem pić innego gatunku.

Głodny jak wilk wróciłem do salonu, żując świderek, i jeszcze raz stanąłem za swoją dziewczyną. Natychmiast podniosła pilota od telewizora, wcisnęła przycisk i wycelowała starannie wymani-kiurowany palec w ekran, jakby chciała powiedzieć: „Patrz, jakie ładne rajstopy!", czy też, bardziej precyzyjnie: „Skończę rozmawiać za godzinę, rozerwij się". Zlekceważyłem jej sugestię i zacząłem podskakiwać na sofie, żeby ją zdenerwować: nie chciałem oglądać telewizji, chciałem jej uwagi i jedzenia. Nie dostałem ani jednego, ani drugiego, rzecz jasna, a Elaine robiła, co mogła, żeby mnie zignorować. Wobec tego wstałem, jakbym chciał podejść do okna wychodzącego na naszą ulicę, i runąłem na podłogę, udając, że mdleję. Na dywanie czekałem cierpliwie, aż zareaguje na utratę przytomności swojego spraco-

wanego chłopaka. Po kilku minutach, podczas których nawet nie zrobiła sobie przerwy, nie wspominając już o zakończeniu rozmowy, ostrożnie otworzyłem oko. Natychmiast to dostrzegła i zachichotała.

— Kto to? — zapytałem bezgłośnie z podłogi.

— Twoja mama — odparła też bezgłośnie. — Jesteś? Gwałtownie pokręciłem głową. Nie dlatego, że nie lubię mamy. Bardzo ją lubię, wręcz kocham. Ale obecnie, kiedy mieszkaliśmy tak daleko od siebie, nie było mowy o krótkiej pogawędce, a poza tym dziś rano dzwoniłem do niej z pracy, uznałem więc, że obowiązek synowski został już spełniony. Do tego byłem naprawdę głodny, więc wyszeptałem do Elaine:

— Gdzie mój obiad?

W odpowiedzi uniosła brew, jakby chcąc powiedzieć: „Pytasz mnie o obiad? Zobaczmy!”, po czym zmrużyła oczy, niczym jakiś złośliwy chichlik, i powiedziała do słuchawki:

— Chyba idzie Matt, Cynthio.

Umilkła w oczekiwaniu na moją reakcję. Wręczyłem jej ulotkę z najbliższej pizzerii na wynos i swoją kartę kredytową.

— Nie, to jednak nie Matt — dodała słodko Elaine, udając, że przesuwa moją kartę przez niewidzialny czytnik. — Coś mi się wydawało. Muszę kończyć, Cynthio. Chyba słyszę domofon. Cześć. — Już miała odłożyć słuchawkę, ale nie mogła, bo moja matka wciąż mówiła. — Nie, to raczej nie jest Matt, Cynthio — dodała cierpliwie. — Ma własne klucze.

I na tym wreszcie skończyła.

—Ależ ty jesteś dziecinny, Matt — powiedziała, przewracając oczami. — Nie wiem, dlaczego od początku nie zdecydowałeś się na pizzę.

—Przecież dziś była twoja kolej na gotowanie — zaprotestowałem. — Wiesz chyba, co znaczy „twoja kolej”, prawda?

—No tak... — zaczęła, ale umilkła. Podniosła ulotkę i skupiła uwagę na ofercie. — Wygląda na to, że to moja kolej na telefon do pizzerii, prawda?

Przeglądała menu, raz za razem wypowiadając nazwę pizzy z takim smakiem, jakby było to doświadczenie co najmniej porównywalne do ucztowania.

— Na pewno twoja mama domyśliła się, że kłamię — powiedziała, z palcem na „Hawajskiej mięsnej uczcie”. — Nie chcę, żeby straciła do mnie sympatię. Wiesz, jakie to ważne, żeby wszyscy mnie lubili. Nie mogę spać, jeśli ktoś źle o mnie myśli, nawet w Anglii. — Runęła na sofę i okręciła się, żeby położyć głowę na moich kolanach. — Ostatni raz okłamuję paniąB.

—Pewnie — odparłem. — Tylko pamiętaj o tych mądrych słowach, kiedy zadzwonią państwo Thomasowie, a ty każesz mi mówić, że się kąpiesz.

—Słuszna uwaga, dobry człowieku — powiedziała Elaine, nieudolnie naśladowując angielski akcent. — Ja będę kłamać za ciebie, ty za mnie, umowa stoi. Wiedz jednak, że jeśli kiedyś trafi mnie piorun za okłamywanie twoich rodziców, to przez ciebie.

—Długo z nią rozmawiałaś?

—Chciała pogadać tylko pięć minut, ze względu na koszt. No to odzwońłam. — Zastanawiała się przez chwilę. — Jakies pół godziny.

—Z Anglią?

Znowu przewróciła oczami.

—Wiesz, ile to będzie kosztowało?

—To tylko pieniądze, Mart. Są po to, żeby je wydawać. Jeślibyś ich nie wydawał, nie byłyby pieniędzmi, tylko świstkami papieru, które nie wiadomo, do czego służą.

—Ty naprawdę w to wierzysz, prawda?

— W każde słowo — odparła z anielskim uśmiechem. Nie było sensu się z nią wyklócać. W najlepszym wypadku

zaczynało jej świtać, że nie powinna wydawać każdego zarobionego dolara, a i tak po chwili o tym zapominała. — O czym rozmawiałyście? — spytałem.

— O babskich sprawach.

— O jakich babskich sprawach? Chyba nie pytała cię znowu, kiedy będziemy mieli dzieci? — Moja mama naprawdę usiłowała zbliżyć się do Elaine, bo wbiła sobie do głowy, że właśnie ta dziewczyna obdarzy ją wnucami. — Powiedz, że nie.

Elaine wybuchnęła śmiechem.

— Broń Boże. Chciała wiedzieć, co planujesz na swoje trzydzieste urodziny i czy będziesz je spędzał w Anglii.

— Przecież to dopiero pod koniec marca!

—My, dziewczyny, lubimy być przygotowane.

—I co odpowiedziałaś?

—Że nie wiesz.

—A ona?

—Żebyś to przemyślał.

—Dlaczego rozmawiałaś o moim powrocie do domu?

—Powiedziałaś, że cię namówię, bo chciałabym zobaczyć miejsce, które nazywasz domem. Chcę zobaczyć, gdzie dorastałeś, poznać twoich przyjaciół ze szkoły. To byłoby fajne.

—Hm — odparłem niezobowiązująco, choć podobał mi się pomysł odwiedzenia domu. — I co ona na to?

—Że możemy przyjeżdżać w każdej chwili. I powinnam cię namówić, żebyś do niej zadzwonił.

—Jakim tonem mówiła?

Elaine w końcu straciła cierpliwość i rąbnęła mnie poduszką.

— Skoro tak cię to interesuje, czemu sam z nią nie pogadałeś? — Wzięła poduszkę, włożyła ją pod głowę, podniosła słuchawkę i zamówiła pierwszą lepszą pizzę.

Takie przekomarzanie się było typowe dla naszych codziennych interakcji. Trochę nas męczyło, ale zawsze rozbawiało, choć momentami czuliśmy się uwięzieni w sitcomowym świecie — czasem się zastanawiałem, dlaczego nie rozmawiamy ze sobą normalnie, jak większość par.

—Pójdę po jedzenie — powiedziała nagle. — Mówili, że będzie gotowe za dwadzieścia minut, ale ich popędzę, umieram z głodu.—Pobiegła do sypialni po płaszcz. Przeszukała kieszenie, chcąc się upewnić, że wystarczy jej pieniędzy. Otworzyła drzwi wyjściowe, a potem cofnęła się po torebkę. Nagle znieruchomiała.

—Co się stało? — spytałem, patrząc na nią. — Zapomniałaś o czymś?

Mimo że drzwi wejściowe były uchylone, wróciła i usiadła na brzegu sofy.

— Przykro mi, skarbie — powiedziała łagodnie. — Nie mogę tego dłużej ukrywać.

Nie zrozumiałem.

— Czego nie możesz ukrywać?

— Tego. Ty. Ja. My. Ja... ja już cię chyba nie Kocham. No dobrze, powiedziałam to. Możesz odejść i mnie nienawidzić.

Ku jej konsternacji z moich ust wydobył się niekontrolowany śmiech.

—Śmiejesz się ze mnie czy ze mną? — spytała, patrząc na mnie spod zmarszczonych brwi.

—Na pewno pomyślisz, że staram się odegrać. — Ja też nie spuszczałem z niej oczu. — Ale szczerze mówiąc, czuję dokładnie to samo.

A potem, dziwacznie, w tym niezwykłym porozumieniu, które osiągasz z kimś, z kim spędzasz dużo czasu i kogo uważasz za „tę osobę”, oboje wybuchnęliśmy śmiechem, szepcząc jednocześnie:

— Co za ulga.

TLR

TRZY

— No to już po wszystkim?—spytałem bezbarwnym głosem. Była druga nad ranem, Elaine i ja rozmawialiśmy o rozstaniu od siódmej wieczorem. Nie było łez ani hysterii, tylko długie milczenie, potem kilka zdumionych słów, a następnie znowu długie milczenie.

—Chyba tak — odparła Elaine. Wzruszyła ramionami i ziewając, przeciągnęła się jak kot. Zawsze uważałem, że ma w sobie coś z kota, teraz jeszcze bardziej mi się z nim kojarzyła: wyglądała jak pers, który desperacko pragnie, by ktoś podrapał go po brzuchu.

—Czy to nie... — szukałem właściwego słowa — za proste? Za... no wiesz? — W końcu wykrztusiłem właściwe słowo: — Cywilizowane?

Elaine podniosła głowę.

— Tak, masz rację — westchnęła. — Chyba masz rację. Popatrzyłem na nią w nadziei, że coś powie, cokolwiek, bo

wiedziałem, że to źle — nie rozstanie, ono było zdecydowanie dobre, ale brak dramatu. Po poprzednich rozstaniach oczekiwałem teraz, że będzie o wiele więcej żalu. Zwykła uprzejmość tego wymagała. Nasz spokój i opanowanie w stylu „na razie, dzięki za miłe chwile” martwiły mnie. Zastanawiałem się, czy to jeden ze skutków ubocznych mojego procesu dojrzewania. Już od ponad pół roku miałem dwadzieścia dziewięć lat i pragnąłem jakichś zmian związanych ze zbliżającą się trzydziestką— możliwości zapuszczenia gęstej brody bez łysych placków, nieosiągalnego stojaka na wino, życiowej partnerki — nic takiego się jednak nie stało. Może o to wła-

śnie chodzi, powiedziałem do siebie. Oto moja nowa umiejętność: przyjmuję koniec związku z podniesionym czołem, jak prawdziwy mężczyzna.

Gdybym miał dwadzieścia siedem lat, taka sytuacja by mnie bardzo przygnębiła (patrz Monica Aspel). Gdybym miał dwadzieścia dwa lata, po czymś takim zwinąłbym się na łóżku ze złamanym sercem (patrz Jane Anderson i Chantelle Stephens). Jednak to odrętwienie, ta dziwaczna bierność była nowa. Może ten dar wiązał się z trzydziestką. Miałem wytłumaczenie, lecz Elaine była zaledwie dwudziestodwulatką.

— Czy nie powinno być więcej... krzyków, zgrzytania zębami? — zapytałem po chwili, podając jej kawę przygotowaną chwilę wcześniej. — Czy jedno z nas nie powinno błagać drugiego o szansę?

Oddała mi kubek i uklękła.

—Zostań ze mną, Matt! Nie możemy się teraz rozstawać! Co ja bez ciebie zrobię? — Usiłowała wstać, ale nie mogła, tak się śmiała. — Masz rację. To trochę przykre, kiedy ja mówię: „Powinniśmy się rozstać”, a ty na to: „Okay”. Nie chodzi o to, że cię nie kocham — dodała, patrząc na mnie z mieszaniną powagi i ironii. — Kocham. Wiesz, że tak. Nie mogłabym z tobą być, mieszkać przez ostatnie półtora roku, nie kochając cię — to po prostu... głupie. Chodzi o to, że przez ostatnie pół roku musiałeś to czuć. Namietność minęła. Bardziej przypominaliśmy... sama nie wiem... rodzeństwo.

—Migotka i Pannę Migotkę.

—Jasia i Małgosię — dodała.

—Jacka i Placka — oświadczyłem.

—No właśnie — przytaknęła, biorąc kawę. Przez chwilę ją popijała. — Ostatnio, kiedy na ciebie patrzę, nie tyle myślę o zdzieraniu z ciebie ubrania, ile o tym, że przydałoby się je wyprasować.

—Masz rację — przytaknąłem. — Ja też cię kocham, ale muszę przyznać, że nie jestem w tobie zakochany. Rano, kiedy przygotowujesz się do

wyjścia i rozpaczliwie szukasz w szafie odpowiedniego stroju, ubieram cię w myślach. Zanim zdecydujesz, co włożyć, ja już widzę cię w grubym swetrze z golfem, płaszczu do kolan i szaliku.

— Jak sądzisz, co to wszystko oznacza? — zapytała, jakby naprawdę zależało jej na odpowiedzi. — Myślisz, że takie opanowanie jest normalne?

Wzruszyłem ramionami.

—Nie sędzę. Za każdym razem, kiedy któreś z moich znajomych z pracy kończy związek, a potem pytam obie strony, co się stało, odpowiadają: „To obustronna decyzja”, zupełnie, jakby oczekiwali, że wręczę im za to odznakę. Myślę jednak, że tak naprawdę my jesteśmy pionierami w zrywaniu za porozumieniem stron.

—Dziwne — westchnęła Elaine. — Skąd mamy taką umiejętność i dlaczego nią nie dysponowałam, kiedy była mi potrzebna? Kiedy miałam czternaście lat? — Wstała i zniknęła w kuchni, po czym wróciła z paczką ciastek oreo, które zaczęła zjadać, jedno po drugim. W połowie czwartego wrzasnęła nagle: — Mam! — I zamachała ciastkiem nad stolikiem do kawy.

—Co masz?

—Odpowiedź — odparła. — To biologia. Nawet na poziomie komórkowym jesteśmy zaprogramowani na przedłużanie gatunku, prawda?

Skinałem głową.

— I mimo zachęty twojej mamy nie mamy ochoty go przedłużyć, prawda?

Znowu pokiwałem głową.

— Dlatego nie jest nam smutno. Biologia mówi nam, że nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem.

CZTERY

Była jedenasta rano w sobotę, a my dopiero skończyliśmy jeść śniadanie. Minęło pięć dni od naszej decyzji o rozstaniu i teraz spałem na sofie (alias Piekielnej Sofie), co tłumaczyło koszmarnie bóle mojej szyi. We wtorek powiedziałem Paulowi Barronowi, swojemu przełożonemu, że chcę się przenieść z Nowego Jorku do innego przedstawicielstwa, najlepiej nie w Stanach. Choć dobrze mi tu było i zaprzyjaźniłem się z kilkoma osobami, wiedziałem, że po rozstaniu z Elaine wcale nie chcę zostawać w Ameryce. Potrzebowałem odmiany.

— Matt — oświadczył mój szef w odpowiedzi na tę prośbę — wypracowałeś sobie tu taką pozycję jako kierownik działu projektów oprogramowania, że świat stoi przed tobą otworem.

Chciał przez to powiedzieć, że, ponieważ jestem dobry w tym, co robię (jestem), mogę sobie wybrać każde z europejskich przedstawicielstw firmy: w Londynie, Paryżu, Mediolanie i Barcelonie.

— Dzięki, Paul — odparłem. — To... to miło.

Wtedy spytał mnie, dokąd chcę się przenieść. Musiałem wyglądać naprawdę głupio.

— Nie wiem — odparłem. — Wiem tylko, że chcę się przenieść.

Uśmiechnął się, kazał mi to przemyśleć i wrócić.

Spojrzałem na Elaine znad pustego talerza. Jeszcze jej nie mówiłem o swoim wyjeździe. Myślę, że czekałem na odpowiednią chwilę, a ta jeszcze nie nadeszła. Elaine miała na sobie niechlujne domowe wdzianko: ziemioszary podkoszulek, w którym chodziła kiedyś na jogę, i brązowe szorty firmy Gap, kupione za czasów, gdy brąz był nową czernią. Nie włożyła skarpetek i skubała ciemnoczerwony lakier na paznokciach u stóp. Nikt, kto by ją teraz zobaczył, nie odgadłby, że pracuje dla jednej z najmodniejszych, aczkolwiek nie najważniejszych, firm public relations w Nowym Jorku. Od poniedziałku do piątku starannie wbijała się w modny, lecz stylowy strój. W soboty robiła sobie wolne.

— O czym myślisz? — spytała.

Najwyraźniej nieco zbyt intensywnie zastanawiałem się nad swoimi przenosinami.

— Co o tym przesądziło? — spytałem, żeby uniknąć rozmowy na ten temat. — Czy jakaś jedna rzecz, czy też mnóstwo różnych drobiazgów?

— Chyba ten film, który w zeszłym tygodniu oglądaliśmy razem z Sarą i Jimmym — odparła, nadal bawiąc się palcami u nóg.

— *Angielski pacjent*? Skinęła głową.

— Po prostu dał mi do myślenia. No wiesz, żona tego biednego Angoła ucieka z węgierskim pilotem i to ma być romantyczne? No wiesz, romanse, to takie... plugawe, błę. Chodzi mi o to, że... Znasz Emily? — Emily była jedną z jej koleżanek z pracy. — Rozstała się ze swoim chłopakiem, Jezem, bo mu odbiło, bez przerwy głądził o tym, że za mało zrobił w życiu.

— Pewnie okazało się, że to, co Jez chce robić — i co faktycznie robi — to przelecenie większej liczby kobiet.

— Potem wdawała się w zyliony romansów ze wszystkim, co ma owłosioną klatę i kartę członkowską siłowni.

— Zyliony? — Skrzywiłem się.

— Miliony zylionów — odparła. — Miliony. — Umilkła. — Po prostu straszne, prawda? Znudziła się sobą, ale bali się zerwać, kiedy nadeszła pora, i woleli cierpieć przez wiele miesięcy, ciągnąc to bez sensu. — Przez chwilę milczała. — Matt, musiałeś wiedzieć, że dotarliśmy do tego momentu.

— Naprawdę? — Usiłowałem podchwycić jej spojrzenie, ale nie patrzyła na mnie. Nie przestawała się bawić palcami u stóp.

— Może nie dokładnie do tego momentu, ale z pewnością do etapu, w którym zaczynaliśmy zerkać na innych — ja na przystojnego gońca z dreadami, który zawsze uśmiecha się do mnie w windzie, a ty na dziewczynę w delikatesach, tę z kolczykiem w pępku, która zawsze daje ci większe kanapki, bo wpadłeś jej w oko.

— Jaką znowu dziewczynę? Elaine zmrużyła oczy.

— Wymyśliłam ją. — Zachichotała. — Zanim którekolwiek z nas zdałoby sobie z tego sprawę, zerkanie zamieniłoby się w tęsknotę, potem zechcielibyśmy coś z tym zrobić, a nie chcę tak kończyć. Nie chcę. Jesteśmy ponad to. Tak przynajmniej zachowamy kontrolę. Rozstaniemy się z godnością. — Po chwili dodała z namysłem: — Nigdy nie byłam dziewczyną twoich marzeń, prawda? Ani ty facetem moich. Po prostu się zeszliśmy. Musisz wiedzieć, że gdybyśmy zostali ze sobą i nagle pojawiłby się mój wymarzony facet...

—Zawadzałbym ci.

—I vice versa.

Miała absolutną rację. Zawsze uważałem, że Elaine (która zaczęła mnie tekstem: „Lubię Angoli”) o wiele bardziej pasowałaby do kogoś wyższego, o bardziej męskim wyglądzie i wielkich dłoniach, po szkole z internatem, być może do dalekiego krewniaka członka rodziny królewskiej. Co do mnie, chyba wyglądam jak ktoś, kto powinien związać się z jakąś twórczą osobą, pieśniarką, artystką, tancerką—kobietą, która jest trochę stuknięta. Nie kompletnie nienormalna, ale odjechana w stylu Janis Joplin. Z taką, która latem biega bez butów i w regularnych odstępach czasu usiłuje popełnić samobójstwo.

— Chcesz powiedzieć, że gdybyśmy pożyczili Dumą i uprzedzenie zamiast Angielskiego pacjenta, nadal bylibyśmy razem? No, to już przesada.

Zachichotała, jakbym ją połaskotał.

—Nie — odparła, kiedy jej przeszło. — I tak by do tego doszło. Ale zamiast tego, co mówiłam na temat Angielskiego pacjenta, uświadomiłabym sobie, że nigdy nie będziesz moim panem Darcym.

—A ty moją Elżbietą Bennet.

PIĘĆ

— Walczyliśmy ze sobą od zarania dziejów — oświadczyła z żalem Elaine.— Robimy mnóstwo rzeczy, które działają temu drugiemu na nerwy.

Było wpół do ósmej rano, Elaine i ja szliśmy do metra, by jechać do pracy. Minęły już cztery tygodnie, z moim kręgosłupem było zdecydowanie lepiej — teraz spałem w naszym łóżku. Elaine przeniosła się na Piekielną Sofę, bo miała wyrzuty sumienia z powodu moich problemów. Na początku tygodnia Paul Barron zabrał mnie na lunch i powiedział, że zatwierdzono moją prośbę o przeniesienie i mogę to zrobić, gdy tylko poinformuję kadry dokąd. Przez całą godzinę usiłował przekonać mnie do pozostania, co jednocześnie mi pochlebiało i mnie zawstydzalo. Powiedziałem, że dam mu znać, dokąd pojedę, gdy tylko się zdecyduję. Długo ścisnął moje ramię, pewnie chciał przez to powiedzieć: „Dobrze było mieć takiego faceta w swoim zespole”, ale przypominało to śmiertelny chwyt Wulkanu. Jeszcze wiele godzin później czułem klucie w kręgosłupie.

—Zerwanie to rozsądne wyjście — powiedziałem, gdy schodziliśmy do metra.

—Bez wątpienia. — Pokiwała głową. — Byłam okropną dziewczyną. Chyba najgorszą, jaką można sobie wyobrazić. Nie gotuję, nie sprzątam, rozwieszam bieliznę na kaloryferze, co cię strasznie wkurza.

To prawda, Elaine była okropną dziewczyną. Nie tylko robiła to wszystko, ale do tego kupowała dziwne egzotyczne rzeczy, takie jak anyż gwiazdzisty albo kumkwaty, obiecując solennie, że „coś” z nich zrobi. Potem kładła je do miski w kuchni, gdzie sobie spokojnie gniły.

Zeszliśmy na peron i czekaliśmy na pociąg D. Jak zwykle panował tu nieprawdopodobny tłok. Szybko rozejrzałem się wokół. Wszędzie stali ludzie czytający gazety, ludzie usiłujący czytać gazetę osoby obok, ludzie jedzący ciastka i ludzie zagapieni w przestrzeń. Myślę, że byliśmy jedynymi ludźmi roztrząsającymi rozpad swojego związku.

— Ja też nie byłem idealny — odezwałem się, podejmując rozmowę.

— Nie byłeś — potwierdziła ze spokojem. — Ale przynajmniej próbowałeś. Tak czy owak, jesteś już wolny. Możesz szukać partnerki doskonałej.

— A jaka ona będzie, ta Panna Doskonała?

— Hmm, pomyślmy. Jaki typ ci się podoba? — Zastanawiała się przez chwilę. — Starsza ode mnie, raczej w twoim wieku — żeby rozumiała twoje aluzje bez tłumaczenia. Dobrze ubrana, ale nie za bardzo trendy, żebyś czuł się przy niej swobodnie. A kiedy popatrzysz jej w oczy, będziesz miał wrażenie, że jesteś w domu. — Umilkła i dodała. — I będzie miała dwa szczeniaki tak urocze, że oszalejesz na ich punkcie.

— Interesujące — mruknąłem. — Bardzo interesujące.

— A co z moim następnym absztyfikantem? — spytała Ela-ine, przeciągając słowo „absztyfikant”, jakby chciała powiedzieć: „Będzie mi brak ciebie i twoich dziwnych angielskich słów”. — Jaki będzie mój następny facet?

Pociągnąłem nosem, po czym podrapałem się po brodzie i wykonałem całe mnóstwo gestów, które zazwyczaj się wykonuje, myśląc nad odpowiedzią.

— No dobrze — powiedziałem, kiedy moje zachowanie zdążyło ją zde-
nerwować. — Ma mniej więcej dwadzieścia jeden lat, może dwadzieścia,
Jeszcze studiuje. Teatrologię. Ma też kupę modnych kolegów, aktorów i
pisarzy, a w weekendy jest didżejem w klubie w centrum miasta. W sobot-
nie wieczory będziecie gadali aż do niedzieli rano. I przy nim będziesz się
czuła jak centrum wszechświata. Elaine uniosła brew.

— Nieźle, proszę pana, całkiem nieźle. Czytałeś mój pamiętnik?

— Nie — odrzekłem. — To *nie* takie trudne. Usiłowałem myśleć o kimś,
kto nie jest mną.

Przyjechał pociąg, wepchnęliśmy się przed innymi i dotarliśmy do
ostatnich dwóch wolnych miejsc, naprzeciwko siebie. Usiedliśmy, wagon
się wypełniał, aż na każdego siedzącego przypadał jeden stojący pasażer,
pochylony nad nim i kiwający się w rytm kołysania *pociągu*. Elaine wyjęła
powieść, więc uznałem, że pewnie skończyliśmy rozmowę, ale po chwili
przerwała czytanie i położyła książkę na kolanach.

— Matt? — Ten pytający ton sugerował, że to ja jestem odpowiedzialny
za jej brak koncentracji. — Skoro wiedziałeś, że się nam nie układa, czemu
nic nie mówiłeś?

— Hmm. — Grałem na zwłokę. — Dobre pytanie. ' Zwlekałem, bo od-
powiedź była bardzo prosta: zbliżałem się do trzydziestki. Elaine miała być
tą kobietą, u której boku skończę trzydzieści lat. Wszystko już sobie zapla-
nowałem. To, że nam się nie układa, nie zaprzętało zbytnio moich myśli.
Wiedziałem tylko, że muszę trzymać się planu i nie zostać sam. Właśnie z
tego powodu dostrzegłem nadzieję tam, gdzie już jej nie było. Chciałem ra-
tować coś, co już nie nadawało się do ratowania.

— Pszczoły — powiedziałem w końcu, kiedy zauważyłem, że kobieta w
średnim wieku, siedząca obok mnie, nie koncentruje się już na komenta-

rzach w „New York Post”, ale każdą tkanką swojego ciała usiłuje wsłuchiwać się w naszą rozmowę. — A właściwie okaleczone trzmiele.

— Trzmiele? — zdumiała się Elaine.

— Tak, te wielkie, puchate. — Westchnąłem, odwróciłem się do kobiety od „New York Post” i wpatrywałem się w nią tak długo, aż załapała. — Jako dziecko strasznie się przejmowałem zdychającymi trzmielami w ogrodzie. Mój pięcioletni mózg nie mógł się pogodzić z tym, że coś tak ładnego i puchatego, coś, co pomaga w ogrodzie, przestaje istnieć. Kiedy więc widziałem umierającą pszczołę, próbowałem jej pomóc. Kładłem ją na brzegu półmiska pełnego wody z cukrem i zachęcałem, żeby się napiła, to się jej poprawi.

— Pomagało?

— Nie. Zawsze... — Przerwałem w połowie zdania. Kobieta od „New York Post” znów nasłuchiwała. Ponownie wbiłem w nią wzrok, aż w końcu zasłoniła się gazetą. — Usiłuję powiedzieć, że ty i ja — nasz związek — przypominał zdychającą pszczołę. Pewnie miałem nadzieję, że będzie lepiej. Kiedy jednak ogłosiłaś koniec, zrozumiałem, że już po wszystkim. Niezależnie jednak od tego, jak nieuchronne coś się wydaje, nadejście końca zawsze jest szokiem. — Popatrzyłem na Elaine, miała łzy w oczach. — O co chodzi?

— O pszczoły — odparła cicho. — To najbardziej kretyńska analogia, jaką kiedykolwiek słyszałam.

SZEŚĆ

Byłem gotów do wyprowadzki *trzy miesiące* po naszej decyzji o rozstaniu. Tuż przed Gwiazdką *miałem jeszcze* jedno spotkanie z szefem. Postanowiłem mu *oznajmić*, że decyduję się na powrót do Londynu, ale złożył mi *propozycję*, której nie potrafiłem odrzucić. Firma planowała *otworzyć* nowe biuro w Sydney, chcieli awansować mnie na konsultanta projektów, żebym doglądał powstawania zespołu do oprogramowania. Umowa początkowo miała obejmować okres od sześciu do dwunastu miesięcy, na dzień dobry dostawałem dwukrotnie wyższą pensję. Była to moja wymarzona praca dla trzydziestoparolatka, a także trzydziestoparolatkowe pieniądze.

Doskonale. Prawie. Jedyne problemy polegały na tym, że projekt ruszał za dwa miesiące, a ja byłem potrzebny jeszcze miesiąc później. Słowem, trzy miesiące w zawieszeniu. Szef sugerował, żebym poczekał w Nowym Jorku, ale *oznajmiłem*, że to wykluczone, i zaproponowałem, że na pewien czas pojedę do biura w Londynie. Wyglądało na to, że znalezienie mi pracy na trzy miesiące spowoduje zbyt wiele problemów. Pod koniec trzygodzinnego spotkania wpadłem na znakomity pomysł: wykorzystam te trzy miesiące jako bezpłatny urlop naukowy. Zgodzili się.

Po ośmiu latach pracy chciałem odpocząć. Potrzebowałem tego. W przeciwieństwie do większości moich kolegów z uniwersytetu, nie brałem urlopu naukowego ani przed, ani po dyplomie, a ponieważ poszedłem do

pracy od razu po studiach, pojęcie wakacji również było mi obce. Miałem dość pieniędzy na kontach bankowych, żeby przeżyć nawet i pół roku, więc nic nie mogło mnie powstrzymać.

—Co zrobisz? — chciał wiedzieć mój szef. — Będziesz leżał na plaży? Podróżował?

—Nie — odparłem z takim przekonaniem, że aż mnie to zaszokowało. — Zamierzam jechać do domu. Do Birmingham: odwiedzić rodziców, zobaczyć się ze starymi przyjaciółmi i świętować trzydziestkę.

Istniało, rzecz jasna, mnóstwo powodów, dla których mój świetny pomysł był beznadziejny, a wszystkie dotyczyły moich rodziców. Trzy najważniejsze:

1) Świadomość, że rodzice bez wątpienia doprowadzą mnie do szału, jeśli spędzimy ponad dwadzieścia cztery godziny pod jednym dachem.

2) Brak w języku angielskim słów, dzięki którym oświadczenie „Znów wprowadzam się do rodziców” zabrzmiałoby choć trochę czadersko, kiedy ma się dwadzieścia dziewięć lat.

3) A bo ja wiem. Dwa pierwsze wystarczą.

Pomimo to — konflikt pokoleń, zero czaderstwa — wiedziałem, że muszę jechać do domu. Gdyby życie było labiryntem, w którym trzeba znaleźć drogę, wtedy mój wyjazd za Atlantyk i związek z Elaine okazałby się męczącym spacerem po długiej, wyboistej ślepej uliczce. Teraz należało wrócić do domu, do początków. I tak podjąłem decyzję. Jechałem do domu na odpoczynek, nie tylko od pracy, ale i od życia. Zamierzałem mieszkać z rodziną, pozwalać, żeby mama koło mnie skakała, a ojciec pouczał, jak dbać o ogród. A po trzech miesiącach — już po trzydziestce — będę gotowy na nowe życie w Australii.

Taka była moja misja.

TLR

SIEDEM

Ostatni dzień w Nowym Jorku nadszedł szybciej, niż sądziłem, a ostatnie godziny jeszcze szybciej. Cały dzień pakowałem rzeczy i właśnie byłem w trakcie wrzucania skarpet i laptopa do torby podróżnej, kiedy Elaine, która przed chwilą wróciła z pracy, zapukała do drzwi sypialni i weszła. Ze smutkiem zauważyłem, że nie rozmawia przez telefon, jak zazwyczaj. Ten wieczór, mój ostatni wieczór, był wyjątkowy.

— Cześć— powiedziała cicho i położyła torebkę na łóżku.

— Cześć — odparłem równie cicho. — Co w pracy?

— W porządku. Wiesz, że dziś była ta sesja zdjęciowa produktu? Martha przyszła na plan z pomarańczowymi włosami. — Martha była jedną z niezliczonych przyjaciółek Elaine. — Prze-farbowała je, bo założyła się ze swoim chłopakiem.

— Wariatka— oznajmiłem z udawanym niedowierzaniem. Zaśmiała się, a kiedy śmiech zmienił się w uśmiech i jej oczy

zabłyły, widziałem, że chciałyby jeszcze ze mną poplotkować, opowiedzieć o wszystkim, jak zwykle. Wtedy jej spojrzenie padło na torby podróżne na łóżku i uśmiech zniknął. Błysk w oku także.

— A co u ciebie? — spytała, siadając na skraju łóżka. Wzruszyłem ramionami.

— Masz wszystko, czego potrzebujesz? — Elaine emanowała teraz tą nieukierunkowaną energią, typową dla ludzi, którzy nie wiedzą, co zrobić, ale koniecznie chcą się do czegoś przydać.

— Tak, chyba tak — odparłem, chociaż wcale nie byłem tego pewien.

— A szczoteczkę do zębów?

— Masz rację. Słusznie. Nie wziąłem. — Wyszedłem do łazienki i wszędzie szukałem szczoteczki, jednak nigdzie jej nie znalazłem. Wróciłem do sypialni. — Nie wiem, gdzie jest.

— Na radiu w kuchni — powiedziała, nie patrząc na mnie. — Tam, gdzie ją zostawiłeś.

Zniknąłem w kuchni i parę chwil później powróciłem ze szczoteczką w dłoni.

— Będzie mi tego brakowało — oświadczyła Elaine, gdy wrzucałem szczoteczkę do torby.

— Czego?

— Tłumaczenia ci, gdzie są twoje rzekomo zaginione rzeczy. Nic na to nie poradzę, ale czuję, że nic nigdy nie znajdziesz, kiedy zostaniesz sam.

Najwyraźniej całkiem zapomniała, że zawsze to ja znajdowałem jej zaginione rzeczy, ale widać było, że ma dobre intencje. Teraz, przy rozstaniu, chciała pozostawić po sobie wrażenie, że świetnie sobie z tym radziła. Kiedy rozglądałem się wokół, żeby nabrać pewności, że niczego nie zostawiam, chodziła za mną, wręczając mi przegapione przeze mnie rzeczy, właściwie niezbędne do przeżycia. Godzinę później moja wkrótce była dziewczyna i ja staliśmy przy kontroli paszportowej na lotnisku JFK.

— Zadzwoń, kiedy dolecisz do Anglii.

Skinałem głową, po czym zamarłem. Jakoś to do mnie nie pasowało. W przeciwieństwie do Elaine, nie byłem wielkim fanem telefonów.

— Napiszę do ciebie e-mail do pracy — zasugerowałem. — Będziemy transatlantyckimi korespondencyjnymi kumplami... i dzięki temu mniej zapłacisz za rachunek telefoniczny.

To ją najwyraźniej pocieszyło, więc podniosłem torby i odwróciłem się, żeby odejść. W tym samym momencie zakwestionowałem to, co dotąd uważałem za pewnik.

Czy było to rozstanie za obopólną zgodą?

Czy miało cokolwiek wspólnego z trzydziestką na karku?

A może bez walki rezygnowałem z najlepszego, co mogło mi się przytrafić?

Moja zmiana nastawienia musiała być oczywista, bo Elaine po raz pierwszy od początku tego trzymiesięcznego zrywania wybuchnęła prawdziwym płaczem. Nie usłyszałem jednak „zostań” ani „nie jedź”. Pocałowała mnie tylko, długo i namiętnie, i powoli odeszła.

BIRMINGHAM

MIESIĄC PIERWSZY

Data: 9 stycznia

Dni do trzydziestych urodzin: 81

Psychika: chyba nie najgorzej

TLR

OSIEM

—Dokąd? — spytał taksówkarz, kiedy wrzuciłem torbę podróżną oraz walizkę do czarnej taksówki i usiadłem na lśniącej kanapie.

—Marlborough Road, King's Heath — odparłem ostrożnie. Było w nim coś znajomego, ale nie umiałem sprecyzować co.

Ruszyliśmy.

— Wakacje, co?

—Nie — odparłem. — Wróciłem z Nowego Jorku, tam mieszkam, to znaczy, mieszkałem.

—Mam kuzyna w Waszyngtonie — oznajmił, nie wiadomo po co.

— Naprawdę?

— Tak. — Zerknął na mnie w lusterku. — Nigdy go nie lubiłem. Zawsze wydawał mi się nadęty. Jak wszyscy z tamtej gałęzi rodziny. — Pstryknął się palcem w nos: albo próbował usunąć jakiś paproch, albo chciał pokazać, że rodzina tego krewniaka zadziera nosa. Zaśmiał się i musnął palcami kierownicę.

Przez resztę podróży milczał i tylko stukał paznokciami w futrzaną nakładkę na kierownicę w rytm muzyki z pirackiej radiostacji. Ja wyteżałem umysł, ale nadal nie przychodziło mi do głowy, skąd go znam, więc gapiłem się na widoki za oknem.

Birmingham, jak większość przemysłowych miast, poddano liftingowi, ale metamorfoza była szybka i przymusowa — ledwie rozpoznałem miasto. Zupełnie jakby jego mieszkańcy mieli dość wytykania go palcami i kazali

mu coś ze sobą zrobić. Jednakże mimo wręcz komicznego statusu Birmingham w narodzie zawsze odczuwałem dumę, że stąd pochodzę — właśnie dlatego, że było to takie zabawne. Trudno traktować samego siebie zbyt poważnie, kiedy cała Anglia *uważa*, że przyszedłeś na świat po to, żeby wszystkich bawić.

Tak właśnie było podczas moich pięcioletnich studiów w Londynie. Kiedy ktoś słyszał mój akcent, uważał, że ocieram się o upośledzenie umysłowe i mówił do mnie b-a-r-d-z-o p-o-w-o-l-i albo oczekiwał, że zacznę się zachowywać jak współczesny dworski błazen: kazali mi mówić takie słowa jak chromosom (chromozom), moglibyśmy (mogłybyśmy) i pierścień (pierz-dzień), żeby mój akcent prezentował się w całej krasie. W pewnym momencie czułem, że muszę tłumaczyć wszystkim nowo poznanym osobom, dlaczego pochodzę z Birmingham, jakby to było jakieś upośledzenie, kłątwa albo beznadziejnie głupi dowcip. Nie przeszkadzało mi to. Właśnie tu się urodziłem i jakaś część mnie zawsze będzie kochała to miasto.

—Przepraszam, stary — odezwał się taksówkarz, wdzierając się w potok moich myśli. — Nie nazywasz się przypadkiem Matt Beckford?

—Tak — odparłem ostrożnie.

—Wiedziałem! — mruknął. — Odkąd wsiadłeś, usiłuję sobie przypomnieć, skąd cię znam.

—I skąd mnie znasz?

—Nie będziesz mnie pamiętał. — Przyciszył radio. — Chodziłem do tej samej szkoły co ty, King's Heath. — Odwrócił się i podał mi rękę. — Tony Goddard.

To nazwisko coś mi mówiło.

—Młodszy brat Dave'a Goddarda?

—I owszem.

—Dave Goddard — zadumałem się. — Tego nazwiska nie słyszałem od lat. — W czasach szkolnych Dave Goddard był tym chłopcem, który zapowiadał się na neurochirurga. — Co u niego?

—Jest w Kanadzie — odparł taksówkarz. — Dokładnie w Toronto. Poznał tam na wakacjach dziewczynę i wyniósł się jakieś pięć lat temu. Ma trójkę dzieci i ogromny dom. Naprawdę dobrze mu się żyje.

— Jest neurochirurgiem? — Nie mogłem się powstrzymać.

— Był taki bystry, że zawsze mu to wróżyliśmy. Taksówkarz się roześmiał.

—Wiem, o co ci chodzi. To prawda, był najbystrzejszy z całej naszej rodziny. Ale nie, jest prawnikiem. Specjalistą od prawa handlowego.

—A ty jesteś jego młodszym bratem?

—Miałem tylko dwanaście lat, kiedy chodziliście do King's Heath. Ty i mój brat byliście w ostatniej klasie, ja w pierwszej. — Zachichotał. — Coś ci powiem.

—Co?

—Nieżyły byłeś w tamtych czasach. Krążyły o tobie różne fajne historie.

—Wątpię — mruknąłem, zakłopotany.

Żeby to udowodnić, przytoczył kilka legendarnych wydarzeń, w których rzekomo miałem brać udział, poczynając od głośnego protestu z powodu niejadalnych obiadów szkolnych (prawda: zawiesili mnie na dwa tygodnie), przez mój striptiz na szkolnym boisku (fałsz: bezpodstawne pomówienie), a kończąc na zorganizowaniu przeze mnie telegramu z pocałunkiem, dostarczonego przez dziewczynę w mundurze policyjnym na czterdziestkę pana Fredericka, naszego nauczyciela (nie do końca prawda: rzeczywiście to zorganizowałem, ale szkolna sekretarka połapała się, co jest grane, i nie wpuściła dziewczyny). Dziwnie się słuchało, jak taksówkarz opisuje te wydarzenia z nabożną czcią, jakby mówił o pierwszym człowieku na Księżycu albo upadku muru berlińskiego. Podejrzewam jednak, że kiedy ma się zaledwie dwanaście lat, każdego interesują takie epokowe wydarzenia jak seks, golizna i protesty.

— To były piękne dni — przyznałem. — Pewnie najlepsze w życiu. Ale nie byłem najpopularniejszym dzieciakiem w szkole. Byłem taki jak inni, usiłowałem przeżyć.

Pogadaliśmy o dawnych czasach, wymieniliśmy informacje. Ja opowiedziałem mu o swoim życiu i o tym, co porabiam. On powtórzył mi to, co doszło do niego pocztą pantoflową o kilku osobach z mojej klasy. Już dawno zapomniałem nazwiska, które wymieniał. Peter Whittacker (dawniej zapowiadał się na zawodowego sportowca) został kierownikiem handlowym w firmie zajmującej się wstawianiem podwójnych szyb; Gemma Piper (dawniej zapowiadała się na kandydatkę do Oksfordu i nowego Kennetha Branagha) mignęła gdzieś w telewizyjnej reklamie proszku do czyszczenia; Lucy Dunn (dawniej zapowiadała się na miłą nudziarę przez całe życie) *była* teraz producentką radiową w BBC Pebble Mili; i Chris Adams (zawsze śmierdział sikami) został kierownikiem sklepu ze zdrową żywnością. Takie nowiny usłyszałem.

— To tu — powiedziałem, kiedy skręciliśmy w ulicę rodziców. — To ten z nienagannym trawnikiem. — Zahamował. — Ile płacę?

— Nic. — Wyzerował taksometr.

— Nie możesz tego zrobić — powiedziałem. Był bardzo uprzejmy, ale nie czułbym się dobrze, gdyby na to przystał. Uznałem, że jestem mu winien koło dziesięciu funtów, więc wyjąłem z portfela banknot i próbowałem mu go wręczyć.

— Nie przyjmę tego — zaprotestował. — Mowy nie ma.

— No to wielkie dzięki — odparłem. — Miły gest na powitanie.

Uparł się, że pomoże mi wyjąć bagaż, po czym uścisnęliśmy sobie dłonie. Odjeżdżając, nacisnął klakson i pomachał.

Kątem oka zauważyłem, że firanki w oknach obu sąsiednich domów ruszają się jak szalone. W przeciwieństwie do Londynu, gdzie przez cały czas ktoś wskakuje do czarnej taksówki albo z niej wyskakuje, na ulicy rodziców taksówka służyła mieszkańcom tylko do jazdy na lotnisko na wczasy

zorganizowane, ewentualnie do powrotu z lotniska. Moje pojawienie się w taryfie — rodzice mieszkali tak blisko trasy autobusu numer pięćdziesiąt, najpopularniejszej trasy autobusowej w Europie — było przejawem bezmyślnej dekadencji.

Zaprawdę, powrócił syn marnotrawny.

TLR

DZIEWIĘĆ

Kiedy stałem przed drzwiami, z palcem zawieszonym nad przyciskiem dzwonka, przyszło mi do głowy, że może powinienem był zadzwonić do domu, żeby uprzedzić rodziców o swojej wizycie. I to nie jakiejś krótkiej wizycie, ale takiej, która potrwa mniej więcej trzy miesiące. Nawet myślałem o tym, żeby im powiedzieć, ale nic z tego nie wyszło, bo musiałbym przyznać, że rozstałem się z Elaine, co doprowadziłoby ich do konkluzji, że w najbliższej przyszłości najstarszy syn nie dostarczy im wnuków.

Przycisnąłem dzwonek i czekałem. Przez szklaną tafelę w drzwiach dostrzegłem, że zbliżająca się postać to mój ojciec.

— No co tam, tato? — odezwałem się radośnie, gdy tylko otworzył drzwi. — Wróciłem!

Stojąc na progu w kapciach w czerwoną kratę, z grabkami w ręce, tata spoglądał na mnie podejrzliwie. Widziałem po jego minie, że moja obecność wpędziła go w pewną konsternację. „Matt przyjechał”, mówiła jego twarz. „Po co?”

— Matthew? — odezwał się w końcu, zapewne chcąc się upewnić, że nie jestem oszustem.

— Tata? — odparłem tym samym tonem.

— Co ty tu robisz?

Nie za bardzo przejąłem się niezbyt wylewnym powitaniem ojca. Lubił konkretne wyjaśnienia, potem się zastanawiał.

— Dostarczam mleko. — Mrugnąłem do niego. — Podobno się wam skończyło. Pomyślałem sobie, że przylecę z Ameryki i przywiozę wam dwa kartony półtłustego.

Tata zaśmiał się i mocno uściśnął mi rękę. Nie lubił się przytulać nawet do kobiet, ale dłonie ścisnął chętnie. Wciąż stojąc w progu, zauważył:

—Masz ze sobą bagaże. Skinąłem głową.

—Zostaniesz na trochę, tak? Ponownie skinąłem głową.

Potem nastąpiła długa przerwa, *podczas* której przyglądaliśmy się sobie. Nie widziałem taty od *maja* ubiegłego roku, kiedy razem z mamą przyleciał do Nowego Jorku i zamieszkał ze mną i Elaine. Było to jedno z moich najdziwniejszych życiowych doświadczeń. Mama z uporem maniaka przez cały czas mówiła z akcentem wyższych sfer, a tata pytał o pozwolenie za każdym razem, gdy chciał włączyć telewizor. Najwyraźniej postanowili zachowywać się jak najlepiej, żeby zrobić wrażenie nie tylko na Elaine, ale i na mnie.

— Wpuścisz mnie?

— Jasne. Jasne. — Wyszedł na zewnątrz, nadal w kapciach (grzech śmiertelny, zdaniem mojej matki), i podniósł torbę.

— Nie ma Elaine? — spytał.

Właściwie nie było to pytanie — z pewnością nie spodziewał się, że Elaine nagle zleci z nieba — ale raczej stwierdzenie faktu. Mój tata nie lubił dodawać dwóch do dwóch, jeśli nie musiał. Wolał raczej pokazać dwa, potem drugie dwa i czekać, aż powiem: „Jasna cholera, tato, cztery!”, i za-

zwyczaj tak było. Nie tym razem jednak. Uznałem, że na dłuższą metę obu nam będzie łatwiej, jeśli wyjaśnienia zostawimy sobie na później.

— Ale przesyła pozdrowienia — oznajmiłem.

To była prawda. Elaine uważała moich rodziców za fantastycznych ludzi.

— Są tacy prawdziwi — mawiała. — Zupełnie inni od moich, którzy są tacy sztuczni.

Tata Elaine pracował w budownictwie, a mama w banku. Mieszkali w New Jersey, rzadko ich widywaliśmy, nawet przy ważnych okazjach. Mimo rozstania, Boże Narodzenie spędziliśmy we dwójkę w mieszkaniu. Za wieczrę świąteczną po służyły resztki chińskiego dania na wynos i szesnaście butelek budweisera.

—To miło — powiedział tata, wyraźnie ucieszony. — Dobra dziewczyna z tej Elaine.

—Tak, tato. — Uśmiechnęliśmy się do siebie. — Jak myślisz, mógłbym wejść?

Jako że mamy nie było jeszcze w domu, nie musiałem wyjaśniać powodów nieobecności Elaine, więc zaniósłem bagaże do swojego dawnego pokoju, podczas gdy tata parzył herbatę. Przy niej i czekoladowym ciasteczku podsumowaliśmy ostatnie wydarzenia w czterech zdaniach.

Zdanie pierwsze: Jak się miewasz?

Zdanie drugie: Nieźle.

Zdanie trzecie: A ty?

Zdanie czwarte: Nie narzekam.

Po tych formalnościach rozmowa skupiła się na pogodzie, stanie państwa, ostatnich odkryciach angielskiej piłki nożnej i reszcie rodziny Beckfordów. Jako dwudziestodzieciolatek byłem najstarszy z rodzeństwa. Po mnie szli Yvonne i Tony, zwani bliźniakami, dwudziestosiedmiolatek. Yvonne studiowała teraz na uniwersytecie w Edynburgu, gdyż po pięciu latach medycyny doszła ostatecznie do wniosku, że nie chce być lekarką. Tony mieszkał w Nottingham, miał drobny problem z piciem i od czasu do czasu walił w bębny w zespole o nazwie Left Bank. Beniaminkiem w rodzinie był Ed. Skończył dwadzieścia dwa lata, wziął sobie rok wolnego po studiach i wyjechał w podróż po Tajlandii, a potem zamierzał rzucić się w wir pracy. Jako rodzina nie byliśmy sobie szczególnie bliscy — w tym sensie, że nie utrzymywaliśmy ze sobą stałego kontaktu — ale nie ulegało wątpliwości, że jeśli którekolwiek z nas będzie kiedyś potrzebowało wsparcia, zawsze je tu znajdzie.

TLR

DZIESIĘĆ

—Trzeba mi było powiedzieć, że przyjeżdżasz.

Tak właśnie przywitała mnie mama, kiedy wróciła po południu z supermarketu. Żadnego „cześć”. Żadnego „jak się masz?”. Tylko „trzeba mi było powiedzieć, że przyjeżdżasz”. Podobnie jak tata, mama lubiła mówić na głos to, co oczywiste, irytując wszystkich. Pokiwałem głową i uśmiechnąłem się do niej, bo wiedziałem, że na swój specyficzny sposób zamierzała powiedzieć: „Bardzo za tobą tęskniłam, synu”.

—Wiem, mamó — oznajmiłem ze skruchą i ucałowałem ją w policzek.

—Masz rację, trzeba ci było powiedzieć, że przyjeżdżam.

—Nie kupiłam dodatkowego jedzenia — prychnęła z oburzeniem.

Z kpiącym uśmiechem zerknąłem na cztery olbrzymie torby u stóp.

—Nie ma sprawy, mamó — zapewniłem ją. — Ostatnio niewiele jadam.

—I nie posprzątałam twojego pokoju.

—Jest czysty jak łąka, mamó.

—Chyba tak — przyznała z wyraźnym zadowoleniem. — Inaczej Elaine pomyślałaby, że mieszkamy w chlewiku.

—Nie pomyślałaby, mamó, bo jej tu nie ma — wyznałem cicho.

—A gdzie jest?

—Nie mogła przyjechać — wyjaśniłem. — Bardzo chciała, ale nie mogła.

—Powinieneś być przy niej — zauważyła. — A jeśli będzie cię potrzebowała?

—Nic się jej nie stanie — oznajmiłem. Mimo tych wszystkich protestów widziałem, że mama nie posiada się z radości wywołanej powrotem pierworodnego. Po prostu chciała dać mi do zrozumienia, że pewne sprawy należy załatwiać w określonej kolejności.

—Na jak długo przyjechałeś?

W tym problem. W przeciwieństwie do taty, mama obdarzona była nieustępliwą dociekliwością. Właściwie nieustępliwość rządziła dociekliwością, ale jedno i drugie oznaczało, że nie zdołam jej zbyć wzruszeniem ramionami ani tekstem: „Nie wiem”. Musiałem jej coś powiedzieć. Odechnąłem głęboko.

—Na jakiś czas? — Wypowiedziałem to jako pytanie, żeby łatwiej jej było przełknąć ten pomysł.

—Ile trwa jakiś czas? — zapytała podejrzliwie.

—Dłużej niż miesiąc, krócej niż... — Zamarłem, widząc po jej surowej minie, że ma dość wyciągania ze mnie informacji. — Trzy miesiące — oznajmiłem w końcu.

—Trzy miesiące? — powtórzyła.

—Albo krócej, albo dłużej. — Wzruszyłem ramionami.

—O ile krócej albo dłużej?

—Bo ja wiem... Pewnie o kilka dni.

—A Elaine?

Koniec. Będę musiał jej powiedzieć.

—Elaine... Rozstaliśmy się. Natychmiast przeszła do pytania numer dwa.

—A twoja praca?

— Z pracą w porządku — zapewniłem mamę.

Zebrałem się w sobie i wyznałem jej wszystko. Mama najwyraźniej nie wierzyła w moje słowa, bo zawołała tatę i zmusiła mnie, żebym opowiedział całą historię od początku.

— Widzisz, co się dzieje z twoim synem?—powiedziała do taty, gdy skończyłem. Była to klasyczna zagrywka mamy. Gdy byliśmy dziećmi, grzmiała do taty: „Widzisz, co się dzieje z twoim synem/twoją córką?” — Nie wiem, czy dobrze rozumiem — ciągnęła. — Rozstałeś się z Elaine, wyjechałeś z Ameryki, żeby zamieszkać na trzy miesiące ze mną i tatą, zanim wyjedziesz do pracy w kraju, w którym nigdy nie byłeś.

W jej ustach zabrzmiało to nieco dramatycznie. Nie bardzo mogłem zrozumieć, jak moje życie—niezwykle proste przez dwadzieścia dziewięć lat z hakiem — tak się nagle skomplikowało.

— I zobaczyć się z przyjaciółmi — wymamrotałem.

— No tak... — Mama nadal czuła się przytłoczona tym wszystkim. — Skoro już tu jesteś, to przygotuję ci coś na obiad.

Większość ludzi całkiem słusznie uważa, że jedzenie to ważna potrzeba, dla mojej mamy było jednak kwintesencją jej istnienia. Niemal wszystko, co robiły jej dzieci, było regulowane i definiowane przez jedzenie. „Jesteś głodny?”, „kiedy będziesz głodny?”, „chyba chce ci się pić”, „dobrze się odżywasz?” Rzecz jasna, w ten sposób okazywała nam miłość, ale potrafiła nas tym zdenerwować, zwłaszcza że w przeciwieństwie do większości mam, które w końcu dają sobie spokój ze zmuszaniem wszystkich w rodzinie do wspólnych posiłków, gdy dzieci skończą szesnaście lat, moja matka wciąż się przy tym upierała. Kwadrans po piątej tata miał przykazane kończyć prace ogrodowe i o wpół do szóstej dostawaliśmy kolację (nie podwieczorek, zbyt pospolity, i nie wieczerzę, zbyt szpanerską), by jeść ją, trzymając tace na kolanach. W niedziele, święta albo przy gościach zasiadaliśmy do stołu w pokoju przeznaczonym na specjalne okazje, pewnie na wypadek, gdyby Jej Królewska Mość wpadła bez zapowiedzi rozpaczliwie spragniona herbaty. Pełno tu było ozdobnych serwetek, eleganckiej porcelany, wisiała tu też przerażająca makrama z osiołkiem, dzieło zmarłej prababci Irene. Nieobecność była nieusprawiedliwiona. Żadnych tam „nie je-

stem głodny", żadnych „nie mam dziś na to ochoty", i już z pewnością żadnych „daj spokój, nikt poniżej czterdziestego ósmego roku życia nie jada kolacji tak wcześnie". O nie: albo polubisz, albo przywykniesz. I tak, kiedy rozpakowałem bagaże i nadeszło piętnaście po piątej, mogłem się spodziewać, że mama krzyknie z dołu:

— Matthew, kolacja gotowa!

To, że przed chwilą skończyłem trawić kanapki z kurczakiem, które przygotowała na lunch, nie miało znaczenia.

—A co jest na kolację? — spytałem ostrożnie, wchodząc do salonu i siadając.

—Twoje ulubione danie — odparła i położyła mi tacę na kolanach. — Jedz. Wyglądasz, jakbyś od lat nie jadł porządnego posiłku.

Kiedy patrzyłem smętnie na talerz, przyszło mi do głowy, że mogę winić tylko siebie. Doskonale wiedziałem, że mama zawsze myli ulubione dania wszystkich swoich dzieci, a co więcej, to, co znajdowało się na talerzu, nie było przysmakiem moich braci ani siostry: może ich ulubionym kulinarnym koszmarem. Miałem przed sobą dwa wieprzowe kotlety, trzy duże łyżki puree, sos mięsny tak gęsty, że można by go kroić nożem, marchewkę, groszek i... brukselkę. Rozgotowane na amen, śmierdzące zielone kulki z mokrych, obrzydliwych liści.

Moje spojrzenie krążyło gorączkowo po pokoju gościnnym, by sprawdzić, co o menu w stalagu numer dziewięć myśli drugi konsument. Tata rozparł się w fotelu, swoim królestwie, oglądał wiadomości w telewizji i co pewien czas przerywał żucie, by skomentować strój spikerki. Mama wciąż stała w progu, czekając, aż rzucę się na pierwszy od dłuższego czasu domowy posiłek. Popatrzyłem na nią z uśmiechem. Na jej obliczu malowało się zadowolenie. Dbała o nas, o swoją rodzinę, pilnując, by niczego nam nie zabrakło, najwyraźniej to ją uszczęśliwiało.

— Może usiądziesz, mamó? — spytałem niepotrzebnie. Chyba nigdy nie siedziała podczas posiłku, zupełnie jakby kolana jej się zacinały.

— Nie jesz — powiedziała. — Chcesz soli? Przyniosę. Znowu popatrzyłem na talerz i ugryzłem się w język, bo słowa na jego czubku brzmiały mniej więcej tak: „Nie widzisz, o co chodzi? Nie widzisz, że na moim talerzu leżą cztery brukselki, każda wielkości mandarynki?” Milczałem jednak, przede wszystkim dlatego, że nie mogłem tego powiedzieć, nie raniąc jej uczuć, a tego bym nie chciał. Czułem się jak dziecko. Kiedy miałem około dziewięciu lat, wymyśliłem genialny system pozbywania się brukselki. Wsuwałem jedną po drugiej do chusteczki i symulowałem rozpaczliwą potrzebę udania się do toalety. Po drodze wrzucałem brukselkę za lodówkę. W teorii działało to niezawodnie, ale potem zapomniałem zabrać brukselki, by im urządzić przyzwoity pogrzeb. Po sześciu tygodniach zabawa dobiegła końca, gdyż smród gnijącej zieleniny wypełnił całą kuchnię i mama odkryła kryjówkę brukselki. Wściekła się i byłem załatwiony. A teraz, lata później, miałem podobny dylemat.

— Mamó, chyba nie dam sobie z nimi rady. — Wskazałem brukselki widelcem.

—Nonsens — oświadczyła stanowczo. — Są zdrowe.

—Ale ja ich nie lubię.

—Lubisz — zaprzeczyła zniecierpliwiona.

—Nie. Nigdy nie lubiłem brukselki.

— Lubieś brukselkę, kiedy to ja ci gotowałam. Jak Elaine ją przyrządza?

Na samą myśl miałem ochotę wybuchnąć śmiechem.

—Elaine nigdy nie ugotowała brukselki, mamó. Elaine w ogóle nie gotuje, jeśli nie musi. Poza tym nawet nie wiem, czy w Stanach mają brukselkę.

—Uwielbiałeś brukselkę — wtrącił tata. — Pamiętasz, jak pytałeś, czy możesz grać nią w kulki?

Popatrzyłem na niego z niedowierzaniem.

—Tony o to pytał, tato, a poza tym może i lubił grać nią w kulki, ale jeść jej na pewno nie chciał.

—Nie — odezwała się moja mama. — Yvonne lubiła brukselki. Na pewno myślisz o Yvonne. Przepadała za nimi. — Yvonne była najbystrzejszą osobą w naszej rodzinie, więc nie trzeba dodawać, że, podobnie jak ja, nie cierpiała brukselki.

—Słuchajcie — zaczynałem tracić cierpliwość. — Tony nigdy nie lubił brukselki, Yvonne też nie lubiła brukselki, Ed nie lubił brukselki, no i ja nie lubię brukselki. Nie będę jej jadł. Ani teraz, ani jutro, ani nigdy!

TLR

JEDENAŚCIE

Nie trzeba być jasnowidzem, żeby się domyślić, że nie wściekłem się tak z powodu paru brukselek. W końcu skończyłem dwadzieścia dziewięć lat i nawet jeśli nie miałem ochoty ich jeść, mama nie mogła mnie uwięzić w domu ani obciąć kieszonkowego. Tak naprawdę czułem się trochę niepewnie z powodu okoliczności, które doprowadziły do tak dramatycznych zmian w moim życiu. Zaledwie dobę wcześniej żyłem inaczej. Może nie idealnie, ale niemal normalnie jak na kogoś w tym wieku. Miałem własne mieszkanie i nieudany związek — plan minimum przeciętnego trzydziestolatka, prawda? A co mi teraz zostało? Nic. Nie miałem dziewczyny, tylko obietnicę niezłej pracy, ale dopiero za jakiś czas, a do tego mieszkalem u rodziców.

Wchodząc do kuchni z przeprosinami na ustach, najpierw usłyszałem łomot garnków i rondli ze zlewu, gdy moja matka pod pretekstem zmywania z furją rozpryskiwała mydliny w powietrzu.

—Przepraszam — powiedziałem i zaniknąłem za sobą drzwi kuchenne. — Niepotrzebnie to mówiłem. Okropnie się czuję. Chodzi o to, że... Mam sporo kłopotów, z Elaine i w ogóle, i...

—Nic się nie stało. — Odwróciła się od zlewu, żeby na mnie popatrzeć. — Wiedziałaś, że to nie ma nic wspólnego z brukselką. Po prostu martwię się o ciebie i tyle. — Zniknęła w pokoju gościnnym i wróciła z moim talerzem, który trafił do mikrofalówki. Trzy minuty czterdzieści sekund i pi-

śniecie później radośnie postawiła mój talerz na stole. — Jedz, zanim znów wystygnie.

Wszyscy troje spędziliśmy wieczór przed ekranem telewizora, oglądając najlepsze wytwory angielskiej telewizji: Coronation Street, Des O'Connor Tonight i wiadomości o dziewiątej, a do tego ostatnie pół godziny telewizyjnego filmu o cierpiącej na raka matce, która przed śmiercią usiłuje ulokować swoje dzieci w nowych rodzinach zastępczych. Mama płakała, tata w przerwach na reklamy skakał po kanałach, a ja cieszyłem się sytuacją. Było dokładnie tak jak w dzieciństwie. Telewizor od wpół do ósmej aż do nocy, świeża herbata podczas reklam i dwa żeberka grzejnika gazowego, żeby nie zmarznąć.

—No dobrze — powiedziała mama tuż po dziesiątej. — Tata i ja idziemy spać, Matthew.

—No to dobranoc — odparłem radośnie, podnosząc pilota. Tata przez cały wieczór mnie do niego nie dopuszczał.

—A ty się nie kładziesz? ^— spytała mama, gdy nie ruszyłem się z miejsca.

— Nie. Trochę sobie posiedzę.

— Na pewno? — Tata był wyraźnie zdziwiony. — Jest już późno, Matthew.

W końcu oświeciło mnie, że chcą, abym i ja się położył. Zakłócałem rutynę, a jeśli istnieje na tym świecie choć jedna rzecz, którą lubią moi rodzice, to jest nią właśnie rutyna. Mimo że uparcie twierdzili, że jestem zmęczony po podróży, zmarznięty i/lub znużony oglądaniem telewizji, siedziałem na sofie aż do północy, podziwiając występ Lee Marvin'a w Parszywej dwunastce. Wyłączyłem telewizor na napisach i poszedłem na górę, do łazienki. Mama otworzyła dla mnie nową szczoteczkę, która leżała obok zlewu razem z czystym ręcznikiem. Na ten widok zachciało mi się śmiać. Kiedy byłem dzieckiem, wciąż powtarzała, że nasz dom to nie hotel, a tyle

lat później wypełniła go taką liczbą akcesoriów, że przy nim Ritz przypomina kawalerkę w Archway.

Leżąc na jednoosobowym łóżku — od jak dawna nie spałem w jednoosobowym łóżku? — rozejrzałem się po pokoju, który dzieliłem niegdyś z braćmi. Był duży, każdy z nas zajmował po jednym kącie, czwarty był wolny, żebyśmy mogli otwierać drzwi. Usiłowaliśmy dostosować nasze części pokoju do swoich potrzeb, nadać im charakter. Moją część ściany pokrywały plakaty grup popowych, Tony'ego — plakaty pociągów i lokomotyw oraz rozmaite akcesoria, teraz wepchnięte pod jego łóżko. Ponieważ Ed miał tylko dziesięć lat, porozwieszał wszędzie własne rysunki superbohaterów z komiksów oraz samochodów. Kiedy Tony i ja się wyprowadziliśmy, *Ed* miał cały pokój dla siebie. Teraz wszystkie cztery ściany nosiły ślady jego osobowości — patrzyłem na plakaty drużyny futbolowej, antyramy ze zdjęciami jego i jego kumpli na różnych europejskich meczach i plakaty lubieżnie uśmiechniętych i rozebranych do bielizny prezenterek telewizji dziecięcej.

Mimo braku moich plakatów czułem się jak w domu. Tu była moja historia. W tym pokoju dorastałem i ta myśl sprawiła mi przyjemność. Tuż przed zaśnięciem doszedłem do wniosku, że wybrałem właściwe miejsce. Jeśli kiedyś mam znaleźć odpowiedzi na swoje pytania, to najlepiej poszukać ich w domu.

DWANAŚCIE

Do: mattb@c-tec.national.com

Od: crazedelaine@hotmail.com

Temat: Jak?

Matt,

co u Ciebie? Jak lot? Jak Birmingham? Jak rodzice? Jaaaaak?

Muszę wiedzieć!

Uściski,

Elaine xxx

PS. Kiedy odleciałeś, ciągle płakałam, aż zamieniłam się w kłębek łez i smarków. Bardzo ładnie. Po powrocie do mieszkania było jeszcze gorzej. Taktu pusto bez Ciebie. Muszę Ci coś wyznać. Pamiętasz ten czarny podkoszulek, którego nie mogłeś znaleźć? Ukradłam go. Jest pod moją poduszką. Obrzydlistwo [moje zachowanie, nie podkoszulek), ale chciałam mieć coś, co będzie Tobą pachniało, dopóki nie przestanę cierpieć. Tak czy owak, wystarczy.

Pa!

PS. Czy ktoś sławny, kogo mogłabym znać, pochodzi z Birmingham? Tak tylko pytam. E.

TLR

TRZYNAŚCIE

— Piękny poranek, Matt — powiedział tata z sofy.

Było wpół do drugiej po południu. Właśnie wstałem i wszedłem do pokoju gościnnego. Miałem na sobie błękitną piżamę, którą poprzedniej nocy mama zostawiła mi na łóżku —jeszcze w folii. Moja mama jest jedyną osobą na świecie, która trzyma awaryjną męską piżamę.

Popatrzyłem na tatę i mrugnąłem do niego, żeby dać mu do zrozumienia, że ten sarkazm jest mało subtelny.

—Wszystko dobrze, tato? — zapytałem, po czym zacząłem drapać się w miejscach, które zazwyczaj swędzą, kiedy spędza się dużo czasu w wygodnym, ciepłym łóżku.

—Tak, dziękuję, Matthew — odparł krótko. — Matka chciała wysłać po ciebie ekipę poszukiwawczą, żeby sprawdzić, czy żyjesz. Powiedziałem, żeby sobie darowała, bo pewnie zapadłeś w sen zimowy.

—Dobre — oświadczyłem. Pociągnąłem nosem, zakaszlałem i zacząłem się drapać, żeby oprzytomnieć. Podniosłem ze stolika „Sun” taty, usiadłem i szybko zerknąłem na pierwsze strony. Dziwaczna historia na stronie trzeciej — obok walorów Giny, lat osiemnaście, z Essex — przyciągnęła moją uwagę. Człowiek w Cheltenham został wyrzucony z domu, który dzielił ze swoją dziewczyną, bo miała dosyć jego kolekcji dwunastu tysięcy butelek mleka. Ostatnie zdanie naprawdę mnie rozbawiło: „Muszę przyznać, że nie była dla mnie odpowiednią dziewczyną. Gdyby mnie kochała, kochałaby też moje butelki”.

— Z czego się śmiejesz? — spytał tata. — Z tego faceta od butelek mleka? — Pokiwałem głową. — Powinieneś go podziwiać. Te butelki go uszczęśliwiały.

— Tak, bardzo, bardzo uszczęśliwiały.

Żart był beznadziejny, ale rozbawił mnie i tatę i siedzieliśmy przez kilka minut, prześcigając się w wymyślaniu dowcipów na temat faceta od butelek. Miałem powrócić do czytania gazet, zakładając, że tata przysiadł w fotelu, by przez moment odpocząć od domowych obowiązków — zawsze coś naprawiał — kiedy zakaszłał i wzruszył ramionami, jakby chciał przystąpić do zasadniczej rozmowy.

— I co? — zapytał w sposób, który nie do końca był pytaniem.

— I co? — odparłem, unosząc brwi.

Nagle mnie oświeciło, że mama wysłała go z misją, by dowiedział się więcej o moim rozstaniu z Elaine. Pewnie chodziło o to, że mój tata to mężczyzna i ja również jestem mężczyzną, więc sobie pogawędzimy o życiu. Widziałem po nim, że nie do końca zgadzał się z tą koncepcją, ale było jasne, że mama uczyni z jego życia piekło, jeśli się jej nie podporządkuje.

— I co? — powtórzył.

Podrapałem się po głowie, zamknąłem gazetę i popatrzyłem na niego pytająco. Mama bardzo się myliła, jeśli myślała, że wysyłając do mnie ojca, dowie się, co czuję. Wiódł ślepy kulawego — klasyczny przypadek. Tata nigdy nie mówił o sobie, jeśli nie musiał, ja też nie (przynajmniej nie rodzicom), i chyba nie dostrzegła, że to nam odpowiada. Podejrzewam, że kiedy miałem pięć albo sześć lat, rozmawialiśmy. Pamiętam, że mówiłem mu, co sądzę o szkole i swoich przyjaciółach, spekulowałem, co będzie, kiedy dorosnę. I pamiętam, jak mówił mi, co czuje, i chyba obaj czerpaliśmy

wielką satysfakcję z tego obcowania dusz. Jednakże zaledwie kilka lat później tego rodzaju konwersacje się skończyły, gdy mój tata podarował mi największą tajemnicę znaną ludzkości — milczenie. Lubię myśleć, że nauczył mnie, że można równie dobrze komunikować się bez słów, jak i za ich pomocą— że mowa jest srebrem, a milczenie złotem. Nie twierdzę, że to idealna filozofia — daleko mi do tego — ale przydatna, kiedy jedyną alternatywą jest skok na głęboką wodę. I właśnie dlatego przez większość życia tata i ja wymienialiśmy jedynie niezbędne informacje. Przez kilka ostatnich lat wychodziliśmy z siebie, by sprawiać wrażenie, że nie interesuje nas zupełnie nic. Rzecz jasna, było to zgrywanie się na maksa, bo dzwoniąc do domu, zawsze pytałem, co u taty, tak jak on pytał Elaine, co u mnie, gdy z nią rozmawiał, czyli częściej niż ze mną. System świetnie się sprawdzał. Obaj wykorzystywaliśmy kobiety, by przełożyć nasze milczenie i lakoniczność na rozmowę. Rzecz jasna teraz, gdy moja tłumaczka i ja poszliśmy każde w swoją stronę, obaj, tata i ja, poznaliśmy prawdę: chciał wiedzieć, co u mnie, a ja chciałem wiedzieć, co u niego.

Nadchodził czas na następne „I co?” z mojej strony, więc je powiedziałem, wciąż nie mając pojęcia, jak przeprowadzimy tę rozmowę. Tata milczał i powoli popijał herbatę. To też mi się w nim podobało. Wszystkie jego ruchy były niespieszne i wyważone. Od zawsze. Chyba nigdy nie widziałem, żeby biegł: nie był też życiowym biegaczem, raczej powolnym piechurzem. Ja z kolei byłem życiowym maruderem. Niezgrabnie kołysałem się, potykałem i wlokłem przez życie, i martwił mnie mój brak spokoju. Zawsze czułem, że kiedy przyjdzie pora, by mój tata podsumował swoje życie, będzie mógł powiedzieć: „Niezależnie od wszystkiego, niezależnie od tego, czy miałem rację, czy też nie, byłem spokojny”. Kiedy przyjdzie czas na moje pożegnanie, pewnie skulę się z zażenowania.

— I co... — zaczął ostrożnie. — Co u ciebie, Matt? Szukałem odpowiedniego słowa. Nie chciałem go okłamywać, skoro znalazł w sobie odwagę, by rozmawiać.

— W... porządku — wykrztusiłem.

Westchnął i popatrzył na ekran telewizora, który nawet nie był włączony.

—Wiesz, życie nie jest łatwe — zaczął.

—O — odparłem spokojnie.

—Ale warto żyć — dodał.

— To dobrze.

Potem połączył oba zdania i oznajmił:

—Życie nie jest łatwe, ale warto żyć. — Znowu powoli łyknął herbatę i czekał, zapewne na mój wkład w rozmowę, ale naprawdę nic mi nie przychodziło do głowy w odpowiedzi na tę przenikliwą konkluzję. Wiedziałem, że ma rację, i tyle.

—Dzięki, tato — powiedziałem.

Zerknął znad filiżanki. Zapewne niepisane zasady prowadzenia męskiej rozmowy wymagały, bym odwrócił wzrok, gdy nasze spojrzenia się skrzyżowały, ale tego nie zrobiłem, więc speszeni, wpatrywaliśmy się w siebie o wiele za długo, czyli pewnie przez kilka sekund. Gdyby to się działo parę milionów lat temu, jako jaskiniowcy zapewne pogonilibyśmy brontozau-ra, żeby rozładować napięcie, ale w obecnej sytuacji jedynym wyjściem był telewizor.

— Chyba niedługo będą wiadomości, tato — odezwałem się. — Włączyć telewizor?

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

— Jeśli chcesz — powiedział.

Włączyłem telewizor, podałem tacie pilota i usiadłem w fotelu, po czym obaj udawaliśmy, że oglądamy wiadomości.

TLR

CZTERNAŚCIE

Do: mattb@c-tec.national.com

Od: crazedelaine@hotmail.com

Temat: Gdzie jeeeeeeesteeeeeeś?

Drogi Matt,

gdzie jeeeeeeesteeeeeeś?

Uściski,

Elaine

PIĘTNAŚCIE

Przyjaciele.

Miałem kilku w Nowym Jorku.

Paru w Hiszpanii i jeszcze paru we Francji.

A bliżej w Londynie, Cardiff i Glasgow.

Ale tu, w Birmingham, miałem tylko jednego przyjaciela, Gershwiną Palmera, jeszcze z dzieciństwa. Kiedyś tych przyjaciół było o wiele więcej, cała gromadka ze szkoły King's Heath, i te przyjaźnie przetrwały. Przyjaźniłem się z Ginny Pascoe, moją byłą dziewczyną/niedziewczyną, wysoką, bardzo atrakcyjną królową błędnych decyzji; Elliotem Sykesem, zbudowanym jak rugbysta, o tubalnym śmiechu, urodzonym z dziwaczną umiejętnością spadania na cztery łapy; Pete'em Sweeneyem, miłośnikiem science fiction, muzyki i dziewczyn, w takiej właśnie kolejności; Katriną Turner, najatrakcyjniejszą i najambitniejszą w naszej paczce; i z Bev Moore, dziwaczką, gotką, która nie chciała się przyznać do bycia gotką, sarkastyczną jędzą o dziwacznym poczuciu humoru; no i z Gershwinem. Byliśmy siedmiorgiem wspaniałych, grupką przyjaciół, którzy razem pili, razem wylatywali z nocnych klubów i, jak głosiła plotka, razem się uczyli.

Byliśmy przyjaciółmi na śmierć i życie. Tak nam się przynajmniej wydawało.

Ale, jak to zazwyczaj robią przyjaciele na śmierć i życie, gdy i skończyliśmy osiemnaście lat, jedno po drugim zaczęliśmy opuszczać Birmingham i każde poszło w swoją stronę. Ginny pojechała do Brighton studiować sztukę, bo chciała zostać artystką Elliot przeniósł się do Londynu, do swojej siostry, bo planowała zająć się reklamą; Pete wyjechał do Loughborough studiować na AWF-ie, bo nie miał pojęcia, co innego mógłby robić; Katrina poszła na uniwersytet w Leeds, żeby studiować dziennikarstwo, bo chciała zostać następną naczelną „Vogue'a”; Bev znalazła pracę w sklepie Miss Selfridge, bo postanowiła oszczędzać i przez parę lat podróżować. Wkrótce spotykaliśmy się jedynie w Wigilię w Kings Arms w Moseley, w pubie, który służył za nieoficjalny klub wszystkich absolwentów King's Heath. Tak czy owak, gdy mieliśmy po dwadzieścia parę lat, nawet te Wigilie w Kings Arms się skończyły i w końcu nasze drogi rozeszły się, a my już nigdy się nie spotykaliśmy. W mieście został tylko Gershwin.

Poznałem Gershwina nazwanego tak na cześć wielkiego kompozytora, bo mama Gershwina lubiła Błękitną rapsodię pierwszego dnia gimnazjum, czyli jakieś osiemnaście lat temu, i przez cały ten czas nigdy nie straciliśmy kontaktu. Kiedy większość z nas poszła na studia, Gershwin uznał, że ma już dość edukacji, i znalazł sobie pracę w miejscowej fundacji dobroczynnej. Uważaliśmy wtedy, że popełnia poważny błąd, i próbowaliśmy mu to wyperswadować. Naszym zdaniem pozbawiał się radości bycia studentem, wszystkich związanych z tym wygłupów oraz przywilejów. Można było na to popatrzeć z drugiej strony. Gdy my kończyliśmy studia, Gershwin, jako szybko awansujący młodszy kierownik, odpowiadał za budżet w wysokości kilkuset tysięcy funtów, podczas gdy moje osiągnięcia sprowadzały się do bycia zastępcą zastępcy redaktora strony kulturalnej studenckiej gazetki i umiejętności oglądania z zainteresowaniem tego samego odcinka Neighbours dwa razy dziennie. I właśnie dlatego Gershwin pierwszy z nas wszystkich stał się prawdziwym dorosłym. Pierwszy miał prawdziwe pieniądze, wydawał prawdziwe pieniądze i kupił samochód, którego nie trzymała taśma klejąca. Pierwszy zaciągnął dług hipoteczny, pokonał niewidzialną barierę dwuipółletniego związku z Zoe, miłością

swojego życia poznaną w nocnym klubie i w wieku dwudziestu czterech lat pierwszy się ożenił.

TLR

Wesele, na którym byłem drużbą, okazało się niezapomnianym przeżyciem, i to nie tylko dlatego, że wtedy po raz ostatni nasza siódemka zjechała z różnych części świata, żeby wspólnie świętować. Choć gdzieś w mojej głowie kołatała myśl, że Gershwin jest zbyt młody na ślub, czułem też ogromną dumę, bo mój najlepszy kumpel się żenił. Kiedy wszyscy, których znałem (ja też), robili co w ich mocy, by wieść takie życie jak za studenckich czasów, Gershwin, wkraczając w świat ślubów, hipotek, pracy i — rok później — dzieci, był pionierem i śmiało odkrywał tereny zupełnie nam nieznanne. Wyprzedzał mnie nawet z trzydziestką, bo dzieliła nas różnica kilku tygodni.

—Matthew Beckford!

—Gershwin Palmer!

—Ty tłusty palancie!

—Łysa pierdoło!

Zawsze się tak witaliśmy, co nas bawiło. Mógł nazywać mnie tłusciochem, bo tak naprawdę wiedziałem, że choć nieco wyszedłem z formy, daleko mi do otyłości, a choć on lekko łysiał na skroniach, nie mógłby jeszcze zostać członkiem Klubu Łysych.

Zadzzwoniłem do Gershwina do pracy, by poinformować go o swoim powrocie, a on uparł się, żebym przyjechał do centrum i poszedł z nim na lunch. Przy powitaniu prawie się uściskaliśmy, co chwila wybuchając śmiechem, tak nas cieszyło to spotkanie. Ostatnio widziałem go mniej więcej rok wcześniej, kiedy byłem w Londynie w interesach i na krótko wpadłem do Birmingham spotkać się z rodzicami. Zajęło to wszystko niespełna trzydzieści sześć godzin, ale zdążyłem się z nim zobaczyć. Od tamtego czasu kontaktowaliśmy się przez e-maile i kartki pocztowe, ale niezbyt regularnie. To nie miało znaczenia — niektóre przyjaźnie trwają niezależnie od tego, jak bardzo się je zaniedbuje, i moja przyjaźń z Gershwinem była właśnie taka.

Teraz odsunęliśmy się i popatrzyliśmy na siebie. Gershwin miał na sobie ciemnoszary garnitur, białą koszulę i granatowy krawat. W każdym calu wyglądał na kierownika średniego szczebla, którym miał zostać, a jednak wiedziałem, że pod tym garniturem kryje się stary dowcipniś Gershwin, ten sam, który pije piwo nosem, zna wszystkie słowa beznadziejnej pieśni soft rockowej grupy Boston, More than a Feeling, i przyrządza najlepsze pod słońcem kanapki z jajkiem i bekonem. Natychmiast poczułem ulgę: umysł podpowiadał mi, że jeśli ci, z którymi dorastałem, nadal są w porządku, to ja też będę. A kiedy patrzyłem na Gershwina, sprawdzając, czy wciąż ma obie ręce, obie nogi i rozum, wiedziałem, że i mnie nic nie jest.

Po wyjściu na ulicę przekonaliśmy się, że jest zimno i mży. Gershwin zasugerował, żebyśmy wstąpili do jednego z sieciowych barów kawowych, które w ciągu ostatnich kilku lat wyrosły w Anglii jak spod ziemi. Wędrując Corporation Street ku New Street, rozmawialiśmy o futbolu i muzyce, zostawiając sobie „Co u ciebie słychać?” na później. Kiedy nadeszło później, zacząłem dopytywać się o jego życie, zanim on zdążył spytać o moje. Nie miałem już ochoty mówić o Elaine.

— Co u Zoe?

— W porządku — oparł Gershwin. — Wciąż jest pielęgniarką. W Szpitalu Królowej Elżbiety.

— Lubi to? Wzruszył ramionami.

— Nie za bardzo. Chyba tęskni za Charlotte. Moja mama zajmuje się nią za dnia, ale... wiesz jak to jest, Zoe czuje się zmordowana po powrocie z pracy i uważa, że nie poświęca Charlotte wystarczająco dużo uwagi, i przez to ma jeszcze większe poczucie winy. Ale...

— A jak się miewa moja urocza chrześniaczka? — przerwałem, zanim zdołał spytać mnie o cokolwiek, co właśnie zamierzał uczynić.

—Bardzo dobrze — odparł Gershwin. — Ma już prawie cztery lata. We wrześniu idzie do szkoły. — Zaśmiał się. — Oszaleje ze szczęścia, kiedy usłyszy, że wróciłeś. Nazywa cię „przyjacielem tatusia, Mattem, który przynosi ładne prezenty”. Wie, co najważniejsze, ta dziewczyna...

— A jak w pracy? — przerwałem mu raz jeszcze.

— Dno. Jestem zmęczony i znudzony. Mówiłem, że jestem znudzony? Ale wiesz, jak to jest — każdy nienawidzi pracy, po *co* narzekać?

Potem poznałem więcej faktów z jego życia: tak, mama i tata miewają się dobrze; tak, jego siostra Andrea też miewa się dobrze; nie, Tweety, kotek Palmerów, nie miewa się dobrze — przejechał go samochód. Tak jak podejrzewałem, Gershwin zaczynał rozumieć, że stosuję klasyczną taktykę uników.

Mimo że dopiero minęło południe, kawiarnia była prawie pełna, głównie wymizerowanych młodziutkich studentów, którym tędy przebiegała ścieżka między kampusem uniwersytetu Aston a centrum miasta. Wyglądali trochę niezdrowo, całkiem jakby żyli jedynie dzięki papierosom, kawie i napięciu przedegzaminacyjnemu. Czekaając na kawę, Gershwin i ja lekko unieśliśmy brwi w hołdzie przypadkowemu przejawowi bezsensownego piękna, który wycierał za nami stolik. Dziewczyna miała burzę upiętych włosów, które wyglądały tak, jakby lada moment zamierzały się rozsypać, i obojętny uśmiech. Niemal zapłakałem z wdzięczności, iż takie kobiety w ogóle jeszcze istnieją. Z kubkami w dłoniach przepchnęliśmy się do wysokich stołków ustawionych przy oknach po to, by ludzie tacy jak my — po niewłaściwej stronie dwudziestego dziewiątego roku życia — mogli obserwować dziewczęta poniżej dwudziestego piątego roku życia, jednocześnie nie męcząc kolan.

— A więc... — zaczął Gershwin, wyciągając paczkę silk cutów.

— Myślałem, że rzuciłeś?

— Rzuciłem. Tak. Jutro znowu rzucę. Ale muszę mieć po co żyć. — Zaśmiał się. — Poza tym zapomnij o tym brzydkim nawyku. Gramy w otwarte karty, Matt. O czym nie chcesz mówić?

— O Elaine — westchnąłem.

—Rozumiem, że przez nią wróciłeś do domu? Pokiwałem głową.

—Na jakiś czas?

Znowu pokiwałem głową i powiedziałem mu wszystko o rozstaniu z Elaine i nowej pracy.

— Pewnie trochę ze sobą walczyliście, co? — powiedział ze współczuciem. — Wiem, co czułeś. — Uśmiechnął się. — Ale gratuluję ci pracy. Szkoda, że się wam nie ułożyło. Naprawdę szkoda.

Wyrzałem przez okno, na ładną dziewczynę w biurowym stroju, idącą szybkim krokiem, jakby była już spóźniona na ważne spotkanie.

—Dziwna sytuacja — powiedziałem. — Po prostu nam nie wychodziło. — Gershwin też zaczął się gapić przez okno. — Przy rozstaniu nie było łez. Awantur. Nic.

—To dziwne — oświadczył Gershwin. — Awantury to norma pod koniec związku, nawet jeśli się nienawidziliście. Bez awantur przy rozstaniu... To nie jest rozstanie, prawda?

—Właśnie — odparłem. — Też tak uważam.

—I co dalej?

—Zmieniłem zdanie.

—Kiedy?

—Na lotnisku. Gershwin pokręcił głową.

—Na lotnisku? Nie mogłeś zostawić tego na później?

—Stałem tam, z bagażami — ciągnąłem, ignorując jego komentarz — minutę przed pożegnaniem, i zmieniłem zdanie.

—A nowa praca?

—Zrezygnowałbym.

—To co ty tu robisz?

—O to właśnie chodzi. Ona nie zmieniła.

—Czego?

—Słuchaj, co mówię. — Udałem znużenie. — Zdania. Ma już dość tego związku.

—Powiedziała to?

—Nie, ale widziałem to na jej twarzy. Kochała mnie i w ogóle, ale nie czuła tego, co ja. — Umilkłem i wzruszyłem ramionami. — Nie mam jej tego za złe. Myślę, że to także kwestia wieku. Elaine ma dwadzieścia dwa lata, ja dwadzieścia dziewięć. Wiem, że to tylko siedem lat różnicy, ale pod wieloma względami trzeba je liczyć jak lata życia psów. — Gershwin pokiwiał głową.

— Podobno kobiety dojrzewają szybciej niż mężczyźni, ale ja wcale nie jestem o tym przekonany. Chyba każdy potrzebuje tego czasu, żeby się wyszaleć i być... — Straciłem wątek, patrząc na idącą ulicą wysoką brunetkę około dwudziestki, w podkoszulku tak obcisłym, że nawet sześciolatek miałby w nim kłopoty z oddychaniem. Towarzyszył jej młody, gibki mięśniak. — Ogólnie biorąc, wydaje mi się, że czasem chciała być w porządnym, dojrzałym związku, a czasem, co zupełnie naturalne, pragnęła być wolną i zwariowaną dwudziestodwulatką.

—Pewnie po prostu chciała się wyszumieć — przytaknął Gershwin i zmrużył oczy, odprowadzając wzrokiem grupkę młodych Latynosek po drugiej stronie ulicy. — Sam mówisz, że ma tylko dwadzieścia dwa lata.

—Chodzi o coś więcej — powiedziałem. — O mnie. Kiedy stałem tam na lotnisku, całe życie przeleciało mi przed oczyma. Widziałem, jak znajduję mieszkanie w Australii. Widziałem, jak wypełniam je paroma niezbędnymi — jak głoszą męskie pisma — kawalerowi przedmiotami: szerokoekranowym telewizorem, chromowanym stojakiem na CD i czarną skór-

rzaną kanapą. Widziałem, jak gram w squasha w poniedziałkowe wieczory, w piłkę nożną w wersji pięciu na pięciu w środy, wychodzę z kimśtam na drinka w pozostałe wieczory, i zobaczyłem, że właśnie tak będzie wyglądała reszta mojego życia.

—Żadnych kobiet?

—Jedna czy dwie... ale niezbyt długo.

Gershwin się roześmiał. Zawsze bawiło go moje ponuractwo.

— Niby dlaczego?

— Dlatego, że odkąd zacząłem umawiać się z dziewczynami, wiele lat temu, byłem przekonany, że bez nich moje życie będzie niepełne. W chwili, gdy dojdę do wniosku, że życie bez kobiety na stałe jest w porządku, będzie już po wszystkim. Poddam się. Wypełnię życie bzdurami, zamiast iść na kompromis. A wiesz równie dobrze jak ja, że związki polegają na kompromisie. Myślę, że Elaine była moją ostatnią szansą.

—Chociaż brzmi to wariacko, możesz mieć rację — przytaknął Gershwin. — Czasem jestem bardzo zadowolony, że związałem się z Zoe, kiedy byliśmy tacy młodzi. Dojrzewaliśmy ze sobą, uczyliśmy się od siebie. Ale... sam nie wiem. Czasem myślę...

—Co?

—Że coś przegapiliśmy. Nie żałuję, że mamy Charlotte, wcale nie. Czasem jednak zastanawiam się „co by było, gdyby?”

—Na twoim miejscu nie robiłbym tego — odparłem. — Nawet o tym nie myśl. Widzisz mnie? — Wskazałem na siebie plastikowym mieszadełkiem. — Ja jestem twoim „co by było, gdyby?” Gdybyś był mną, siedziałbyś tu i prowadził dokładnie taką samą rozmowę o kobietach jak przed dwunastu laty. To trochę nużące, kiedy zbliżasz się do trzydziestki. — Gershwin wydawał się zamyślony, ale milczał. — Trzydziestka to jedna z tych rzeczy, które nigdy się nie zdarzą — ciągnąłem. — No wiesz, w dzieciństwie usiłujesz policzyć, w którym roku skończysz trzydziestkę, no i wreszcie to obliczasz, po czym stwierdzasz, że równie dobrze mogłoby to nastąpić za mi-

liard lat, to tak odległe wydarzenie. I nagle przyszłość jest tuż pod twoim nosem.

—Świat jest pełen trzydziestolatków — powiedział Gershwin. Nagle ocknął się z zadumy. — To nie Ucieczka Logana, gdzie skazującą na niebyt w chwili, gdy skończysz trzydziestkę.

—Chyba nie—przyznałem. — Na pewno obaj mamy kumpli, którzy przez to przeszli i jakoś żyją. To chyba nie może być takie straszne, co?

—Sam nie wiem—odparł Gershwin, najwyraźniej próbując mnie zdeenerwować. — Chyba zależy od tego, co osiągnąłeś w życiu. Niektórzy moi znajomi w ogóle się tym nie przejęli. Inni udawali, że nie robi im to żadnej różnicy, a potem zaczęli dziwnie się zachowywać. Niektórzy panikowali aż do urodzin, potem uświadomili sobie, że nic się nie zmieniło, no i jest jeszcze kilkoro tych, którzy zaczęli się zastanawiać, dokąd zmierzają, i dalej ich to zastanawia. Do którego typu należysz, Matt?

— Ja? — zapytałem niewinnie. — Nie wiem. A ty?

— Też nie wiem — westchnął. — Ale chyba obaj wkrótce się dowiemy.

SZESNAŚCIE

Do: crazedelaine@hotmail.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Temat: Dom

Cześć Elaine,

przepraszam, że tak zwlekałem z odpowiedzią. Wszystko w porządku. Podróż w porządku. Mama i tata często o Ciebie pytają. Powiedziałem im o naszym rozstaniu i chociaż byli rozczarowani, jakoś to przełknęli. Podkoszulek nie ma sprawy. Ja też muszę Ci coś wyznać: ukradłem Twoją bieliznę. Kiedy piszę, wisi na kaloryferze w mojej sypialni (żart). Tak naprawdę zabrałem taśmę, którą dla Ciebie nagrałem tę, którą nazwałaś *Muzyką dla frajerów, część II*. Nie wiem, po co ją wziąłem. Chyba chciałem mieć po nas jakąś pamiątkę.

Wkrótce napiszę.

Uściski, Matt

PS. Dla porządku, gapo, wszyscy ci słynni ludzie pochodzą z Birmingham:

1) John Taylor z Duran Duran (jedyne z tej grupy poza Simonem Le Bon, którego ktokolwiek pamięta),

2) Joan Armatrading (piewniarka i autorka tekstów. W 1976 roku napisała przebój *Love and Affection*),

3) Robert Plant z Led Zeppelin (ściśle biorąc, jest ze Stourbridge, tuż za Birmingham, ale to wystarczająco blisko),

4) Kenny Baker facet, który grał R2D2 w *Gwiezdnych wojnach*,

5) Ozzy Osbourne z Black Sabbath,

6) Z trudem dopisuję pseudoreggae grupę UB40, chociaż wolałbym spuścić na to zasłonę.

SIEDEMNAŚCIE

Kiedy po spotkaniu z Gershwinem okazało się, że nie mam co robić, postanowiłem zadbać o garderobę. Większość rzeczy płynęła do Anglii, miała się tu znaleźć dopiero za kilka tygodni. Ubrania, które przywiozłem, były brudne, bo blokada psychiczna nie pozwalała mi korzystać z pralni w piwnicy naszego budynku w Nowym Jorku. Poza tym myśl o tym, że przywiozę pranie do domu, była dla mamy dziwnie krzepiąca.

Kiedy tego ranka wyjmowałem kilka czystych ubrań, przyszło mi do głowy, że może należałoby coś dokupić. Obecnie mój zestaw pierwszoligowy (w przeciwieństwie do drugoligowego: podkoszulka z napisem Frankie says No to War, niedopasowanych dżinsów i rzeczy do noszenia podczas malowania) składał się ze zwykłych koszul, spodni, podkoszulków i swetrów, a łączyło je jedno: granatowa albo czarna barwa. Była to część problemu, który usiłowałem wyjaśnić Gershwinowi – moja postępująca nieelastyczność. Upodobanie do takich strojów rozwinęło się we mnie po dwudziestce, jako wyraz autentycznego afektu do ciemnych kolorów i stopniowo przekształciło się w patologiczny zwyczaj, którego nie potrafiłem zarzucić. Tuż przed świętami Elaine i ja robiliśmy zakupy na Upper West Side. Właśnie wtedy usiłowała przekonać mnie do kupna jasnoszarych spodni, które zobaczyła na wystawie Banana Republic. Nie były obrzydliwe. Nie były nawet zbyt modne jak dla takiego faceta jak ja. W ogóle nie było w nich nic złego, ja jednak nie potrafiłem zmusić się do wej-

ścia do sklepu, nie mówiąc już o mierzeniu tych spodni. To nie była moja wina. Taki już się urodziłem.

TLR

Było tak, jakbym od dnia dziewiętnastych urodzin brał udział w zakrojonym na dużą skalę badaniu sondażowym dotyczącym Życia i gdzieś po moich dwudziestych siódmym urodzinach pojawiły się wyniki. Nagle wszystko zaczęło się układać, życie przestało być takie skomplikowane. W końcu zrozumiałem, co lubię i czego nie lubię, i ściśle się tego trzymałem. Ulubione indyjskie danie: kurczak masala. Ulubione programy telewizyjne: wiadomości, filmy science fiction, sitcomy i powtórki wszystkiego, co oglądałem w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Ulubiona muzyka: pieśniarki, piosenki z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych i wszystko, czego słuchałem jako student. Od sześciu lat nosiłem taką samą fryzurę (bardzo krótkie włosy) i miałem trzy pary dokładnie takich samych dżinsów, bo bałem się, że kiedyś Levi's może przestać je szyć. Wiedziałem dobrze, czego oczekuję od życia, i byłem szczęśliwy.

Co nie oznaczało, że nie lubię nowości. Lubilem. To znaczy nowości, które przyjmowałem do swojego życia, były głównie wariacjami na temat staroci, które już w tym życiu były wariacjami na określony temat. Elaine uważała, że to nienormalne – to, że uszczęśliwia mnie takie status quo, ale wyjaśniłem jej, że w życiu chodzi o to, by uczyć się na błędach, a nie bezustannie sprawdzać, czy da się narobić nowych błędów. I tak po katastrofalnym flircie z pastelami, beżem i kolorem żółtym, w końcu doszedłem do wniosku, że granatowe i czarne stroje to moje ubranie na całe życie. Wkrótce odkryłem, że nie widać na nich plam po jedzeniu i że mogę pracować wszystko razem bez obawy, że jedno drugie zafarbuje.

Wędrując po centrum w poszukiwaniu nowych ubrań, które podniosłyby mnie na duchu na tym nowym etapie życia, mijałem niepokojąco dużą liczbę atrakcyjnych młodych kobiet i usiłowałem wyobrazić sobie siebie u ich boku. Oto idziemy ulicą, ręka w rękę, roześmiani, ona w powłóczystej sukience, mimo chłodu, a ja w granatowym lub czarnym stroju. Nagle widzę się w oknie wystawowym i czar pryska. Nie ma to nic wspólnego ze strojem: raczej z wyrazem twarzy, który mówi:

„Czy ten spacer naprawdę jest niezbędny?" A powód tego, rzecz jasna, jest dokładnie taki sam jak ten, dla którego wybrałem taki a nie inny kolor ubrań: w wieku dwudziestu dziewięciu lat dobrze wiedziałem, jakiej kobiety pragnę...

Pragnąłem kogoś, kogo już miałem w przeszłości, ale bez wad.

Pragnąłem kogoś, kogo już znałem ale kto nie znał mnie na tyle dobrze, żeby zrazić się do mnie przez moje niedoskonałości.

Pragnąłem kogoś, przy kim mógłbym być sobą.

Ale, podobnie jak nieuchwytny strój, który widzisz oczyma wyobraźni w odpowiednim kolorze, odpowiednim odcieniu, odpowiednim stylu ta dziewczyna w mojej głowie nie była osiągalna i na samą myśl o tym miałem ochotę zrezygnować z zakupów na zawsze.

Pod wpływem impulsu — zapewne wywołanego nadciągającym atakiem melancholii — wszedłem do sklepu tuż obok New Street, który z zewnątrz wydawał się odpowiednio trendy i odjazdowy — jeśli słowa trendy i odjazdowy wciąż są trendy i odjazdowe zdaniem tych, którzy znają się na rzeczy. Może wszystko mi się pomyliło, pomyślałem. Może nowości wcale nie są takie przerażające. Z głośników w sklepie dudniły basy najgłośniejszej piosenki, jaką kiedykolwiek słyszałem. Jeden decybel więcej, a krew trysnęłaby mi z uszu. W kącie sklepu, przy wyjściu awaryjnym, zobaczyłem, że trzymają didżeja z konsolą. To mnie rozśmieszyło i jednocześnie zasmuciło: rozśmieszyło, bo ten facet, tuż po dwudziestce, z kozią bródką, w jarmułce i adidasach, jakie nosiłem na wuefie, kiedy miałem jedenaście lat, bez wątpienia uważał się za uosobienie czaderstwa, chociaż jego słuchacze przyszli tu po spodnie, koszule i majtki; a zasmuciło, bo jeszcze kilka lat temu też bym uważał, że didżejowanie w sklepie z ciuchami to boska rozrywka na popołudnie.

W ramach samobiczowania się zarzuciłem ostrożność i granatowo-czarną filozofię i złapałem dwie jaskrawe koszule, które wpadły mi w oko. Podszedłem do jednego z wyluzowanych ekspedientów, który uśmiechał się szyderczo przy wieszakach z ubraniami. Miał mniej więcej dwadzieścia jeden lat, ciało jak patyczak, a na nim koszulę taką samą jak ja w dłoniach. Ponieważ zastraszenie przez modnych ekspedientów było dla mnie całkiem nowym doświadczeniem (Elaine wspominała mi, że to norma w damskich sklepach z ubraniami), wyprostowałem ramiona, wciągnąłem brzuch i spytałem o przebieralnię. Popatrzył na mnie z grymasem na twarzy, po czym wzruszył ramionami i wskazał mi drogę.

Starannie zasunąłem zasłonki, zdjąłem marynarkę i podkoszulek, wśliznąłem się w koszulę i w zimnym świetle zmiennego systemu oświetleniowego (pozycja pierwsza: symulowane światło dnia; pozycja druga: sztuczne światło; pozycja trzecia: burza), wpatrywałem się z niedowierzaniem w lustro. Odkąd pamiętam, Elaine rozpowszechniała pogłoski, że w sklepach z ubraniami są specjalne lustra, w których klienci wyglądają jak wyrzucone na plażę wieloryby. Jej zdaniem był to dowód na spisek chudych kobiet, które zamierzały przejąć władzę nad światem. Dopiero teraz, kiedy stałem tak, bojąc się ruszyć, żeby nie trzasnęły guziki koszuli, jak na Hulku, uświadomiłem sobie, że również chudzi mężczyźni planują zawładnięcie światem.

— I jak? — zawołał ekspedient.

Rozsunąłem zasłonkę, żeby sam zobaczył. Razem wpatrywaliśmy się w lustro, nie za bardzo wierząc własnym oczom.

— Nie jest trochę zbyt ciasna?

— To obcisły krój.

Ponieważ jakikolwiek komentarz do tej odpowiedzi wymagałby użycia inwektywy albo pięści, podziękowałem ekspedientowi i z resztkami godności zniknąłem w przebieralni, by opłakiwać przemijanie młodości.

OSIEMNAŚCIE

Do: crazedelaine@hotmail.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Temat: Takie tam

Droga Elaine,

pamiętaj o podlewaniu zielistki w łazience zroszenie jej prysznicem raz w tygodniu nie wystarczy. I nie zapomnij spłacić debetu na karcie kredytowej, zanim zażądatają od Ciebie fortuny w odsetkach [znowu].

Matt xxx

Do: crazedelaine@hotmail.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Temat: Nie tata

Droga Elaine,

zapomnij o ostatnim e-mailu. Co ja, Twój tata jestem? Nie podlewaj zielistki. Nie spłacaj debetu. Rób, co chcesz.

Uściski,

Matt xxx

Do: mattb@c-tec.national.com

Od: crazedelaine@hotmail.com

Temat: Tato!

Oświadczam, że podlałam zielistkę, ale przyznaję, że zapomniałam spłacić debet. To przerażające, Matt. Rozstaliśmy się i nie tylko muszę pamiętać o spłacaniu debetu, ale jeszcze za Tobą tęsknić. Nie waż się nie opłakiwać naszego rozstania.

Mocne uściski,

Elaine xxx

TLR

DZIEWIĘTNAŚCIE

Podczas pierwszego tygodnia w domu prowadziłem podwójne życie. Wiezorami spotykałem się z Gershwinem — czasem również z Zoe i Charlotte — a dni spędzałem z rodzicami, co było dziwnym doświadczeniem. Nie mieliśmy ze sobą do czynienia od lat i w ciągu tego tygodnia bardzo klarownie przypomniało mi się dlaczego. Zachwyceni, że najstarszy syn znów mieszka z nimi pod jednym dachem, usiłowali na swój sposób pomóc mi zapomnieć o obecnej sytuacji i postanowili mnie rozerwać. To zazwyczaj oznaczało zabieranie mnie na wycieczki do miejsc, które odwiedzali miliony razy i lubili do tego stopnia, że koniecznie chcieli do nich wracać.

Pierwszego dnia wybraliśmy się do pobliskiego Stratford--upon-Avon — tam zresztą całkiem dobrze się bawiłem. Odwiedziliśmy dom Anne Hathaway, który moja mama uznała za „nieco obskurny”, i przez kilka godzin łąziliśmy po sklepach, dopóki mój tata nie oznajmił, że chce wracać do samochodu „coś sprawdzić”. Nie otrzymał zezwolenia, gdyż mama powiedziała, że w języku taty „sprawdzanie czegoś” oznacza, że jest znudzony i chce się zdrzemnąć w aucie. Wieczorem usiłowałem zaprosić ich na kolację, ale nic z tego nie wyszło.

—Nie będziesz za mnie płacił — oznajmił tata.

—Dlaczego nie? — zapytałem.

—Bo nie będziesz — odparł tata.

—Umarłabym ze wstydu — oznajmiła matka z pasją. Byłem pewien, że za chwilę rzuci się na mnie i wyrwie mi rachunek. — Nie będziesz wyda-

wał swoich ciężko zarobionych pieniędzy na mnie i tatę. Schowaj portfel.
Tata się tym zajmie.

TLR

— Przecież to tylko dwadzieścia dwa pięćdziesiąt! — zauważyłem. — To mnie nie zrukuje. Zapłacę, poważnie.

Byłem zdecydowany nie ustępować, bo kiedy przyjechali do mnie i Elaine, z uporem sami za wszystko płacili. Prawie się o to pokłóciliśmy. Z dziecinnym uporem zmusiłem ich, żeby dali mi zapłacić. Podałem swoją kartę kredytową kelnerce, a gdy zniknęła, by przepuścić ją przez czytnik, poszedłem do ubikacji. Pod moją nieobecność tata przekonał kelnerkę, aby zamiast mojej wzięła jego kartę.

Kilka dni później udaliśmy się na następną wycieczkę, do ogrodu botanicznego w Edgbaston. Tata świetnie się bawił. Po przyjeździe uparł się kupić mi zielistkę, bo podobno kiedy byłem mały, przyprowadził tu mnie i bliźniaki i też kupił mi zielistkę. Dzień był piękny, spacerowaliśmy po ogrodzie, a potem poszliśmy na herbatę i babeczki ze świeżą śmietaną w staroświeckiej herbaciarni. Właśnie wtedy, kiedy mama próbowała naśladować Jej Królewską Mość Elżbietę II jedzącą kruchą babeczkę z dżemem i śmietaną, tata zapytał:

—Pamiętasz gadającego gwarka, którego tu mieli, Matt? Zastanawiałem się nad tym przez chwilę.

—Nie.

—Musisz pamiętać — oznajmił ponuro. — Mieszkał w jednej z cieplarni i mówił: „Gdzie ten łobuziak?” i „Kurde! Marynarz idzie!”

—Nie, tato. Myślę, że pamiętałbym coś równie surrealistycznego jak gwarek, który mówi: „Kurde! Marynarz idzie!”

Tata mi nie uwierzył. Przez cały dzień męczył mnie o tego cholernego gwarka. Oto próbka naszej rozmowy:

On: Na pewno go pamiętasz, Matt. Był czarny i miał duży żółty dziób.

Ja: Nie, tato, nie pamiętam żadnego gwarka. O ile wiem, nigdy w życiu nie widziałem gwarka.

On: (cierpko) Pamiętasz, tylko się głupio upierasz!

To, jak teraz widzę, było początkiem końca rodzinnych wycieczek, ale ostateczny cios nadszedł dwa dni później, kiedy próbowaliśmy się wybrać na całodniową wycieczkę na wzgórze Malvern. W skrócie: zgubiliśmy drogę i znaleźliśmy się na autostradzie do Bristolu, bo tata nie usłyszał, co do niego mówię. Powtarzał, że to ja się pomyliłem, a mama siedziała z tyłu, ssąc cukierka i cmokając, kiedy się kłóciliśmy. Po powrocie do Birmingham, gdy każde poszło w swoją stronę, rodzice i ja uznaliśmy jednoznacznie, że choć bardzo się kochamy, istnieje coś takiego, jak nadmiar „cennego czasu z rodziną”.

TLR

DWADZIEŚCIA

Do: crazedelaine@hotmail.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Temat: Trzydziestaki (jak ich nazywasz)

Droga Elaine,

parę dni temu spotkałem się z Gershwinem. Zawsze mi poprawia nastrój. Przy nim czuję się bardziej sobą. Będzie miał trzydziestkę za parę tygodni, ale chyba przyjmuje to o wiele lepiej niż ja. Myślę, że sztuka polega na tym, by być szczęśliwym z tym, co się ma. No dobrze, może Gershwin nie kocha swojej pracy, ale ma świetne relacje z żoną i cudowną córkę. Nieźle jak na trzydziestolatka. A skoro mowa o Charlotte, dałem jej Barbie, którą dla niej kupiłaś. Uwielbia ją i chce nazwać Elaine. Mówiłem jej, że nie jesteś podobna do Barbie, ale jest nieugięta. Ach, te dzieci, co?

Matt xxx

PS. Przyszła do mnie poczta?

TLR

Do: mattb@c-tec.national.com

Od: crazedelaine@hotmail.com

Temat: Trzydziestaki

Drogi Matt,

po co to robisz? Po co wciąż oceniasz i porównujesz wszystko w swoim życiu? Myślałam, że to typowe dla facetów, a teraz zastanawiam się, czy to przypadkiem nie typowe dla Ciebie. Masz świetne życie. Wyluzuj, dobra?

Elaine xxx

PS. Co do dowcipów o poczcie – chyba żartujesz. Kiedy tu mieszkałeś, nie przyszedł do Ciebie ani jeden list!

PPS. Wiem, że wydaję się zadowolona, ale nie jestem. Nadal za Tobą tęsknię.

PPPS. Zauważyłam, że w żadnym z e-maili nie piszesz, że za mną tęsknisz. Jesteś mi winien dwie wzmianki o tęsknocie, bo inaczej jak ostatnia frajerka wciąż będę Cię prosić o wsparcie.

PPPPS. Barbie Elaine jest genialna. Wszyscy w pracy przez cały dzień nazywali mnie Barbie. Powiedz Charlotte, że jest wspaniała.

DWADZIEŚCIA JEDEN

— Proszę bardzo, Matthew — powiedziała mama. Popatrzyłem na garść kuponów zniżkowych, które wpychała mi do rąk.

— Co to ma być? — zapytałem.

— A jak myślisz? — odparła surowo. Podniosłem jeden z kuponów i powiedziałem:

— To zniżka dziesięciopensowa na zupy w proszku.

— No właśnie — przytaknęła mama.

— Przecież nikt już nie korzysta ze zniżkowych kuponów, mamó. To takie...

Mama popatrzyła na mnie takim wzrokiem, jakby chciała rzucić mi wyzwanie.

— Grosz do grosza — oświadczyła, odwracając mnie i kierując do drzwi wyjściowych — a będzie kokoszą.

Powodem tej wymiany zdań było poczucie winy. Teraz, gdy wycieczki się skończyły, całymi dniami siedziałem w domu, patrząc, jak rodzice pracują. Chociaż mama i tata byli na emeryturze, mieli jeszcze bardziej protestanckie podejście do pracy niż kiedyś. Poza generalnymi porządkami, tata bez przerwy zbijał półki dla mamy. Ona z kolei wciąż wyplatała tandetne wiejskie koszyczki, do których wkładała lakierowane chałki oraz kompozycje kwiatowe, by całość stawiać na rzeczonych półkach taty. Cały czas pracowali, jak jakaś samonapędzająca się fabryka rękodziela artystycznego.

Praca, praca, praca. Dlatego w drugim tygodniu pobytu zaproponowałem, że zrobię zakupy w supermarkecie, by przejawić jakąkolwiek aktywność. Miałem wykorzystać do tego auto taty — nieskazitelny vauxhalla nova. Tato uwielbiał swój samochód; mył go co drugi dzień i miał też tubę farby do opon, którą nakładał raz w miesiącu, by lśniły kruczą czernią. Samochód był jego dumą i miłością, jednak to mama rządziła w rodzinie Beckfordów i nawet duma i miłość taty była do jej dyspozycji.

—Ja zrobię zakupy — odezwał się tata, nerwowo ściskając kluczyki. — To potrwa tylko chwilkę.

—Ale Matthew pierwszy zaproponował, Jack — odparła mama. — No i nie zapominaj, że musisz skończyć półki. Poza tym, niech Matthew wreszcie wyjdzie z domu i zrobi coś pożytecznego. .. dla odmiany.

Żywiłem pewną podszytą sentymentem sympatię do Safe-waya na głównej ulicy King's Heath. Kiedy Gershwin, Katrina, Ginny, Elliot, Bev i ja mieliśmy po siedemnaście lat, każde wieczorne wyjście zaczynało się od wędrówki tutaj, bo kiedy nie ma się zbyt wiele pieniędzy, supermarketowy alkohol to najskuteczniejszy sposób, by poczuć to samo co po wlaniu w siebie paru kufli piwa kupionego w pubie. Stojąc przy automatycznych drzwiach z boku sklepu, zbieraliśmy nasze kieszonkowe i pieniądze z weekendowych prac i wręczaliśmy je Elliotowi, bo wyglądał najstarzej. Potem on kupował nam tyle butelek thunder-birda, ile się dało, a my wypijaliśmy je w autobusie jadącym do centrum.

Podczas wyprawy do Safewaya spotkałem panią Brockel spod numeru sześćdziesiąt pięć, znaną mi od szóstego roku życia; państwa Butlerów, właścicieli kiosku; pana Mahoney, męża pani Mahoney, która wciąż była panią stop; panią Bates, przyjaciółkę rodziców, która opiekowała się mną i rodzeństwem po szkole, i panią Smith, która wszędzie chodziła w kapciach i pracowała w szkolnej stołówce. Nie zdziwiły mnie te supermarketowe spotkania. Wszyscy ci ludzie należeli do pokolenia, które wierzyło w rodzenie się, dorastanie, ślub, rodzenie dzieci, starzenie się i umieranie w tym samym miejscu albo przynajmniej gdzieś w pobliżu. Właśnie tacy jak oni

po wygraniu miliona dolarów na loterii nie wyprowadziliby się z tej okolicy, lecz raczej zainstalowaliby w oknach plastikowe podwójne szyby, o jakich zawsze marzyli, a resztę zachowaliby na przyjemną wycieczkę w niedalekiej przyszłości. Dopiero moje pokolenie, czyli ich synowie i córki, wpadli na niezbyt odkrywczy pomysł podróżowania po kraju w poszukiwaniu lepszego życia. A skoro już o tym mowa, spotkałem też kilku swoich kolegów ze szkoły średniej: Alexa Cravena (zapowiadał się na reprezentanta Anglii w krykiecie; obecnie jest gitarzystą i okazjonalnie dealerem narkotyków); Marka Bassetta (zapowiadał się na murarza, obecnie jest dyrektorem firmy budowlanej i właścicielem bmw) i na Jane Nicholson (zapowiadała się na najpiękniejszą kobietę świata; obecnie jest sprzedawczynią na pół etatu w Texas Homecare).

Kiedy wyszedłem ze sklepu z ciężkimi bagażami i ruszyłem do auta taty, pomyślałem o Nowym Jorku, odległym o całe lata świetlne.

I o swojej pracy, która teraz wydawała mi się tylko wymysłem mojej wyobraźni.

A potem pomyślałem o Elaine — i wciąż za nią tęskniłem, jakby to wszystko stało się wczoraj.

DWADZIEŚCIA DWA

Do: crazedelaine@hotmail.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Temat: Ty

Tęsknię za Tobą.

TLR

Do: crazedelaine@hotmail.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Temat: Ty

Tęsknię za Tobą.

Do: crazedelaine@hotmail.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Temat: Ty

Tęsknię za Tobą.

Do: crazedelaine@hotpr.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Temat: Ty

Tęsknię za Tobą.

Do: crazedelaine@hotpr.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Temat: Ty

Tęsknię za Tobą.

Do: crazedelaine@hotpr.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Temat: Ty

Łęsknię za Tobą.

Do: crazedelaine@hotmail.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Temat: Ty

Łęsknię za Tobą.

TLR

DWADZIEŚCIA TRZY

Dziś były urodziny Gershwina.

Dziś kończył trzydziestkę.

Dziś doczekał dnia, który miał nigdy nie nastąpić.

Jak zamierzał uczcić te urodziny nad urodzinami? Lotem balonem? Wyjazdem z kumplami na weekend do Dublina? Przyjęciem niespodzianką? Nie. Odkąd przyjechałem do Birmingham, Zoe i ja wspólnie łamaliśmy sobie głowę nad tym, co wyjątkowego przygotować na trzydziestkę Gershwina, i w końcu zarezerwowaliśmy dla niego weekend w Dublinie, ale parę dni później pokrzyżował nam plany.

—Te trzydzieste urodziny to cholernie przygnębiająca sprawa — powiedział pewnego poniedziałkowego wieczoru, tydzień przed zaplanowaną wycieczką. — Jeden facet w pracy, Steve, opowiadał mi o swojej trzydziestce. W ostatni piątek wrócił do domu z pracy, w nadziei na wieczór przed telewizorem w towarzystwie swojej dziewczyny. Kiedy otworzył drzwi, zastał w mieszkaniu dwadzieścioro pięcioro krewnych i znajomych oraz spakowane torby. Wysłali go na weekend do Edynburga! Był wściekły. Nie tylko musiał udawać, że świetnie się bawi na tych koszmarnych urodzinach, ale na dodatek postanowili mu je wydłużyć na cały weekend.

—Pewnie mieli zamiar go potorturować — oznajmiła ze śmiechem Zoe, ale za plecami Gershwina rzuciła mi przerażone spojrzenie. — Prawda, Matt?

—Musieli go bardzo nienawidzić — oświadczyłem. — My byśmy ci tego nie zrobili, Gershwin. Wymyślimy coś o wiele bardziej diabolicznego.

TLR

—Na przykład lot balonem — rzuciła Zoe.

—Albo przyjęcie niespodziankę — zasugerowałem.

—Albo weekend w Dublinie — powiedziała w końcu Zoe.

—Nie wyobrażam sobie nic gorszego — oświadczył z ożywieniem. — Teraz w Dublinie wszyscy Anglicy urządzą wieczory kawalerskie i pannieńskie. A co do lotu balonem i przyjęcia niespodzianki—mowy nie ma. W swoje urodziny chcę iść z paroma przyjaciółmi do pubu, i to niezbyt zatłoczonego.

Zoe i ja raz jeszcze zerknęliśmy na siebie, a kiedy Gershwin nie patrzył, wyszeptała przygnębiona:

— Odwołaj wycieczkę, ja zajmę się resztą.

Stanęło zatem na pubie, a jedynym smaczkiem w całej tej historii było to, że wybraliśmy na tę uroczystość pub Kings Arms w Moseley, nasze ulubione miejsce z młodości.

Pub Kings Arms był dość zatłoczony jak na środowy wieczór i całkiem przyzwoity program telewizyjny, o którym wspomniała mama, kiedy szykowałem się do wyjścia. Miejsce to niewiele się zmieniło, odkąd byłem tu po raz ostatni na Gwiazdkę pięć lat wcześniej — wtedy na corocznym spotkaniu stawiał się Gershwin, Zoe, ja i, na jakieś dziesięć minut, Pete (resztę Wigilii spędzał z rodzicami swojej dziewczyny w Derby). Zaplamiona nikotyną tapeta wciąż trzymała się ściany, obsługa też się nie zmieniła. Dodali tylko betonowy ogródek piwny, no i toalety były po remoncie. Mimo to wciąż panował tu klimat porządnego angielskiego pubu: było to miejsce, gdzie można usiąść, odprężyć się i pogadać z ludźmi, a nie dostawać po oczach strzelającymi światłami, a po uszach najnowszymi przebojami. W Nowym Jorku Elaine bez przerwy próbowała mnie wyciągać do przybytków odwiedzanych przez nią i jej kolegów z PR-u, co oznaczało trudne do

znalezienia bary ze zbyt drogim piwem, głośną muzyką i bez miejsc siedzących. Na samą myśl bolały mnie kolana.

Salka na tyłach pubu, w dawnych czasach zajmowana przez naszą gromadę, była teraz pełna wyluzowanych trzydziestolatków. Gadali, palili i generalnie dobrze się czuli w swoim towarzystwie. Kilka osób nawet trochę kojarzyłem z dawnych czasów, ale nie na tyle, by do nich zagadać. Z tyłu jednak, w jednym z kątów, siedział Gershwin, Zoe i grupka przyjaciół jubilate. Większości nie znałem. Zoe zaprosiła kolegów Gershwina z pracy i nie tylko. Przedstawiono mnie Davinie i Tomowi (przyjaciołom Zoe, którzy teraz byli przyjaciółmi Gershwina), Christinie i Joelowi (Christina była koleżanką Gershwina z pracy), Neilowi i Sarah (Neil był przyjacielem Gershwina z boiska) oraz Domowi i Polly (przyjaciołom Christiny i Joela, teraz bliskim przyjaciółom Zoe i Gershwina). Wszyscy wydawali się całkiem mili, ale nie czułem się odprężony, bo byłem jedyną samotną osobą w tej grupie. Nie przeszkadzałyby mi to aż tak bardzo, ale ze dwa razy w trakcie tego wieczoru usiłowałem opowiedzieć w miarę interesującą historię i nagle goście kierowali dyskusję na inne tory. W zwykłych okolicznościach — to znaczy, gdy jesteś w towarzystwie dziewczyny — możesz kontynuować swoją anegdotę, bez obawy, że wyjdiesz na: a) idiotę, b) nudziarza, c) jedno i drugie, bo przynajmniej jedna osoba jest na tyle uprzejma, by cię wysłuchać. Jednak kiedy tam siedziałem, z otwartymi ustami i niedokończoną zawieszoną w próżni historyjką, poczułem się niewiarygodnie samotny. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach nie byłem swobodny podczas rozmów z nowymi ludźmi, a duże grupy stanowiły dla mnie najgorszy koszmar. Pewnie to między innymi pociągało mnie w Elaine — nowe ani trochę jej nie onieśmiało: mogła iść na przyjęcie, nie znając nikogo, i po półgodzinie grupka ludzi spijała każde słowo, które padło z jej ust. Chyba właśnie dlatego tak bardzo odpowiadało mi towarzystwo starych kumpli — to jedyni ludzie, którzy nie zamieniają każdej rozmowy w zawody na popularność ani w maraton monologów.

Słuchałem Christiny i Joela, których opowieść na dwa głosy dotyczyła wysokiego rachunku za gaz, a kiedy zmęczyłem się byciem jedynym nie do pary, zaproponowałem, że przyniosę drinki. Chciałem usiąść przy barze i trochę się nad sobą politować. Trąciłem Gershwiną i zapytałem, czego się napije, po czym obszedłem stół.

Oparty na barze, z ciężkim sercem próbowałem sobie przypomnieć, czy Davina chciała dżin z tonikiem, czy też wódkę z tonikiem. Kiedy ktoś postukał mnie w ramię, odwróciłem się.

—Matt Beckford? — powiedział damski głos.

—Ginny Pascoe?

—Cholerny Matt Beckford! — wykrzyknęła, zarzucając mi ręce na szyję.

—Cholerna Ginny Pascoe! — krzyknąłem, ściskając ją. — To dopiero niespodzianka!

TLR

DWADZIEŚCIA CZTERY

Ostatni raz spotkałem Ginny na weselu Gershwinia niemal sześć lat temu, wcześniej nie widzieliśmy się przez pół roku. Rozmowa, która odbyła się trochę po północy na nieoświetlonym parkingu hotelu Grosvenor Country, brzmiała mniej więcej tak:

Ja: (całując ją namiętnie) To kiepski pomysł.

Ona: (całując mnie namiętnie) Masz rację. Idiotyczny.

Ja: Co my robimy?

Ona: Brak nam samokontroli?

Ja: Chyba nie.

Ona: No to dlaczego? Jesteśmy na to skazani?

Ja: (z przygnębieniem) Nie wiem. Nie wiem. Nie wiem.

Ona: To trwa już od siedmiu lat.

Ja: Przykre, wiem.

Ona: Kiedy po raz ostatni?

Ja: Chyba na pożegnalnym przyjęciu Bev z okazji jej (ponownego) wyjazdu do Indii.

Ona: (kręcąc głową) Nie!

Ja: Nie? Na pewno?

Ona: Trzy miesiące później, po parapetowie u Elliota.

Ja: (przypominając sobie) O tak. Okropność. To jak jakaś choroba, prawda?

Ona: Tak, ale co z tym zrobimy?

Ja: (z wahaniem) Chyba moglibyśmy... Myślałaś może, żeby... Myślisz, że moglibyśmy mieć normalny...

Ona: (panikując) Nie mów tego! Za nic tego nie mów!

Ja: Czego?

Ona: Chciałeś powiedzieć słowo na „z”, prawda?

Ja: (jawnie kłamiąc) Nie.

Ona: Chciałeś, palancie.

Ja: A nawet jeśli? To nie przestępstwo.

Ona: Owszem. Najpotworniejsze przestępstwo świata.

Ja: (nonszalancko) Wygłupiasz się.

Ona: No dobrze, wobec tego, co sugerujesz?

Ja: Niczego nie sugeruję. Po prostu rzuciłem myśl. Może ty też jakąś rzucisz?

Ona: (ze śmiechem) Może zawrzemy pakt?

Ja: Jakiego rodzaju?

Ona: Nie wiem. Na przykład, powiedzmy, że jeśli kiedyś w przyszłości...

Ja: .. jeśli oboje będziemy samotni...

Ona: ... i nie znajdziemy...

Ja: ... nikogo lepszego...

Ona: ... zejdziemy się, kiedy będziemy mieli...

Ja: .. po dwadzieścia sześć lat...

Ona: (z oburzeniem) Mowy nie ma! Zwariowałeś? To już za dwa lata!

Ja: (też z oburzeniem) Dobra, sama wybieraj.

Ona: (myśląc) Dwadzieścia siedem to zbyt blisko dwudziestu sześciu, więc wykluczam. (Cisza) W wieku dwudziestu ośmiu lat dalej będę się koncentrowała na karierze, więc też wykluczam (znów cisza). Dwadzieścia dziewięć brzmi lepiej... ale dla bezpieczeństwa powinniśmy poczekać aż do trzydziestki.

Ja: Do trzydziestki? Jesteś pewna?

Ona: Z pewnością. (Lekko) Trzydziestka to za milion lat.

Ja: No dobrze. Skoro to umowa, przypieczętujmy ją.

Ona: (ze śmiechem) Zapomnij o uścisku dłoni. (Unosi sugestywnie brwi) Mam lepszy pomysł na przypieczętowanie umowy. .. Na czym stanęliśmy?

TLR

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Pierwsze pytanie, jakie przyszło mi do głowy, kiedy oderwaliśmy się od siebie, taksując się wzrokiem, brzmiało — rzecz jasna — jak bardzo się zmieniła od naszego ostatniego spotkania? Nie za bardzo. Na pewno nie aż tak jak ja. Miała trochę krótsze włosy i parę zmarszczek wokół oczu, co tylko podkreślało jej urodę. Cała reszta — uśmiech, śmiech, gestykulacja — były dokładnie takie jak kiedyś. Wyglądała interesująco: włożyła czarny rozpinany sweter, czarny obcisły top, czarną spódnicę do kolan i olśniewająco białe buty nike. Bardzo ładny zestaw. Czy mi się podobała? (To, rzecz jasna, drugie pytanie, które sobie zadałem, gapiąc się na nią). Nie wiedziałem. Tak? Nie? Może? W ułamku sekundy przerobiłem wszystkie opcje. Dwukrotnie. Ława przysięgłych udała się na obrady.

—Co u ciebie? — spytała z ożywieniem. Objęła mnie w pasie, nie kokieteryjnie, ale jak przyjaciółka. Zadając mi to pytanie, miała skupioną minę, jakby naprawdę zależało jej na odpowiedzi.

—Dobrze — odparłem.—Nieźle. Naprawdę dobrze. — Jakiś starzec usiłował wcisnąć się między nas i zmusił ją do opuszczenia ręki. — Kopę lat...

—Tak — przerwała. — Nadal mieszkasz w Londynie?

—W Nowym Jorku.

— O rany! — wykrzyknęła. — Z King's Heath do Nowego Jorku. Nie wielu ludziom to się udaje.

Pokręciłem głową.

— A więc przyjechałeś z wizytą do rodziców? Pokiwałem głową.

Ginny na chwilę zamilkła.

— Porozmawiasz ze mną czy będę musiała zgadywać? To trochę przypomina szarady, ale jest mniej interesujące.

Znowu pokręciłem głową, zamiast odpowiedzieć, głównie dlatego, że wciąż usiłowałem wydedukować, czy mi się podoba, czy nie.

—Przepraszam — powiedziałem, biorąc się w garść. — Tak, masz rację. Przyjechałem zobaczyć się ze starszankami. No wiesz, spędzić cenny czas z rodziną, w ciepłe domowego ogniska.

—No i jak? — zapytała z uśmiechem. — Cenisz sobie czas z mamą i tatą Beckfordami?

—Jest okropnie. — Żartobliwie złapałem się za głowę.— Doprowadzają mnie do szału. Ilekroć wchodzę do pokoju, próbują mnie wciągnąć w jedną ze swoich dziwacznych rozmów, Od mojego przyjazdu zdążyli już omówić ceny londyńskich domów, obgadać nieciekawego trzeciego męża cioci Jean i ustalić, które z nas lubi brukselkę. Zupełnie jakbym wkroczył w jakiś surrealistyczny koszmar. Kocham ich, jednak... — Umilkłem,; nie chcąc zdominować rozmowy, ale myśli Ginny najwyraźniej błędziły gdzie indziej. — To znaczy... sam nie wiem. A co ty tu robisz?

—W Kings Arms?

—Zacznijmy od tego.

—A, chodzi ci o Birmingham, tak? Akurat w pubie z kimś się umówiłam. To mój pub —jeśli w ogóle mam jeszcze jakiś pub, ostatnio bez przerwy pracuję.

— Doszły mnie wieści, że mieszkałaś w Brighton, tak? Skinęła głową i natychmiast odwróciła wzrok.

—Tak, ale to już było jakiś czas temu. Mama umarła, dlatego wróciłam.

—Przykro mi — powiedziałem. — Z powodu twojej mamy. To straszne.

Uśmiechnęła się łagodnie.

— Nie przejmuj się. To się stało półtora roku temu. Najgorsze już minęło,

— Twoja mama była naprawdę miłą kobietą — dodałem.

Mówiłem poważnie. Z mamą Ginny można było pogadać i ta rozmowa nie wypadła sztucznie. — Zawsze proponowała, że zrobi nam fasolkę na toście, niezależnie od pory dnia.

— Tak, to prawda. — Uśmiechnęła się.

— Zmarła nagle?

— Nie. To był rak. Długo chorowała, ciągle krążyła między domem a szpitalem, a kiedy lekarze oświadczyli, że jej stan jest poważny, rzuciłam pracę i przyjechałam tu z Brighton, żeby się nią zaopiekować. Zawsze byłyśmy tylko we dwie, więc po jej śmierci odziedziczyłam dom. Najpierw chciałam go sprzedać i się wyprowadzić, ale potem doszłam do wniosku, że równie dobrze mogę zostać. No i zostałam. Chyba i tak nie mogłabym sprzedać tego domu... zbyt wiele wspomnień.

— Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Bardzo mi przykro.

— To się zdarza — odparła i wzruszyła ramionami, uśmiechając się z zakłopotaniem. Znów się uścisnęliśmy, tym razem bez słowa.

— A jak ty się trzymasz? — zapytałem po pewnym czasie.

— Chyba już to przerabialiśmy, Matt. — Uniosła kpiąco brwi. — Nic mi nie jest, poważnie. — Jej spojrzenie powędrowało do drzwi wejściowych. — Wiesz, jak to jest. Są lepsze i gorsze dni, dziś jest lepszy. — Uśmiechnęła się do mnie. — Poza tym, co robisz w Nowym Jorku, ty palancie?

— Zajmuję się komputerami.

— Czyli co? Konstruujesz je? Używasz ich? Nosisz je na głowie? Zawsze miałeś problem z opisywaniem detali.

— To nudne. — Chciałem zmienić temat. — Daję słowo.

— Spróbujmy.

— Tworzę oprogramowania do systemów bankowych. To bardzo nużące.

—Ale niezbędne — oświadczyła dyplomatycznie. — Bez takich ludzi jak ty moja pensja dużo później docierałaby na konto. Co prawda, oznaczałoby to również, że wolniej bym ją wydawała. Ogólnie rzecz biorąc, myślę jednak, że w moim życiu więcej z ciebie pożytku niż szkody.

—A ty? — spytałem szybko. — Co ty robisz?

—Uczę plastyki.

—Uczysz plastyki? Brawo. Nauczyciele plastyki to najfajniejszy typ nauczycieli — wędrują ze sztalugami, są świetni, zachęcają trzynastoletków, żeby zajrzeli w głąb siebie.

Roześmiała się.

—Gdzie uczysz?

—Zgadnij.

—Chyba nie w gimnazjum King's Heath?

—A owszem.

—I jak się tam czujesz?

—Dziwacznie. Pierwszego dnia weszłam do pokoju nauczycielskiego i natychmiast poczułam się jak oszustka. Tam, na wprost mnie, stali pan Collins, pan Heynes, pani Perkins i pan Thorne.

—Nic nie mów — zaśmiałem się. — Niech spróbuję: pan Collins od geografii, pan Haynes od fizyki, pani Perkins od matematyki i pan Thorne od angielskiego?

—Prawie dobrze — odparła. — Pan Haynes uczy historii.

—Teraz muszą mieć z milion lat, bo mieli pół miliona, kiedy my się tam uczyliśmy.

— Wiem — westchnęła. — I jestem jedną z nich. Urwaliśmy rozmowę, żebym zamówić drinki. Gershwin i jego kumple pewnie umierali już z pragnienia. W tej samej chwili oświeciło mnie, że Ginny nadal na kogoś czeka. Nie spytałem, czy to mężczyzna, byłoby to zbyt wścibskie. Ginny jednak najwyraźniej interesowała się mną równie mocno jak ja nią, bo gdy barman przystąpił do realizowania mojego zamówienia, zaczęła zadawać mi bardziej osobiste pytania.

—Ktoś wyjątkowy w twoim życiu? — zapytała. — Dzieci? Zwierzątka?

—Wyjątkowe osoby: jedną była dziewczyna w Stanach. Dzieci brak, zwierzątek brak. — Czułem ulgę, że mam to z głowy. — A ty?

Wzięła głęboki oddech i zaczęła:

— E... wyjątkowi ludzie: jeden chłopak, okropnie spóźniony. Dzieci brak—to znaczy nie licząc setki, którą uczę, rzecz jasna. Zwierzątka są, dwa kotki — Larry i Sanders.

Znowu nastąpiła przerwa w rozmowie, kiedy barman brał ode mnie pieniądze. Wykorzystałem ten czas na podjęcie decyzji. Pytanie brzmiało: czy chcę ją jeszcze spotkać? Odpowiedź: tak.

— Jak bardzo spóźnia się twój chłopak? — spytałem.

—Ujmijmy to w ten sposób — kiedy przyjdzie, zamierzam mu wymyślać przez co najmniej pół godziny.

—Jeśli nie masz ochoty, po prostu odmów, ale może przywitasz się z Gershwinem? Też tu jest. Ma dziś trzydzieste urodziny. Z przyjemnością cię zobaczy.

—Trzydziestka — powiedziała. — Ja skończyłam trzydziestkę w grudniu. Było okay. Niezły ubaw. — Urwała. — Jesteś pewien?

—Że Gershwin ma dziś trzydzieste urodziny? Popatrzyła na mnie groźnie.

—Że mam się z nim przywitać. Nie chcę rozwalać imprezy.

—Oddasz mi przysługę — wyznałem. — Jestem ja, Gershwin, Zoe i cała gromada nowych kolegów Gershwina, których nie znam i którzy nie chcą słuchać moich zabawnych opowieści. — Ginny wydawała się bardzo niezdecydowana. — Wyjaśnię to inaczej: dołącz do nas, bo być może będę zmuszony zrobić coś drastycznego.

—Na przykład?

Uniosłem brwi, złapałem tacę i pozostawiłem to pytanie bez odpowiedzi. Ginny poszła za mną.

TLR

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

— Gershwin! — zawołałem, gdy dotarłem do stolika. — Zgadnij, na kogo przed chwilą wpadłem?

Uniósł głowę, po czym natychmiast zerwał się z miejsca, by wyściskać Ginny.

—Nie widziałam cię od naszego ślubu! — wykrzyknęła Zoe, również całując Ginny. — Cudownie cię widzieć.

—Ja też się cieszę — oświadczyła Ginny.—Powinnam była utrzymywać z wami kontakt. Po prostu słabo mi to wychodzi.

—Jak nam wszystkim — oznajmił Gershwin.

—To przeze mnie tak późno dostaliście drinki — wyjaśniła Ginny reszcie osób przy stole, która nie wiedziała, co się dzieje. — Wpadłam na Matta i usiłowaliśmy nadrobić ostatnie sześć lat. — Zaśmiała się i popatrzyła na mnie. — Gershwin, Matt i ja chodziliśmy do tej samej szkoły.

—Słuchajcie, to Ginny — powiedział Gershwin. — Ginny... — Widziałem po jego minie, że usiłuje zdecydować, czy ma przedstawiać ich osobno. Rozmyślił się. — Ginny, to wszyscy.

Kiedy Gershwin usiadł, rozmowa potoczyła się bardzo sprawnie. Pierwszy temat, który wypłynął, wiązał się z przybyciem Ginny: każdy chciał wiedzieć, jaki był w szkole Gershwin? Z uprzejmości wszyscy popatrzyli na Ginny, by zaczęła, więc opowiedziała im, jak mieliśmy po trzynaście lat, a Gershwin, Pete, Elliot i ja poszliśmy na film Breakdance — The Movie.

Chociaż nie potrafiliśmy tańczyć, nie mówiąc już o kręceniu się na głowach, tak nas poruszył ten obraz, że uznaliśmy, iż zdołamy tak zatańczyć na miejscu, w kinie. Uważaliśmy, że fantastycznie się prezentujemy w błyszczących spodniach od dresu i podkoszulkach z napisami, ale skończyło się na otarciach od dywanu, bólu głowy i miesięcznym szlabanie na kino. Potem każdy, poczynając od Sarah (tej od Sarah i Neila), na Polly (od Dorna i Polly) kończąc, opowiadał szkolne anegdoty.

Właśnie w tej chwili Ginny postanowiła skorzystać z okazji i udać się na poszukiwanie swojego chłopaka. Kiedy wróciła pięć minut później, z facetem w krawacie, nie powiedziała: „Słuchajcie wszyscy, to...”, bo byłoby to żenujące. Posadziła go obok siebie, poczekała, aż wszyscy uniosą na powitanie brwi, a potem przedstawiła go naszej stronie stolika, czyli Zoe, Gershwinowi i mnie.

— Ian — powiedziała, wskazując na niego. — To Zoe, jej mąż — i mój dawny kolega ze szkoły — Gershwin, oraz Matt, jeszcze jeden kolega ze szkoły. — Umilkła i wskazała na nowo przybyłego. — Wszyscy, to Ian.

Był inny, niż się spodziewałem. Ginny zawsze powtarzała, że ma słabość do trochę zapuszczonych facetów. Pamiętam, jak mówiła kiedyś, że mężczyzna z jej marzeń to taki, który zaraz po przebudzeniu sięga po papierosa i zapalniczkę, Ian nie przypominał nikogo takiego. Był wysoki, schludny, przystojny, w dziewczęcy sposób, i mniej więcej w moim wieku.

—A więc chodziliście z Ginny do szkoły — powiedział.

—Tak — przytaknął Gershwin. — Mam wrażenie, że minęło mnóstwo czasu.

—Może dlatego, że minęło mnóstwo czasu. — Zoe czule potargała włosy Gershwina. — Tak, starcze. Twoje szkolne lata to już przeszłość.

Po drugiej stronie stolika toczyła się dyskusja o programach nadawanych w telewizji w czasach naszego dzieciństwa, która stopniowo pochłonęła Gershwina i Zoe. Chętnie wziąłbym w niej udział, żeby zaprezentować

znajomość imion wszystkich bohaterów oldskulowych filmów animowanych, takich jak Załoga G (Mark, Jason, Księżniczka, Mały, Keyop), ale wiedziałem, że nie zdołam się wtrącić. Wobec tego zainicjowałem rozmowę z Ginny i Ianem, Ian był nie tylko pod wrażeniem mojej znajomości bohaterów Załogi G, ale sam zasłużył na mój podziw i szacunek, recytując słowa motywu przewodniego z serialu Hong Kong Phooey, nawet ten trudny fragment. Rozmowa przeszła w końcu na zupełnie inne tematy i zanim się zorientowałem, rozplýwaliśmy się nad ulubionymi pieśniarkami, chwaliiliśmy granatowe lub czarne ubrania i praktyczność noszenia takiej samej fryzury przez wiele lat.

Ze wszystkich ludzi poznanych tego wieczoru Ian wzbudzał moją największą sympatię. W końcu przerobiliśmy ulubione tematy i przyszedł czas na opowiadanie o sobie.

—Ja też jestem nauczycielem, chyba za karę — powiedział Ian. — Tak poznałem Ginny. Jestem nauczycielem na zastępstwa. Wystarcza na opłacenie rachunków.

—Nie jesteś tylko nauczycielem na zastępstwa! — skarciła go ze śmiechem Ginny. — Ian pisze doktorat, na pół etatu. No już, Ian, powiedz mu.

Uśmiechnął się, zakłopotany jej wręcz macierzyńskim entuzjazmem.

—No tak, jak subtelnie zauważyła Ginny, piszę doktorat z meteorologii. Kompletnie niepraktyczna dziedzina. Kupa bredni. Nie wiem, czemu to robię.

—Zignoruj go — mruknęła niecierpliwie Ginny. — Będzie nauczycielem akademickim. Nie mam pojęcia, po co się tak umniejsza.

Widziałem, co jej się tak podoba w Ianie. Był czarujący i zabawny, ale jednocześnie nieśmiały, wręcz bezbronny. Jednak w przeciwieństwie do mnie nie obawiał się nowych kontaktów i kiedy wróciłem z ubikacji, Ian opowiadał całemu stolikowi historyjki, jedną po drugiej, wszystkie na temat: „Ale ze mnie niezguła”. Za każdym razem, gdy kończył, wydawał się zakłopotany, że zdominował rozmowę, i zachęcał innych, by wzięli w niej

udział. Rzecz jasna, nikt tego nie robił, bo choć i oni mieli mnóstwo zabawnych anegdot do opowiedzenia, nikt nie chciał się produkować tuż po lanie. I tak zostało, Ian. Znowu Ian. „Ale jesteś zabawny, Ian”. „Mogę ci postawić drinka, Ian?” I, pod koniec wieczoru: „Musimy wymienić się telefonami i znowu spotkać, Ian”. Najśmieszniejsze, że wcale mnie to nie irytowało. Naprawdę polubiłem Iana. Pod wieloma względami przypominał mi Elaine. Ona miała taką samą zdolność przyciągania uwagi innych i zaprzyjaźniania się z nieznajomymi w sekundę.

TLR

DWADZIEŚCIA SIEDEM

Była za dziesięć jedenasta i, jakby na sygnał, przyjaciele Gershwinia zaczęli wkładać na siebie płaszcze i kurtki i zbierać się do domu.

— No dobra — wybełkotał Gershwin, który w tym momencie już nie za bardzo nadawał się do użytku. — Kto ma ochotę na wypad do klubu?

Na twarzach gości pojawiło się przerażenie—taki wyraz twarzy ma większość par około trzydziestki, kiedy ktoś proponuje balowanie w środku tygodnia. Niemal widziałem, jak ich myśli biegną do godziny, o której trzeba wstać do pracy, widziałem, jak wyobrażają sobie wstawanie na kacu, pracę na kacu i powrót do domu na kacu. Na samą myśl o tym kacu robiło im się niedobrze. Znałem to spojrzenie, bo nieraz gościło na mojej twarzy, kiedy Elaine i jej kumple sugerowali takie rozrywki w tygodniu.

—Ja mam — powiedziałem Gershwinowi, radośnie świadom, że jutro mogę sobie pospać. — Zdecydowanie.

—Dobrze — przytaknął. — Kto jeszcze?

Posypały się następujące przeprosiny tudzież wymówki:

—Bardzo chętnie, Gershwin — powiedziała Davina (od Daviny i Toma)
—ale jutro oboje musimy iść wcześniej do pracy.

—Dziś nie mogę, stary—oznajmił Dom (od Doma i Polly). — Z rana mam spotkanie z szefem, a Polly musi być w Cheshire o wpół do jedenastej.

—Nie moglibyśmy, nawet gdybyśmy bardzo chcieli — oznajmiła Christina (od Christiny i Joela). — Moja siostra nie będzie siedzieć z dzieckiem po wpół do dwunastej.

— Nic z tego, jubilate — powiedział Neil (od Neila i Sarah).

— Jutro w nocy mam dyżur w szpitalu, a Sarah się wścieka, kiedy się nie wyśpi.

— Ja też nie mogę — powiedział Ian (od Iana i Ginny). — I tak się spóźniam z doktoratem.

Byłem przerażony.

—Daj spokój, Ian, stary — powiedziałem ze zbytnim entuzjazmem. — Nie możesz iść do domu: jesteś moim nowym najlepszym przyjacielem.

—Doceniam twoją szczerość — roześmiał się Ian — ale naprawdę nie mogę.

Gershwin popatrzył na Zoe z nadzieją.

— A ty, skarbie?

—Pewnie tego pożałuję — westchnęła — ale skoro Charlotte śpi dziś u dziadków, mogę oficjalnie znowu być młoda. Zgadzam się.

—Na pewno? — spytał Gershwin. — Wiem, jaka jesteś zmęczona.

Zoe oparła czoło na czole męża i go pocałowała.

— Tak, jestem pewna. Ale jestem też tak zmęczona, że na pewno zasnę w chwili, gdy tam dotrzemy.

Gershwin też ją ucałował.

—No dobrze, to jest was dwoje. — Odwrócił się do Ginny. — A ty, Gin? Poza Mattem jesteś moją najstarszą przyjaciółką. Nie widziałem cię od wielu lat. Chyba nie wrócisz tak po prostu do domu.

—Nie mogę długo siedzieć w zwykły dzień — odparła Ginny, nieco zawstydzona swoim słowami. — Dzieciaki się zorientują, co robiłam, jeśli przyjdę na lekcje z przekrwionymi oczyma.

Zaśmiałem się i popatrzyłem na nią. Nasze spojrzenia skrzyżowały się na ułamek sekundy i wiedziałem już, że jest gotowa zmienić zdanie.

— Proszę! — błagał Gershwin.

Popatrzyła na Iana, a on się uśmiechnął i kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć: „No idź, pobaw się trochę”.

— Przez cały dzień będę musiała nosić okulary przeciwsłoneczne! — oznajmiła radośnie.

DWADZIEŚCIA OSIEM

Po rozstaniu z przyjaciółmi Gershwin i Ianem, stojąc przed Kings Arms na mrozie i patrząc, jak para z naszych oddechów wznosi się w niebo, nasza czwórka nie za bardzo wiedziała, co dalej.

— Bierzemy taksówkę do centrum? — spytała Ginny.

—Może najpierw zaplanujemy, co robić? — zaproponowałem. — Gdzie warto iść o godzinie... — popatrzyłem na zegarek — dziesięć po jedenastej w środę?

—Możemy iść do Dome — zaproponowała Zoe. — Chyba w środy urządzą tam studencką noc.

—Nie możemy tam iść — oznajmiła przerażona Ginny. — Wiem na pewno, w Dome bywają niektórzy z moich uczniów!

—No to gdzie? — zapytałem Gershwin.

—Nie wiem, stary. Od lat nie imprezowałem.

Zapadło długie milczenie, wszyscy marzliśmy i (jeśli reszta myślała to samo co ja) rozważaliśmy powrót do domu.

— Zapomnijcie o klubie — odezwała się nagle Ginny. — Wskoczmy do monopolowego po kilka piw, pójdziemy do mnie i będziemy siedzieli przez całą noc.

Było to wyraźne nawiązanie do czasów naszej młodości. Wtedy siedzenie przez całą noc wydawało się takie dorosłe, wiele razy tego próbowaliśmy. Słabo nam szła ta walka o tytuł imprezowicza roku i zawsze odpadaliśmy przed świtem. Od tamtych czasów, rzecz jasna, nieraz siedziałem do rana, ale dawno temu. Bardzo dawno temu.

Gershwin i Zoe popatrzyli na mnie. Ja popatrzyłem na Gershwina. Ginny popatrzyła na nas wszystkich i powiedzieliśmy jednocześnie:

— Zróbmy to.

Podróż do domu Ginny przypomniła mi, jak setki razy nad ranem odprowadzałem ją do domu. Wciąż były tu niemal wszystkie charakterystyczne punkty, które lubiłem liczyć podczas tej wędrówki: skrzynka pocztowa na rogu Ethel Street, smażalnia frytek na Podmore Road i zebra na High Street. Brakowało tylko olbrzymiej ruiny na Valentine Road, którą wyburzono i zastąpiono dwoma nowymi luksusowymi domami dla najbogatszych.

Po dotarciu na miejsce zaczął nam doskwierać potworny głód, więc zrobiliśmy najazd na szafki kuchenne u Ginny i udało się nam znaleźć gigantyczną paczkę chrupek nachos i słoik salsy. Do tego doszedł niechlujnie utarty cheddar i za pomocą mikrofalówki urządziliśmy sobie ucztę. Po niej Ginny nastawiła muzykę (największe przeboje Wham!) i rozsiedliśmy się, opowiadając historyjki o tym, co się zdarzyło, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni, starannie unikając zwrotów: „Pamiętasz, jak...” i „A co się stało z...”, żeby Zoe nie czuła się wykluczona z rozmowy. Kiedy byłem z Elaine, przerobiłem całkiem sporo rozmów o jej przyjaciółkach z liceum i college'u i miałem dość rozumu, żeby nie dręczyć tak innych.

Kiedy wróciłem po kolejnym przeglądzie szafek kuchennych Ginny, uzbrojony w paczkę herbatników, pudełko krakersów i opakowanie wisienek w cukrze, podśpiewując Club Tro-picana, Gershwin kazał mi się uciścić, bo Zoe, jak zapowiadała, usnęła w fotelu.

— Moja żona to mięczak — oznajmił ze śmiechem.

— Zostawiamy ją tu? — spytała Ginny. — Może spać w moim łóżku, jeśli chce. Skoro mam siedzieć przez całą noc, na pewno nie będę biegać po schodach. — Spojrzała na mnie i żartobliwie trąciła mnie nogą. — Na górze jest jeszcze jeden wolny pokój, jeśli i ty czujesz, że nie dasz rady.

— Zostanę do samego końca — powiedziałem.

— Na pewno Zoe może się przespać na górze? — spytał Gershwin. — Jeśli chcesz, zamówię taksówkę, żeby odwiozła nas do domu.

— Daj spokój — parsknęła radośnie Ginny. — To nie problem.

Gershwin delikatnie potrząsnął Zoe.

— Ginny powiedziała, że możesz spać w jej łóżku. Chcesz? Pokiwała głową, nawet nie otworzywszy oczu.

— Na pewno nie chcesz jechać do domu? Wybełkotała coś w odpowiedzi.

— No dobrze. — Gershwin wziął ją na rękę. — Chodźmy do łóżka.

— Wykończona? — zapytałem Ginny po jego wyjściu.

— A skąd. — Umilkła. — Podaj wisienki, kłocu. — Podałem jej pudełko, a ona wrzuciła kilka owoców do ust. — Fantastyczne.

Zgłodniałem, obserwując, jak je, więc wziąłem krakersa.

— Ian jest miły — oświadczyłem i mlasnąłem. Chciałem powiedzieć coś mniej banalnego, ale słowo „miły” chyba podsumowywało go najlepiej.

— O tak. — Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Od jak dawna się spotykacie?

—Ze dwa lata.

—Ale nie zamieszkaliście razem?

—Nie, nie — zaprzeczyła gwałtownie. — On ma swoje mieszkanie, ja swoje.

—Zamierzacie zamieszkać razem?

—Myślałam, że jesteś programistą, a nie doradcą małżeńskim — oświadczyła. — Nie, Ian i ja nie planujemy razem mieszkać. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Dobrze nam tak, jak jest, wielkie dzięki. Bardzo mi pochlebia twoja troska o moje życie uczuciowe, ale może powiesz coś o swoim?

—Co?

—O tej byłej dziewczynie. Jest Amerykanką?

—Ma na imię Elaine — odparłam. — Tak, jest Amerykanką.

—Jaka jest?

—Była bardzo fajna. Jest bardzo fajna — poprawiłam się natychmiast.

—Co poszło nie tak?

—Przyzwyczajenie rodzi niezadowolenie, jak sądzę.

—Dotarliście do tego etapu — westchnęła. — Uciekające spojrzenie i tak dalej?

—Uznaliśmy, że lepiej będzie zakończyć ten związek, zanim zaczniemy toczyć pianę z pyska.

—Hmm — mruknęła Ginny, oblizując wargi. — Ładna przenośnia, Matthew. Powinieneś się zatrudnić jako autor tekstów do kartek okolicznościowych. — Umilkła. — Skoro więc ten związek nie miał przyszłości, skąd ta nuta żalu, którą słyszę w twoim głosie?

—Bo... — Przerwało mi wejście Gershwina do pokoju.

—Chyba wam nie przeszkadzam, co? — spytał z kpiącym uśmiechem.

Ginny i ja wymieniliśmy spojrzenia.

—Nie — odparłam. — Rozmawialiśmy tylko o tym, jak się spasełeś. Naprawdę przybrałeś na wadze, chłopie.

—Dość tych kpin — oświadczył radośnie. — Do roboty.

—Jakiej roboty? — spytała niewinnie Ginny. Po chwili wybuchnęła śmiechem. — Wiem, że to beznadziejne, ale przez cały wieczór miałam na to ochotę. Uwielbiam rozmawiać o dawnych czasach, naprawdę. — Otworzyła paczkę herbatników, złapała jeden i usadowiła się w fotelu. — Wdzieliście ostatnio kogoś z naszej paczki?

Gershwin i ja potrzęsneliśmy przecząco głowami.

—Jakiś milion lat temu, kiedy jeszcze mieszkałam w Brighton, Bev przysłała mi pocztówkę — powiedziała. — Niezbyt dobrze się wtedy czułam i zapomniałam do niej zadzwonić. Kiedy w końcu to zrobiłam, już się wyprowadziła.

—Dokąd? — chciał wiedzieć Gershwin.

—Nie wiem, nie zostawiła informacji. Pewnie ratować wieloryby czy coś. Ładna ta pocztówka. Z Nowej Zelandii.

—Znacie młodszego brata Pete'a, Raya?—zaczął Gershwin. — Kiedy byliśmy nastolatkami, chodził z taką myszowatą. Zoë i ja wpadliśmy na nią rok temu, podobno wciąż utrzymują kontakt. Spytałem ją o Pete'a, powiedziała, że chyba się ożenił.

—Pete? — zapytała Ginny. — On? Ożenił? W życiu.

—Na pewno ma dziecko.

—Pete jest żonaty i ma dziecko? — prychnęła z niedowierzaniem. — W życiu. W życiu. W życiu.

—A ty kogoś spotkałeś, Matt?

Chwyciłem herbatnik, usiłując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziałem któreś z naszych przyjaciół.

—Chyba ostatnią osobą, którą spotkałem, był Elliot. Ale to było ze trzy lata temu, kiedy mieszkałem w Londynie. Mama dała mu numer mojej komórki i zadzwonił do mnie z nienacka, bo przyjechał do miasta na jakąś konferencję i chciał się spotkać. Nie miałbym nic przeciwko temu, ale było za dziesięć dwunasta w nocy i leżałem w łóżku. Pół godziny później podjechał po mnie szpanerskim wozem firmowym i spędziliśmy kompletnie nie-normalną noc — w hinduskich restauracjach, klubach dla członków, barach

hotelowych i tak dalej. Padłem w jego pokoju hotelowym. Wymieniliśmy numery i tak dalej, ale żaden z nas nie zadzwonił.

—Typowy Elliot — przytaknął Gershwin.

—A Katrina? — spytał Gershwin. — Co u niej?

—Ostatnio rozmawiałam z nią na twoim ślubie — odparła Ginny. — Mieszkała w Londynie, prawda?

—Owszem — powiedziałem. — Przeniosła się tam, bo postanowiła zostać naczelną „Vogue”. Była bardziej zdeterminowana niż reszta z nas. Ciekawe, czy jej się udało.

Ginny westchnęła ciężko.

—Wiecie co?

—Co? — spytałem niepotrzebnie. Doskonale wiedziałem, co powie.

—Bardzo za tym tęsknię — oświadczyła. — I za tamtymi czasami.

—Ja też — dodał Gershwin.

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Kiedy obudziłem się następnego ranka i zrozumiałem, że patrzę na sofę, przez chwilę miałem wrażenie, że wróciłem do Nowego Jorku i leżę na Piekielnej Sofie. Gershwin spał na mniejszej sofie w kącie pokoju, a Ginny zwinęła się na fotelu, na którym wcześniej siedziała. Musieliśmy zasnąć w trakcie wspomnienia, bo przypominałem sobie jedynie, jak wciąż powtarzamy, że nie zaśniemy przez całą noc i będziemy budzić to z nas, które znacznie drzemać.

Ten cały wieczór, od chwili, w której znów ujrzałem Ginny, przypominał mi, czego się pozbawiam, nie utrzymując kontaktu ze starymi przyjaciółmi. Rozmawiając z nimi, czułem się tak, jakbym znał Gershwina i Ginny od zawsze. Znali tego mnie, który został zawieszony za odpalenie bomby cuchnącej na angielskim; tego, który tak się schlał na szesnastych urodzinach Nadine Baggot, że spędził noc w ogrodzie, a następnego dnia trafił do szpitala z powodu wychłodzenia. Tylko oni i reszta naszej paczki pamiętali tamte czasy.

Bez budzenia pozostałych poszedłem do ubikacji, potem wziąłem sobie kromkę chleba z pojemnika na pieczywo w kuchni, żeby zapobiec skurczom żołądka z głodu, i wyszedłem. Spojrzałem na zegarek: niemal za kwadrans szósta. Niespanie o tej porze dnia miało w sobie coś bardzo pociągającego: stałem na ulicy we wczorajszym ubraniu, lekko nieświeży i zmordowany. Przypomniało mi to imprezy z przeszłości, dni, w których faktycznie mogłem uprawiać dubbing aż do czwartej rano. Przypomniało mi, jak było kiedyś.

Niestety po powrocie do domu coś jeszcze przypomniało mi, jak było kiedyś. I to już w progu.

— To ty, Matthew?

U szczytu schodów stała mama, w nocnej koszuli, szlafroku i z marsem na twarzy.

— Tak, jasne — odparłem. Przecież wiedziała, że to ja.

— Gdzieś ty był? Nic nie mówiłeś, że wychodzisz na całą noc. Nie dzwoniłeś. Nie dałeś znaku życia. Nie wierzę, że do tego stopnia nie liczysz się z innymi.

Odkryłem, że ciężko oddycham—niezawodny znak, że próbuję zachować cierpliwość. Oczywiście, instynkt podpowiadał mi, że powinienem wyjaśnić matce, że mam niemal trzydzieści lat i prawo wracać do domu o szóstej nad ranem, ale w ten sposób niczego bym nie osiągnął. Potem przyszło mi do głowy, że mama ma rację: byłem samolubem, nic jej o tym nie mówiąc. Nie jej wina, że martwi się o mnie. Zawsze się martwiła, niezależnie od tego, czy byłem w Nowym Jorku, czy pod jej dachem.

—Przepraszam — powiedziałem. Żeby udobruchać mamę, wszedłem na górę i ucałowałem ją w policzek. — Masz rację, powinienem był zadzwonić. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Chyba nie czekałaś na mnie przez całą noc, prawda?

—Chyba żartujesz — odparła. — Po prostu mam lekki sen. Lepiej się połóż — dodała. — Wyglądasz okropnie.

TRZYDZIEŚCI

Do: mattb@c-tec.national.com

Od: crazedelaine@hotmail.com

Temat: Kilka milionów e-maili od Ciebie...

Drogi Matt,

dzisiaj po przyjściu do pracy dostałam wszystkie Twoje e-maile „Tęsknię za Tobą” i urządziłam taki ryk, że musiałam się ukryć w damskiej toalecie. Szkoda, że mnie nie widziałeś – mascara mi spłynęła i wyglądałam jak panda. Ale dupa ze mnie.

Uściski,

Elaine

PS. Wystarczy tęsknienia. Okay?

Do: crazedelaine@hotmail.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Temat: Przepraszam

E, nie chciałem Cię zasmucać. Przepraszam.

Matt xxx

TLR

TRZYDZIEŚCI JEDEN

— Matthew, telefon do ciebie — powiedział głos w moim śnie. — Matthew, telefon do ciebie — powtórzył.

Dopiero po trzecim „Matthew, telefon do ciebie” i dudnieniu mamy w drzwi ocknąłem się i uświadomiłem sobie, że rzeczywiście ktoś dzwoni. Spojrzałem na zegarek. Leżał na podłodze obok kapci, które przyniosła mama i których nie miałem najmniejszego zamiaru wkładać. Była pierwsza po południu.

— Jest środek nocy! — wrzasnąłem. — Powiedz, żeby zadzwonili o normalnej porze!

— Nie jestem twoją sekretarką — burknęła. — Skoro włączysz się po nocy, masz, na co zasłużyłeś.

Zmagając się ze szlafrokiem, poczłapałem do telefonu w korytarzu.

— Tak? — Podniosłem słuchawkę, drapiąc się tam, gdzie mnie swędziało.

— Przepraszam, Matt. Wiem, że jest troszkę wcześnie. To była Ginny.

— Nie, nie, w porządku — odparłem, skoncentrowany na kępce włosów tuż pod pępkiem. — I tak miałem wstawać i pobiegać. Parę okrążeń po parku i będę jak nowo narodzony.

— No jasne — zaśmiała się. — Już to widzę.

—Gdzie jesteś? — zapytałem.

—W domu — odparła ze skruchą.

— Nie powinnaś być w pracy? — Przysiadłem na schodku. — Wiem, że odkąd skończyłem szkołę, sporo się zmieniło, ale na pewno nauczycielom nie wolno się tak spóźniać jak dzieciakom.

—Udaję, że się nagle rozchorowałam — przyznała. — Strasznie mi głupio, ale dziś bym się do niczego nie nadawała.

—Byłaś nieprzytomna, kiedy wychodziłem, a zbliżała się szósta.

—Chyba się przebudziłam, słysząc trzaśnięcie drzwi. Pewnie wtedy wychodziłeś i nawet pomyślałam, że wstanę, ale było mi tak dobrze, że musiałam znowu zasnąć. Kiedy przebudziłam się ponownie, było piętnaście po siódmej i za nic nie mogłam się zwlec.

—Ty zbuntowana nauczycielko — powiedziałem. — Jak tam Gershwin i Zoe?

—Zoe wyszła do pracy około wpół do ósmej, a Gershwin ciągle drzemie na sofie. Ale do rzeczy. Widziałeś dziś niebo? Jest nieprawdopodobne!

—Nie widziałem. Ciężko zobaczyć niebo, kiedy leży się w łóżku pod kołdrą, a zasłony są zaciągnięte.

— Nieważne. Wyjrzyj przez okno.

Uchyliłem drzwi wejściowe i wyjrzałem. Świeciło słońce, niebo wydawało się wręcz idealne i chyba było ciepło jak na styczeń.

—Masz rację. Pewnie będzie piękny dzień. Czy to jeden z plusów chodzenia z meteorologiem?

—Chciałabym—odparła. — Właśnie rozmawiałam z Gershwinem, a ponieważ oboje mamy wolne, a ty nic nie robisz, i jest ładny dzień, taki, który trójka szkolnych kolegów powinna spędzić razem, uznaliśmy, że właśnie tak zrobimy. Dołączysz do nas?

Znowu popatrzyłem na zegarek, zastanawiając się, czy wciąż jestem zmęczony. Byłem. Nawet bardzo, ale mimo to powiedziałem:

— Tylko się ogolę i zaraz będę.

TLR

TRZYDZIEŚCI DWA

— Wiesz, co mi to przypomina? — spytał Gershwin, podając mi butelkę thunderbirda.

—Lato po maturze?

—Jak zgadłeś?

—Myślałem o tym samym.

— Ja też — wtrąciła Ginny. — Fantastycznie, prawda? Kiedy do-
tarłem do Ginny parę minut po drugiej, zaplanowali już resztę dnia. Naj-
pierw pojechaliśmy do Little Chef koło Halesowen i uraczyliśmy się satys-
fakcjonującym angielskim śniadaniem z nielimitowaną liczbą grzanek. Po-
tem wpadliśmy do pobliskiego monopolowego po butelkę thunderbirda,
przez wzgląd na stare dobre czasy, a w końcu podjechaliśmy na pobliskie
Wzgórza Clent. Wspięliśmy się na jedno z nich, otworzyliśmy wino, runęli-
śmy na trawę, a potem już tylko gadaliśmy, gapiąc się w niebo.

14.52

—Wiecie, co robiłem o tej porze w zeszłym roku?

—Co? — spytała Ginny.

—Tkwiłem w swoim biurze na Manhattanie, przez miesiąc ucząc rekru-
tów. Ja, Matt Beckford z King's Heath, na Manhattanie. Pracowałem od
piątej trzydzieści rano do dziesiątej w nocy. Nawet udało mi się wyhodo-
wać sobie wrzód na żołądku. A teraz, rok później, leżę w parku na trawie, z
piwem, fajkami i przyjaciółmi. Czego więcej chcieć?

—Często myślałam o ograniczeniu wymiaru godzin pracy — powiedziała Ginny. — No wiesz, żeby przejść na pół etatu i zrobić coś interesującego ze swoim życiem. Po co pieniądze, jeśli na nic nie masz czasu? — Urwała nagle, beknęła, upiła trochę thunderbirda i podała go mnie. — Nieźle. — Zachichotała i westchnęła, wskazując na niebo. — Dlaczego pozwoliliśmy, żeby to wszystko nam umknęło?

—Zdarza się, prawda? — zauważył Gershwin. — Jest mnóstwo roboty. Zmieniają się priorytety. Możemy winić tylko siebie.

—To prawda — przytaknęła Ginny. — Jesteśmy nienormalni, że do tego dopuściliśmy. Starzejemy się, nie uświadamiając sobie, co się dzieje, a kiedy...

—...zblizamy się do trzydziestki... — wtrąciłem.

—...rozumiemy wreszcie, jak ważne są takie chwile — dokończył Gershwin.

15.05

—Dopóki nie skończyłem dwudziestu dziewięciu lat, pomysł skończenia trzydziestki nawet mi się podobał — powiedziałem, przetaczając się na brzuch. — Wiedziałem, że nie zamienię wódki na mleko, i zacząłem się interesować stopami procentowymi oraz wynikami meczów, ale nigdy nie pragnąłem być jednym z tych, którzy boją się starzeć. — Umilkłem, czując, że mój umysł nagle zmienia temat. — Wiecie, że niektórzy ludzie po trzydziestce czują się dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy mieli dwadzieścia cztery lata?

—Tak. — Ginny energicznie pokiwała głową, jakby to był jakiś quiz ze znajomości samej siebie w kobiecym pisemku. — Nie sędzę, że bym była inna, niż kiedy miałam dwadzieścia sześć lat. Dość stara, by być dojrzała, ale dość młoda, by być głupia. — Zaśmiała się. — A ty, Gershwin?

Gershwin z zapalem podrapał się po głowie.

Kiedy Charlotte jest w pobliżu, czuję się jak trzydziestolatek. Jak tata. Ale to miłe uczucie. Kiedy jej nie ma, czuję się, jakbym miała od czternastu do dwudziestu sześciu lat.

—A ja chyba zawsze czułem się jak trzydziestolatek — oświadczyłem. — Zawsze uważałem, że życie wymaga trochę więcej zapału, niż jestem w stanie z siebie wykrzesać.

—Wiesz co, on ma rację — powiedziała Ginny do Gershwin. — Matt zawsze był starym pierdzielem naszej paczki. Krytykantem. Sztywniakiem. Tatuśkiem.

—Bardzo wam obojgu dziękuję — odezwałem się z przekąsem. — Choć to prawda. Czasem jestem tatusiowaty. — Sformułowałem pytanie, a następnie je postawiłem. — Kiedy poczuliście, że jesteście już pełnokrwistymi dorosłymi?

—Po narodzinach Charlotte — powiedział Gershwin.

—Po śmierci mamy — powiedziała Ginny. — A ty?

—Nie wiem. Chyba cały czas czekam.

15.23

—Jeśli się nad tym zastanowić, trzydziestka to obecnie nic wielkiego, prawda? — spytała Ginny. — Zupełnie jakby całe pokolenie zeszło się i postanowiło odłożyć prawdziwe życie na później. Teraz nie da się odróżnić trzydziestolatek od dwudziestolatek, tyle że my zazwyczaj mamy więcej pieniędzy...

—...i mniej włosów — dodałem.

—...i mniej ubrań w garderobie, których kupna żałujemy — dokończył Gershwin.

—Trzydziestka to jak dwudziestka, a nawet jeszcze bardziej — oświadczyła Ginny. — Czterdziestka to nowa trzydziestka. — Trąciła mnie łokciem. — Masz jeszcze dziesięć lat, dopiero potem możesz zacząć się martwić.

—Mam nadzieję, że wtedy czterdziestka będzie czymś nowym, innym — odparłem.

—Uhm — przytaknął Gershwin. — Ale kim będą dwudziestoparolatki? Nowymi nastolatkami?

Żadne z nas nie potrafiło odpowiedzieć.

15.37

— Ręce do góry, kto ma siwe włosy? — spytała Ginny. Gershwin i ja podnieśliśmy ręce.

— Ja mam tylko jeden — powiedział Gershwin. — Na skroni. Zoe chciała go wyrwać, ale powiedziałem, żeby zostawiła, w próżnej nadziei, że dzięki niemu będę wyglądał bardziej dystyngowanie.

—Ja nie mam — oświadczyła Ginny. — Ale farbuję włosy od tak dawna, że nie mam też pojęcia, jaki jest mój naturalny kolor włosów. A ty, Matt?

—Mam dwa — przyznałem niechętnie. — Jeden co jakiś czas wyskakuje mi na piersi, a drugi... ze względu na wrażliwe żołądki powiedzmy, że ten drugi jest niżej.

—Poniżej pępka? — spytała dociekliwie Ginny.

—Niżej.

—Ale wyżej niż, powiedzmy, kolana?

— Tak — odparłem. Ginny parsknęła śmiechem.

—Nie — odezwał się z niedowierzaniem Gershwin. — Nabierasz mnie?

—Ależ skąd.

—Możemy zobaczyć? — spytała Ginny. Trzęsła się ze śmiechu. — No pokaż.

—Nigdy—powiedziałem, usiłując zachować godność, podczas gdy oni mieli dobrą zabawę. — Nawet za milion lat.

15.55

—Co dla ciebie oznacza trzydziestka? — spytała Ginny Gershwin.

—Niewiele — przyznał. — Tyle, że za dziesięć lat będę miał czterdziestkę, czyli strasznie dużo, ale do tej chwili została kupa czasu.

—Słuszna uwaga — przyznała Ginny.

—A ty, Gin? — zapytał Gershwin.

—Co dla mnie oznacza trzydziestka? Cieszy mnie, kiedy myślę, że w przeciwieństwie do mamy, nie mam w tym wieku dziecka ani — choćby na krótko, jak ona—męża. Oznacza również, że po raz pierwszy w życiu mogę czuć się jak kobieta, a zachowywać jak dziewczynka.

—W przeciwieństwie do?

TLR

— Sama nie wiem... Czucia się jak nieprawdziwa kobieta i zachowywania się jak idiotka. Czuję się czasem jak nieprawdziwa kobieta, ale czasem jak stuprocentowa. Poza tym jestem nauczycielką plastyki! Ja, Ginny Pascoe! Co jakiś czas na zebraniu nauczycielskim zdumiewa mnie fakt, że ludzie słuchają tego, co mam do powiedzenia. No i wtedy strasznie się peszę, ale tylko na moment. Naprawdę czuję się tak, jakbym odniosła sukces. To właśnie oznacza dla mnie trzydziestka.

Zarówno Ginny, jak Gershwin patrzyli na mnie z oczekiwaniem.

—No już, Matt — powiedziała Ginny. — Twoja kolej.

—Nie wiem.

—Naprawdę, Matt, beznadziejny jesteś.

—No dobrze. — Odetchnąłem głęboko. — Powiem wam, co dla mnie oznacza trzydziestka. Trzydziestka oznacza chodzenie do pubu tylko wtedy, gdy są miejsca siedzące. Trzydziestka oznacza posiadanie co najmniej jednej płyty kompaktowej z muzyką klasyczną, nawet jeśli to tylko Oto moja klasyka, tom VI. Trzydziestka oznacza rezygnację z poszukiwania doskonałej partnerki, bo teraz, po tych wszystkich latach w pustce, w końcu znalazłeś to, czego tak szukałeś. — Zawahałem się. — A przynajmniej tak właśnie powinno być.

16.02

—Starzenie się to nie jest żaden wstyd — powiedziałem krzepiąco. — Kogo obchodzi, że ostatnio, gdy poszedłeś do klubu, wepchnąłeś sobie watę do uszu, bo było za głośno, a potem trafiłeś na izbę przyjęć, żeby usunęli ją chirurgicznie?

—Żartuj esz, prawda? — zapytał ze zdumieniem Gershwin.

—Chciałbym — westchnąłem. — Pięć godzin czekania, żeby jakiś lekarz, który dopiero co wyrósł z krótkich spodenek, patrzył na mnie pogardliwie i wyciągał watę długimi szczypcami. Kiedy wyjaśniłem mu, jak do

tego doszło, widziałem po jego minie, że bardzo chciałby powiedzieć: „Zostaw kluby młodszemu, dziadek”. Elaine była potwornie zażenowana.

—Zimą zeszłego roku szukałam w Marksie i Spencerze największych na świecie majtek — oświadczyła Ginny. — To było dziwne. Otaczały mnie nastolatki, które trzymały stringi i figi tak maleńkie, że potrzebowalibyście mikroskopu, żeby je zobaczyć, a ja szukałam pary reform.

—Reform?

—Majtek tak wielkich, że zakrywają pepek. — W udawanym wstydzie złapała Gershwin za ramię. — Moja szuflada z bielizną to nie jest już osobisty strategiczny magazyn broni do walki o faceta. Teraz to przystań spokoju, ciszy i ciepła. Lubię swoje wielkie majtki. Kiedyś w szufladzie trzymałam majtki tak seksowne, że serce mocniej mi biło przy jej otwieraniu. A teraz mam szufladę godną własnej babci. Po trzykroć praktyczną. No już, Gershwin, powiedz coś, co udowodni, że jesteś równie beznadziejny jak my.

Gershwin popatrzył nerwowo.

—Nigdy nie uwierzcie, jeśli wam powiem.

—Spróbuj — zachęciła go Ginny.

— Bawię się w ogrodnictwo. Ginny i ja wybuchnęliśmy śmiechem.

—Gdyby to uszło twojej uwagi, Gershwin — zacząłem — nie masz ogródka, w którym mógłbyś się bawić w ogrodnictwo. Mieszkasz na drugim piętrze.

—Co ty tam wiesz — odparł kapryśnie. — Pozory mylą. Mam działkę.

— Niemożliwe! — krzyknęła Ginny.

—Nie żartuję — zapewnił ją Gershwin. — Już od półtora roku.

—Ty, Gershwinie Palmerze, masz działkę? — odezwałem się z niedowierzaniem. — Nie możesz mieć działki. Jesteś Gershwinem.

—Cicha woda brzegi rwie — wymądrzył się Gershwin.

—Dlaczego nic nam dotąd nie powiedziałaś?

— Bo wiedziałem, jak zareagujecie. Czyli tak jak teraz. Tam jest świetnie, naprawdę spokojnie. Mam komórkę na narzędzia i nawet stracha na wróble — zrobiłem go razem z Charlotte. Jeżdżę tam jak najczęściej. Fakt, pełno tam starych dziwaków palących woodbiny, ale nie ma sprawy. Można się z nimi pośmiać i mówią mi różne rzeczy, na przykład, gdzie kupić odpowiedni nawóz i w ogóle.

TLR

TRZYDZIEŚCI TRZY

Około piątej zaczęło padać, nadeszła pora powrotu. Właśnie wtedy uświadomiliśmy sobie, że mamy za dużo promili we krwi i jako odpowiedzialni ludzie zamknęliśmy auto Gershwina i zamówiliśmy taksówkę.

Najpierw odwieźliśmy Ginny. Pocałowała Gershwina w policzek, potem mnie i wysiadła z auta.

—Trzymaj się — powiedziałem, machając do niej.

—Ty też — odparła i odeszła. I tyle.

Żadnych obietnic spotkania w przyszłości.

Żadnych obietnic, że wkrótce zadzwoni.

Nawet obietnicy, że będziemy w kontakcie.

Przez całą drogę do King's Heath zastanawiałem się, jak się pożegnamy, i teraz, gdy stało się to jasne, byłem dziwnie zadowolony. Spędziliśmy wspaniałe chwile, i to całkiem nieoczekiwane. W ten sposób, bez fałszywych obietnic i niezręcznych kłamstw, ostatnie dwadzieścia cztery godziny należały do tych niespodzianek, które życie stawia ci na drodze, byś przypomniał sobie, jak czasem bywa miło. Kiedy taksówkarz ruszył spod domu Ginny i pojechał Alcester Road, Gershwin odwrócił się do mnie i zadał pytanie, które nurtowało go od samego początku:

— I co, nadal ci się podoba, po tylu latach?

Czy mi się podobała? Nie wiedziałem. Uśmiechnąłem się jednak i pokiwalem głową.

— Może.

TLR

TRZYDZIEŚCI CZTERY

Do: mattb@c-tec.national.com

Od: crazedelaine@hotmail.com

Temat: Odp: Przepraszam

Drogi Matt,

przepraszam, że przepraszasz. Nie powinnam była wysyłać tego ostatniego e-maila o Twoim ostatnim e-mailu [????). Wiesz, czasem jest dobrze, a czasem nie. Ale nie chcę, żebyś przepraszał, dobrze? Postanowiłam częściej wychodzić. Sara i ja chodzimy do barów po pracy i planujemy zabójczy babski wieczór, i na dodatek wypuszczamy się na tańce! Słuchaj mnie tylko, jestem jak Madonna z czasów *Rozpaczliwie poszukuję Susan!*

Uściski, Elaine xxx

MIESIĄC DRUGI

Data: 1 lutego

Dni do trzydziestych urodzin: 59

Psychika: pozytywnie (prawie)

TLR

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

Do: crazedelaine@hotmail.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Temat: Urodziny Gershwina

Droga Elaine,

właśnie spędziłem niesamowite dwadzieścia cztery godziny z Gershwinem. Wpadliśmy na Ginny, naszą dawną koleżankę ze szkoły [nie widzieliśmy jej od sześciu lat]. Żeby nie przedłużyć: Gershwin i ja poszliśmy do Ginny na hasło „a teraz wszyscy do mnie”. Następnego dnia Gershwin i Ginny nie poszli do pracy i cały dzień się szwendaliśmy.

Uściski,

Matt xxx

Do: mattb@c-tec.national.com

Od: crazedelaine@hotmail.com

Temat: ????

Drogi Matt,

wygląda na to, że oboje poszliśmy w miasto. Sara i ja świetnie bawiłyśmy się w jednym barze w centrum. Sara właściwie się do mnie wprowadziła. Piekielna Sofa należy do niej. Sara ma ostatnio problemy z Johnnym, więc powiedziałam, że może zadekować się u mnie.

Uściski, Elaine

PS. Cieszę się, że dobrze się bawisz z przyjaciółmi w Anglii.

PPS. Złóż Gershwinowi spóźnione życzenia urodzinowe, kiedy się zobaczycie.

PPPS. ...nasza dawna koleżanka ze szkoły... której nie widzieliśmy od sześciu lat... Błagam!!! Alarm, koleżanka z liceum na horyzoncie! [Czy z innej angielskiej szkoły?). Jesteś taki przezroczysty, że to wręcz urocze.

Do: crazedelaine@hotmail.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Temat: Paranoja

Droga wróżko,

dla Twojej wiadomości, Ginny nie jest moją byłą dziewczyną.. . w każdym razie nie do końca. Była raczej przyjaciółką niż dziewczyną, i tyle. Ma chłopaka, z którym jest bardzo szczęśliwa. W porządku?

Uściski,

Matt

Do: mattb@c-tec.national.com

Od: crazedelaine@hotmail.com

Temat: Sarkazm

Drogi Matt,

uwielbiam, kiedy bronisz się, atakując. I jak wypadło spotkanie po latach? Pytam tylko dlatego, że kiedy spotkałam byłego chłopaka z liceum, Vance'a Erdmanna, byłam pełna obrzydzenia dla siebie! Miał najbardziej kretyńską fryzurę pod słońcem. Przypominał Strefę Śmierci, takiego zapasnika z pokazów wolnej amerykanki. Pewnie Ginny nie wygląda aż tak źle, skoro Ty i Gershwin szwendaliście się z nią przez całą noc. Tylko żartuję.

Uściski, Elaine

Do: crazedelaine@hotmail.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Temat: Przyjaciele

Droga E,

miło było spotkać Ginny. Jednak cały romantyczny aspekt tej sprawy zniknął milion lat temu. Ujmijmy to tak: kiedy coś nas łączyło, Ty miałaś piętnaście lat i pewnie obściskowałaś się z tym Vance'em (jak, na Boga, można dać na imię dziecku Vance?!!!). To już historia. Ale to dzięki historii jesteśmy, kim jesteśmy... coś podsunęło mi pewien pomysł... Spotkanie z Ginny przypomniało mi dawne czasy, gdy tu mieszkałem. Pamiętasz, mówiłem Ci, że była nas cała paczka? Skoro nie brak mi czasu i nie mam nic lepszego do roboty, mogę odszukać dawnych przyjaciół: Katrine, Bev, Eliota i Pe-te'a. Nie mam pojęcia, gdzie są i co planują, ale chyba fajnie byłoby z nimi pogadać przez telefon albo nawet się spotkać. Co Ty na to? Czy to kretyński pomysł trzydziestoparolatka?

Uściski,

Matt xxx

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

—Ej, facet! — wrzasnął ktoś. — Podawaj! Podawaj!

—Do przodu! — wrzasnął inny na cały głos. — Prędeż, człowieku!

—Na główkę! — krzyknął jeszcze inny, jakby od tego zależało jego życie. — Na główkę!

Mimo zniecierpliwienia w ich głosach w odpowiedzi na to werbalne nastawanie mogłem myśleć tylko o trzech rzeczach:

1)Dlaczego, na Boga, dałem się namówić Gershwinowi na futbol w wersji pięciu na pięciu o wpół do dziesiątej w niedzielny poranek?

2)Długo jeszcze do przerwy?

3)No nie, zaraz zwymiotuję.

Gershwin, Tom (od Daviny i Toma), Joel (od Christiny i Joela), Dom (od Doma i Polly) i ja najwyraźniej byliśmy Rabusiami z King's Heath. Oni grali razem w drużynie od dwóch lat i byli bardzo oddani sprawie, choć na talencie im zbywało. Zazwyczaj grał z nimi Neil (od Neila i Sarah), ale wezwano go do szpitala i musiał odwołać swój udział w meczu. Właśnie dlatego Gershwin zadzwonił do mnie za piętnaście ósma rano. Nie chciałem grać, bo kiedy ostatnim razem próbowałem ćwiczyć — w lipcu Elaine zdołała załatwić dwie weekendowe wejściówki do nowej siłowni — dopiero po półtora tygodnia przestało mnie kłuć podczas oddychania. Gershwin powiedział, że jeśli nie stawią się w komplecie, będą musieli oddać mecz walkowerem i stracą szansę na zwycięstwo w lidze w tym sezonie. Mówił z pełnym determinacji przekonaniem, jakby to naprawdę była kwestia życia i śmierci, więc się zgodziłem. Jak odpowiednik kopaniny nabrał takiej ważności, nie byłem pewien. Wkrótce się przekonałem.

Nasi rywale, których pełna polotu nazwa brzmiała Wędrowcy ze Stirchley, wyglądali dokładnie tak samo jak my — czyli jak drużyna trzydziestolatków złożona z mężów, chłopaków, młodych ojców i kierowników średniego szczebla, nierozważnie ciskających się po siłowniach, jakby ostatnie dziesięć lat w ogóle nie istniało. Joel (który, jak się okazało, miał tylko dwadzieścia osiem lat), był w dobrej kondycji i dobrze sobie radził z piłką, Tom i Gershwin bardzo się starali, choć ich forma pozostawiała wiele do życzenia. Dom i ja okazaliśmy się jednak najslabszymi ogniwami naszej drużyny, przy czym Dom nie był nawet w połowie tak kiepski jak ja. Po dziesięciu minutach biegania w tę i z powrotem uznałem, że zaraz umrę z braku tlenu i zwymiotuję przez zbyt intensywny ruch. Reszta drużyny była przyzwyczajona do tego tempa, bo chociaż też wydawali się bliscy spotkania z patologiem, to udawało im się jakoś grać w piłkę nożną. W końcu przegraliśmy dwa do jednego (Wędrowcy ze Stirchley byli nieco młodszy od nas), ale po zaciętej grze. Ja walczyłem najdzielniej i kiedy zabrzmiał gwizdek na koniec i inni ściskali ręce i klepali po plecach Wędrowców ze Stirchley, leżałem na ziemi, pocąc się w miejscach, których nawet nie podejrzewałem o gruczoły potowe.

Myślałem, że umrę.

Naprawdę.

Później, w barze na siłowni, popijaliśmy wielkie kubki soku pomarańczowego, bo było za wcześnie na piwo, wszyscy mi gratulowali, i to bez sarkazmu. W samochodzie, w drodze na King's Heath, Gershwin i ja rozmawialiśmy wyłącznie o futbolu. Dokładnie przeanalizowaliśmy grę, pogadaliśmy o strategii, nawet zasugerowałem, że może warto by trochę potrenować w tygodniu. Było to zwykła paplanina, ale bardzo krzepiąca.

— Masz ochotę wpaść do nas na niedzielny obiad? — spytał Gershwin.

— A co podajecie?

—Zazwyczaj coś egzotycznego, jak tost, żebyśmy mogli leżeć przez resztę dnia na sofie, ale tym razem przyjeżdżają z Doncaster rodzice Zoe, więc będzie kurczak, warzywa, smażone ziemniaki, takie tam. Jako że nie najlepiej się z nimi dogaduję, twoje towarzystwo będzie mile widziane. Przyjdiesz?

—Bardzo chętnie, stary, ale dziś obiecałem, że pojawię się przy stole rodziny Beckfordów.

—Chyba możesz opuścić jeden niedzielny obiad? Przecież tam mieszkasz.

—Nie mogę — odparłem. — Mama ma świetną pamięć do takich rzeczy. Od twoich urodzin, kiedy nie powiedziałem, że nie będzie mnie przez całą noc, muszę bardzo uważać. Za opuszczenie niedzielnego obiadu czeka mnie kilka wypraw do supermarketu.

—No tak — westchnął. — To była bardzo przyjemna noc.

—Twoje urodziny?

—Tak. I ten następny dzień na wzgórzu. Kiedy poszedłem do pracy dzień później, musiałem symulować kaszel, zupełnie jakbym walczył z zapaleniem płuc, ale lojalność kazała mi zwlec tyłek i iść do roboty. Byłem genialny. Niezwykle przekonujący. Szef nawet spytał, czy na pewno nie chcę wrócić do domu.

—I nie chciałeś? ,

—Nie — odparł ze smutkiem. — Było tyle roboty, że wolałem nie pogarszać sytuacji. — Zatrzymał się przed domem moich rodziców. — Myślałeś o Ginny?

—Chyba trochę tak — przyznałem nonszalancko. — Wiem, że uważasz, że powinienem dostać obsesji na jej punkcie...

—A nie dostałeś? — Roześmiał się.

—Nic z tego, stary. Ona i Ian wydają się dla siebie stworzeni. Wątpię, żeby chciała zrezygnować z tego dla mnie. — Umilkłem, żeby chwilę pomyśleć. — Mimo to miło wiedzieć, że nadal możemy być przyjaciółmi, choć czar prysł.

—Zoe chyba uważa, że między wami iskrzyło. Ja sam tego nie widziałem, ale ona jest niezła w tych sprawach.

Usiłowałem ukryć zadowolenie, jednak chyba nic mi z tego nie wyszło.

—Nie — odparłem lekceważąco. — To nie iskrzenie, tylko sentyment. Łatwo pomylić jedno z drugim.

—Skoro tak twierdzisz — powiedział, uśmiechając się.

—Zastanawiałem się jednak nad nami, no wiesz, nad sobą i Ginny. Chyba mój mózg przygotowuje się do urodzin. Mam wrażenie, że jestem jednym z tych trzydziestolatków, którzy wciąż myślą o tym, dokąd zmierzają i skąd się wzięli. To trochę beznadziejne, tym bardziej że sądziłem, że przejdę to wszystko z godnością. A teraz wygląda na to, że machnę ręką na godność, będę krzyczał i kopał. Bredzę. Jestem pewien, że to nie ma najmniejszego sensu, ale spotkanie z tobą i Ginny — ludźmi, których znam od lat — pomogło mi spojrzeć na pewne sprawy z innej perspektywy.

—Wiem, o co ci chodzi — powiedział Gershwin. — Miło, że tu wróciłeś, choćby na krótko. Łatwo się zapomina o dawnych dobrych czasach. Fajnie tak powrócić do przeszłości.

—No właśnie. — Dotarłem do sedna sprawy. — Dlatego właśnie chciałbym skontaktować się z resztą— z Katriną, Elliotem, Bev i Pete'em. Taki mam pomysł. Chętnie bym ich spotkał, żeby sprawdzić, czy nadal są tymi samymi ludźmi. Przed wyjazdem do Sydney i tak nie mam co robić. Co ty na to?

—Sam nie wiem — powiedział Gershwin. — Udało ci się z Ginny i ze mną, bo jesteśmy najwyższej jakości. Nie to, że oni nie są, ale wiesz, jak to bywa. Ludzie się zmieniają. Możesz się rozczarować. To nic niezwykłego, dam ci przykład. Latem Zoe i ja pojechaliśmy naślubjednej zjej uniwersyteckich koleżanek. Była tam również dawna najlepsza przyjaciółka Zoe, Michelle. Trzymały ze sobą na studiach, ale po dyplomie straciły kontakt — sam wiesz, jak to jest, wina leży po obu stronach. Kiedyś ta dziewczyna była stukniętą hippiską, ale przez te trzy lata od ich ostatniego spotkania zamieniła się w okropną sukę z francuskim chłopakiem, modnym autem i paskudnym charakterem. Olała Zoe. Nawet na nią nie spojrzała. Ale się zemściliśmy — dodał z chytrym uśmiechem. — Zatrzymała się w hotelu, gdzie odbywało się weselne przyjęcie, więc znaleźliśmy numer jej pokoju i

udając, że należy do nas, poprosiliśmy o budzenie co pięć minut od piątej rano, bo mamy straszne problemy ze wstawaniem.

—A morał z tego taki, że to, co łączyło was kiedyś, niekoniecznie łączy was teraz?

—No właśnie — przytaknął. — Smutne, ale prawdziwe. Nie będę cię odwoził od twojego pomysłu, bo mogę się mylić. Mówię tylko, żebyś nie był zdziwiony.

—No cóż, to tylko teoria — powiedziałem po chwili milczenia. — I jak w wypadku wszystkich teorii, jeśli chcesz się przekonać, jak jest naprawdę, sam musisz to sprawdzić.

TLR

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

Do: mattb@c-tec.national.com

Od: crazedelaine@hotmail.com

Temat: Odp: Ścieżka wspomnień

Drogi Matt,

posłuchaj mojej rady: nie rób tego. Skutek będzie taki, że pozbawisz się cudownych wspomnień związanych z tymi ludźmi. Miałaś szczęście z Ginny i Gershwinem, ale nawet nie chcę myśleć, jak zareagujesz, jeśli ludzie, z którymi się zobaczysz, okażą się teraz największymi palantami świata. Pamiętasz tamten weekend, kiedy spotkałam się z dziewczynami z mojego liceum na Brooklynie? Co to był za koszmar! Znienawidziłam wszystkie! Moja dawna najlepsza przyjaciółka, Lucy Buchanan, paliła tyle trawy w college'u, że nie była już w stanie sformułować jednego logicznego zdania; Sheena Deaver nie widziała nic złego w umawianiu się z prawie nazistą dwa razy starszym od niej; Stephanie Dolfini paplała wyłącznie o swoim su-perbogatym narzeczonym pediatrze; nawet biedna Yona Prymuska Hughes też nie była sobą po tym, jak musiała zrezygnować ze Stamford, bo w liceum straciła serce do nauki (nie ze swojej winy). Moja rada daj sobie spokój. Grzebanie w przeszłości ma tę wadę, że nigdy nie wiadomo, co znajdziesz.

Uściski,

Elaine xxx

PS. Ale, tak czy owak, zrobisz, co będziesz chciał.

TLR

TRZYDZIEŚCI OSIEM

Bev Turner

(Dawniej zapowiadała się na dziewczynę najczęściej powtarzającą zdanie: „Nie jestem gotką, po prostu lubię ciemne ubrania”. Obecnie: pani Bev McCarthy, lektorka języka francuskiego, wydział językowy liceum dla dorosłych Północnego Yorkshire w Sheffield).

Za moich czasów każda szkoła miała swoją Bev Turner: dziewczynę, która, mając mniej więcej piętnaście lat, ufarbowała włosy na czarno, zrezygnowała ze słońca i robiła nieudolny gotycki makijaż. Ale nazwij ją gotką, a zirytuje się i zaprze. Powiedz, że wygląda jak Ally Sheedy w Klubie winowajców, to pewnie każe ci się wypchać, ale w duchu będzie zadowolona. Zapytaj ją jednak, dlaczego, skoro nie jest gotką, upiera się, żeby wyglądać jak go tka, słucha żalosnej gotyckiej muzyki i nigdy nie wychodzi na słońce, zapewne zacznie ci grozić. Poza byciem/niebyciem gotką, moja Bev Turner miała jeszcze dodatkowy problem w postaci rodziców, którzy przez cały czas najwyraźniej przeprowadzali długi rozwód.

Uwielbiałem Bev, naprawdę. Uważałem, że jest fascynująca. Na samą myśl o niej chciało mi się śmiać, bo, odkąd ją znałem, była uosobieniem smutku, ponuractwa i nosicielem złych wiadomości. Na jej ustach zawsze błąkał się sardoniczny uśmiech, słuchała najbardziej przygnębiającej muzyki na świecie i żywiła skrytą fascynację osobami, które wcześniej odeszły z tego świata. Jej ulubienicą była, rzecz jasna, Sylvia Plath, a po niej James Dean oraz Ian Curtis z Joy Division. Takie nastoletnie ponuractwo jest nie-

słychanie atrakcyjne i zawsze podejrzewałem, że całkiem sporo chłopaków w szkole podkochiwało się w Bev, bo stanowiła wielką zagadkę. Nikt nigdy nie umówił się z nią na randkę, zbytnio przerażała nastolatków — dorosłych też — ale taki pomysł na pewno chodził im po głowie. Mimo upodobania do słynnych samobójców, depresji i czarnych strojów, Bev miała również dziwaczne poczucie humoru i bardzo mnie bawiła.

W szóstej klasie Bev i ja nabraliśmy zwyczaju spędzania dłuższych przerw między lekcjami w parku King's Heath. Jadłem kanapki, a ona paliła papierosa za papierosem, aż miała mdłości od nikotyny. Potem siadaliśmy, zastanawiając się nad życiem w sposób, na myśl o którym do dziś trzęsę się z zażenowania. Kiedy wszyscy poszli na studia, Bev olała swoje miejsce w żeńskim college'u w Oksfordzie, gdzie miała studiować hiszpański i francuski, i na rok wyjechała do Indii. Wróciła do Anglii po pięciu miesiącach, by zarobić na następny wyjazd, tym razem do Australii. Potem pojechała rias Daleki Wschód, spędziła trochę czasu w Japonii i wróciła do Indii. Po ślubie Gershwin, na którym widzieliśmy *japo* raz ostatni, coraz rzadziej wracała do Anglii.

Późnym niedzielnym popołudniem, kiedy to trawiłem bez-brukselkowy niedzielny obiad, postanowiłem zacząć szukanie starych przyjaciół od Bev. Znalezienie jej obecnego numeru było proste, bo miałem numer do jej babci w Chelmsley Wood. Bev zatrzymywała się u niej za każdym razem, kiedy czuła, że wariuje i potrzeba jej babcinej opieki. Choć staruszka miała problemy ze słuchem, podczas przydługiej, niezbyt zrozumiałej rozmowy podała mi numer do Bev. Podziękowałem, pożegnałem się i odłożyłem słuchawkę. Po chwili znów ją podniosłem i wykręciłem nowy numer.

— Halo?

Głos należał do kobiety.

—Dzień dobry. Szukam Bev Turner.

—Tak?

—To pani?

—Być może. A kto mówi?

Nagle nie byłem już pewny, czy to ona.

—Matt Beckford, jej dawny kolega ze szkoły...

—Matt! — wykrzyknęła. — Matt Beckford! To ja, Bev. Nie miałam bladego pojęcia, kto dzwoni. Przez chwilę sądziłam, że to jakiś egzekutor długów usiłuje mnie ukarać za błędy młodości.

—Czyżbyś narobiła sobie długów?

—Niespłacona karta kredytowa — przyznała Bev. — Albo dwie. To długi z czasów moich podróży. Na pewno trafiłam już na czarną listę. — Parsknęła śmiechem. — Ale to nic, używam karty Jimmy'ego.

—A Jimmy to...?

—Mój facet, czy też, ściśle biorąc, mój mąż, od trzech miesięcy.

—Gratulacje.

—Daj sobie spokój, stary. Co, u diabła, skłoniło cię do dzwonięcia do mnie o wpół do czwartej w niedzielne popołudnie po... — tu sobie policzyła — sześciu latach kompletnego milczenia? Chociaż przyznam, że to miła niespodzianka.

—Streszczając się: mieszkałem w Nowym Jorku, teraz przenoszą mnie do Sydney i przyjechałem na chwilę do domu — no i byłem na urodzinach Gershwina....

—Nadal widzisz Gershwina? Co u niego?

—W porządku. On i Zoe mają córeczkę. Czteroletnią chyba. Tak czy siak, poszliśmy na drinka — tak się składa, że do Kings Arms — żeby uczcić jego trzydziestkę, a tam wpadliśmy na Ginny, zaczęliśmy rozmawiać i przyszło mi do głowy, że sprawdzę, co u reszty z was. Po prostu chciałem się przekonać, czy wszystko w porządku.

—Tak, w porządku — powiedziała po namyśle. — Nawet bardziej niż w porządku i jeszcze bardziej po twoim telefonie.

Przez dwadzieścia minut opowiadała mi, co robiła, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni. W wieku dwudziestu pięciu lat uznała, że po sześciu latach podróży warto byłoby znaleźć porządną pracę. Wykonywała wszystkie możliwe zajęcia, od bycia pszczelarką w Australii do opiekunki dziecka malajskiego odpowiednika Cher. Wróciła do Anglii i zamieszkała w Sheffield, gdzie po kilku kursach zawodowych zaczęła uczyć w liceum dla dorosłych i poznała swojego męża Jimmy'ego, też nauczyciela. Zakochali się w sobie, wzięli ślub i kupili trzypokojowy domek na rogatkach Sheffield. Byli względnie szczęśliwi mimo złej informacji z początku zeszłego roku. Bev trafiła do szpitala na badania w związku z bólem brzucha, który ją męczył. Lekarze rozwiązali problem, podczas badań wyszło jednak na jaw, że raczej nie zajdzie w ciążę. Opowiedziała mi to wszystko bardzo rzeczowym tonem, pewnie dlatego, że zdążyła się już oswoić z tą myślą. Potraktowałem to jako jeszcze jeden dowód na to, że im jesteśmy starsi, tym życie staje się dziwniejsze.

—Powinieneś do nas przyjechać, zanim wyniesiesz się do Australii — powiedziała, kiedy się zegnaliśmy. — Mówię poważnie.

—Dzięki — powiedziałem, a potem wymieniliśmy adresy, obiecując sobie, że będziemy w kontakcie.

TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Katrina Smith

(Dawniej zapowiadała się na redaktorę z eleganckiego magazynu dla kobiet. Obecnie: redaktorka działu nowości w „Staffordshire Evening Herald”).

W szkole Katrina należała do tych dziewczyn, które zawsze mają chłopaka. Na wczesnym etapie umawiania się z chłopakami chodziła ze mną (półtora tygodnia, kiedy mieliśmy po piętnaście lat), z Gershwinem (dwa miesiące z hakiem, kiedy mieliśmy czternaście lat), z Pete'em (jedna napeędzana thunderbirdem noc pieszczot na szesnastych urodzinach Katie Lloyd) i Elliotem (półtora miesiąca przed próbną maturą). Była ładna w charakterystyczny sposób, ale niezbyt pewna siebie — stąd jej uzależnienie od związków.

Pamiętam, kiedyś rozmawiałem z chłopakami, jakie to dziwne, że przez całą naszą znajomość z Katrina nigdy nie rzucił jej żaden chłopak. Najpierw uważaliśmy, że ma szczęście, ale Elliot (którego zostawiła dla Adama Warnera) zauważył—wnikliwie jak na szesnastolatka — że prawdziwym powodem było to, iż zawsze umawiała się z chłopakami, którzy byli minimalnie mniej atrakcyjni niż mężczyźni, z jakimi mogłaby się umawiać. Kiedy to powiedział, zrozumieliśmy, że trafił w sedno. Katrina obrała znakomitą strategię. Wybrani przez nią mężczyźni byli jej wdzięczni za to, że

mają taką piękną dziewczynę, nigdy nie uważali tego za oczywistość i czcili ją jak księżniczkę. Nie chcę przez to powiedzieć, że była podstępna suką bo wcale nie — była bystrą, zabawną i dobrą przyjaciółką. Pokazywała pazury tylko swoim chłopakom.

We wtorek po pogawędce z Bev doszedłem do wniosku, że teraz kolej na Katrinę. Choć była kimś w rodzaju eksdziewczyny, bardziej przyjaźniła się z Ginny niż ze mną, więc nic dziwnego, że straciliśmy ze sobą kontakt. Ostatnio rozmawiałem z nią rok po ślubie Gershwin, kiedy kilkoro z nas spotkało się na parapetowie u Elliota, gdzie dodatkowo oblewaliśmy też jego nową pracę. Wtedy powiedziała mi, że chwilowo mieszka u swojego chłopaka, Grega, we wschodnim Londynie i szuka sobie lokum. W sypialni znalazłem stary notes z numerem Grega. Trzy telefony później wytropiłem Katrinę za pośrednictwem jej byłego chłopaka ze wschodniego Londynu, innego byłego chłopaka w Leeds i najświeższego byłego chłopaka w Stoke, który wyjaśnił mi, że jakiś czas temu się wyprowadziła, ale nadal mieszka w okolicy, i dał mi jej numer.

—Halo?

—Eee, witam. Mogę mówić z Katrina Smith? Zapadła długa cisza.

—Kto mówi?

— Nie powiem. — Postanowiłem się z nią podrażnić. — Po co sobie psuć rozrywkę.

—Dave?

—Nie.

—Paul?

—Znowu pudło. Milczała.

—Chyba nie Greg, prawda?

— Zimno, bardzo zimno — odparłem. — No dobra, podpowiem ci. Kiedyś miałem nieszczęście zobaczyć twoją matkę nago...

— Matt Beckford! — wrzasnęła radośnie. Wiedziałem, że to odświeży jej pamięć. Mieliliśmy wtedy osiemnaście lat, była trzecia w nocy. Zgubiłem

klucze do domu i bałem się budzić rodziców, dzwoniąc do drzwi. Katrina oświadczyła, że mogę się przespać na sofie u niej w domu, ale nie raczyła poinformować o tym swoich rodziców. Kiedy rano wstałem do kibla, wpadłem na mamę Katriny, bez ubrania, zmierzającą do łazienki na poranny prysznic. Krzychałem. Ona też. Była to koszmarnie żenująca sytuacja dla wszystkich zainteresowanych.

— Nie wierzę! — znowu wrzasnęła Katrina. — Przez chwilę myślałam, że to jeden z moich byłych chłopaków.

— Były chłopak? A który?

— Wszystko jedno. Miałeś szczęście. Przedłużałam tę rozmowę tylko po to, żeby znaleźć alarm w torebce i przyłożyć go do słuchawki!

Chociaż podczas tej rozmowy omówiliśmy szczegóły z życia nas obojga, szczegóły Katriny były o wiele bardziej interesujące niż moje. Powiedziała, że pracuje w „Staffordshire Evening Herald”, a ja spytałem, czym się zajmuje w dziale nowości.

— Tandetną modą, tandetnymi restauracjami, tandetnymi dietami i wszystkim, co nam wciskają wszechwładni tandecia-rze od kreowania wizerunków. Czyli tym, czego współczesna kobieta nie musi wiedzieć.

— Rozumiem, że nie lubisz tej pracy? — zapytałem.

— Nienawidzę. Naprawdę nienawidzę — odparła ze śmiechem. — Przecież jako trzydziestolatka miałam pracować dla „Vogue”. Nie tylko pracować. Miałam być naczelną.

— Czy już za późno? — zapytałem, prezentując w ten sposób kompletną nieznajomość świata czasopism o modzie.

— Tylko o dziesięć lat — odparła. — Wiesz, studia były wielkim błędem. Powinna być stać się jedną z tych niesamowicie utalentowanych nasto-

letnich dziennikarek — cudownym dzieckiem. Wybiłabym się jak dziewiętnastolatka i teraz wszyscy mówiliby: „Witam, pani Vogue”. — Urwała na chwilę, po czym znowu dosiadła konika. — Moja teoria głosi, że uniwersytet przeszkadza w rozwoju. W Leeds nie nauczyłam się niczego, co przygotowałoby mnie do roli, którą miałam pełnić jako naczelna „Vogue”. Trzy zmarnowane lata. Trzy lata! Gdybym przez ten czas nie szwendała się po Salach wykładowych, miałabym teraz dwadzieścia siedem lat, a nie trzydzieści! Może nadal byłaby dla mnie szansa.

—Czy to znaczy, że ja miałbym dwadzieścia sześć?

—A nie masz jeszcze trzydziestki?

—Trzydziestego pierwszego marca. Możesz mi wysłać pocztówkę.

—Zapomnij o pocztówce, Matt. Martw się odchodzącą młodością i pielegnuj wspomnienia, bo, możesz mi wierzyć, teraz to już z górki. — Westchnęła ciężko. — Na pewno nie spodziewałeś się, że tak mi odbije, prawda?

— Raczej nie—odparłem. — Ale miło, że nie jestem jedyny. Potem rozmowa nieco się uspokoiła. Opowiedziałem jej

o świecie programistów, o życiu w Nowym Jorku i rozstaniu z Elaine, a potem ona opowiedziała o sobie. Kiedy rozmawiałem z nią na ślubie Gershwin, pisywała artykuły, nawet kilka z nich zamieścili w „Cosmopolitan” i „The Face”, ale przez wysoki czynsz do zapłacenia i koszty utrzymania w Londynie zaczęła ubiegać się o stanowisko młodszej reporterki w „South Staffordshire Chronicle”. Miało to być tymczasowe zajęcie — góra na pół roku — żeby wyjść z długów, ale rok później wciąż tam była i nie mogła znieść myśli o powrocie do Londynu i zaczynaniu wszystkiego od początku. Więc została tutaj i w końcu zwerbował ją „Staffordshire Evening Herald”, za przyzwoite, jednak nie wielkie, pieniądze.

Była nieco bardziej wstrzemięźliwa w rozmowie o życiu osobistym. Odczytałem między wierszami, że w końcu pozwoliła sobie na miłość do kogoś równie atrakcyjnego jak ona sama. Może nawet bardziej. Miał na

imię Stephen. I właściwie nie tyle się zakochała, ile całkiem straciła dla niego głowę. Wszystko świetnie funkcjonowało przez półtora roku, aż pewnego dnia powiedział jej, że nie jest jeszcze gotowy na poważny związek. Już miałem wydać z siebie kilka współczujących odgłosów, kiedy dodała: „To chyba najlepsze, co mi się mogło przydarzyć”. Powiedziała, że nikogo nie miała przez rok i, jeśli nie brać pod uwagę pracy, był to najlepszy rok jej życia. Tak mnie zdziwiła, że odparłem tylko: „Świetnie”. Potem dałem jej numer telefonu rodziców i powiedziałem, że wkrótce się spotkamy.

TLR

CZTERDZIEŚCI

Pete Sweeney

(Dawniej zapowiadał się na człowieka, który wypełni cały mózg informacjami o „Gwiezdnym wojnach”. Obecnie był właścicielem sklepu „Komiksy marzeń i pamiątki filmowe” w Manchesterze).

Ze wszystkich przyjaciół, z którymi straciłem kontakt, najbardziej chciałem zobaczyć Pete'a. Chyba niewielu jest równie wyluzowanych ludzi. Najlepiej charakteryzuje go sytuacja, która wydarzyła się, kiedy mieliśmy po szesnaście lat i znajdowaliśmy się na szczycie łańcucha pokarmowego gimnazjum King's Heath. Przez cały rok czekaliśmy na dzień, gdy spadnie śnieg i będziemy mieli okazję zostać królami Wielkiej Bitwy na Śnieżki. (Była to stara szkolna tradycja; pierwszego dnia śniegu starsi chłopcy — zawsze chłopcy — terroryzowali młodsze klasy, bombardując je śnieżkami). Kiedy padał śnieg, odpowiedzialność związana z dręczeniem innych całkiem przewróciła nam w głowach i, obawiam się, że nam odbiło. Pod wodzą Pete'a rzucaliśmy serie śnieżnych kul na boisko pełne młodszych uczniów. To było fantastyczne: setki dzieciaków z wraskiem szukało schronienia, a my zasypywaliśmy śniegiem, kogo popadło. Właśnie wtedy zdarzyło się coś, przez co ten dzień przeszedł do historii pod nazwą Białej Środy. Wściekły z powodu hord dzieciaków biegnących po otoczonym na-

bożną czią trawniczku przed pokojem nauczycielskim, nasz dyrektor, pan Charles, wyszedł pouczyć wszystkich zgromadzonych na boisku. Kiedy kończył przemowę na temat tego, że starsi uczniowie powinni dawać dobry przykład młodszym, Pete rzucił tak zwanego terminatora — ręcznie robioną kulę z czystego lodu, którą rzeźbił przez ponad dwadzieścia minut — i trafił pana Charlesa prosto w potylicę. Był to śnieżny odpowiednik zabójstwa Kennedy'ego. Zebrani na boisku — jakieś sześć setek dzieciaków — ze zdumieniem wciągnęli powietrze do płuc. Pan Charles zrobił się purpurowy ze złości i zagroził, że wszyscy zostaną po lekcjach, jeśli sprawca natchmiast nie wystąpi.

Wszyscy oczekiwali, że Pete przyjmie karę jak mężczyzna, ale on się nie przyznał, co szczerze podziwiałem. Prawdziwy tchórz załamałby się pod presją grupy, jednak nie Pete, choć wiedział, że kara nauczyciela to pestka w porównaniu z karą, którą wymierzy mu reszta uczniów. Pamiętam, jak spytałem go po szkole, kiedy ścigał nas kipiący żądzą zemsty za stracony czas tłum, dlaczego w ogóle rzucił w pana Charlesa. Cytując sir Edmunda Hillary'ego, po tym, jak wspiał się na Everest, Pete odparł: „Bo tam był”.

Zlokalizowałem Pete'a dzięki jego siostrze. Choć był nieco zdumiony, słysząc mnie po tylu latach, gadaliśmy przez telefon bez końca. Pogłoski o jego małżeństwie okazały się prawdziwe, miał też trzyletniego synka, Joego. Nie wiedziałem jednak, że on i jego żona Amy rozstali się po półtora roku, a dwa lata później się rozwiedli. Ale przynajmniej zdołał zaspokoić jedną ze swoich ambicji. W dzieciństwie miał obsesję na punkcie komiksów i filmów science fiction, a teraz, w wieku trzydziestu lat, był dumnym właścicielem sklepu „Komiksy marzeń i pamiątki filmowe” w Chorlton w Manchesterze i upierał się, żebym do niego przyjechał.

—Beckford! — wrzasnął, kiedy wszedłem do sklepu.

—Sweeney! — odwrzasnąłem w tym samym stylu i podszedłem prosto do kasy, gdzie stał.

—Ty gruby stary pierdzielu. — Wyszedł zza lady, żeby mnie przywitać. Z entuzjazmem uścisnęliśmy sobie dłonie.

—Ty... — Popatrzyłem na niego uważnie, usiłując znaleźć stosowną zniewagę, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Stracił jeszcze więcej włosów niż Gershwin i nawet ja uważałem dowcipy na ten temat za zbyt mało subtelne. Poza tym był w dobrej formie. W końcu musiałem zadowolić się tekstem: — Ty odrzutku z lat sześćdziesiątych!

W wieku piętnastu lat Pete postanowił być modsem, a teraz, piętnaście lat później, ubierał się dokładnie w takim samym stylu: dżinsowa kurtka marki Levi's, czarny golf, spodnie marki Levi's z beżowego sztruksu i, rzecz jasna, ukochane zamszowe trzewiki.

— To chyba twoja setna para.—Wskazałem na nie palcem.

—Raczej dwusetna. — Uśmiechnął się szeroko. — Podróż okay? — zapytał, wracając za ladę, żeby obsłużyć klienta.

—Raczej spokojna — odparłem. — Wszystko jedno zresztą, jak ty się miewasz?

—Dobrze — odparł. — Mogłoby być gorzej. Sklep wygląda nieźle.

Rozejrzałem się po raz pierwszy. Otaczało mnie wiele rzędów czasopism science fiction i fantasy, komiksów, książek, plakatów, filmów wideo i figurek bohaterów filmów.

— To wszystko twoje?

Z entuzjazmem pokiwał głową.

— Pokażę ci nowy gadżet z Gwiezdných wojen, stary. Prawie się popłakałem, kiedy przyszły w zeszłym tygodniu. — Zauważył jeszcze kilku klientów przy ladzie. — Sekundę. — Zerknął na jeden z regałów pełnych komiksów i nagle po drugiej stronie wyrósł młody człowiek z kozią bródką i w czapce baseballowej. — Billy, to mój kumpel Matt Beckford. — Billy

w milczeniu skinął mi głową. — Matt i ja znamy się od... — tu policzył — siedemnastu lat. Dokładnie tyle, ile żyjesz na tym świecie. Idziemy do mnie na fajkę i kawę. Pilnuj sklepu i nie zachowuj się bezczelnie.

Billy wszedł za ladę. Ja ruszyłem za Pete'em i minąłem drzwi, na których wisiała kartka papieru formatu A4 z napisanym flamastrem tekstem: „Odejdź — tak, o ciebie chodzi!”, a potem poszedłem po schodach do jego mieszkania.

— Witaj w moich progach — powiedział.

Kiedy Pete powiedział, że jest rozwiedziony i mieszka nad własnym sklepem, muszę przyznać, że wyobrażałem sobie najgorsze, ale to, co zobaczyłem, było rajem kawalera. Może i zabrakło tu skórzanej kanapy w stylu lat osiemdziesiątych i chromu, czyli tego, co moim zdaniem charakteryzuje mieszkanie kawalera, ale miał parę sztuk kolekcjonerskich mebli z lat sześćdziesiątych, najnowszy szerokoekranowy telewizor i wieżę z głośnikami wielkości małych dzieci. Poza tym mieszkanie pełne było rzeczy ze sklepu — plakatów filmowych i komiksowych, figurek z filmów (od Gwiezdných wojen do Jamesa Bonda) oraz jego kolekcji płyt, CD i taśm video, które zajmowały dwie ściany, przez co pokój gościnny wyglądał jak biblioteka.

—Masz dużo filmów — zauważyłem, kiedy Pete przyniósł kawę.

—Lubię je tu trzymać — powiedział Pete, patrząc z zadowoleniem na swoją kolekcję. — To wszystko było na strychu, kiedy mieszkałem z Amy.

— Wskazał ogromną sofę pod oknem. — Siadaj, stary.

—Tak, zaraz. Chcę obejrzeć twoje filmy. Chyba nie widziałem nawet połowy.

To był największy komplement, jaki mogłem powiedzieć jemu, czy też któremukolwiek z moich kumpli. Czasem uznanie kolegów w sprawach pozornie bezsensownych jest najważniejsze w życiu. Rzuciłem okiem na tytuły, które układały się w encyklopedię filmów telewizyjnych science fic-

tion ostatnich pięćdziesięciu lat. Miał komplet Więźnia, Star Treka, Babylon Five, Star Treka — następnego pokolenia oraz Blake's Seven, ale wszystko przebijał Doktor Who.

— Mam wszystkie odcinki — powiedział, kiedy pochyliłem się nad odcinkiem zatytułowanym Doktor Who i cyberludzie. — Długo to trwało, ale warto było.

— Wszystkie?

— No... prawie. Kilku brakuje — BBC w swojej mądrości zlikwidowała nagrania. Nie mogłem znieść dziur, więc ustawiłem pudełka.

— Zrobiłeś pudełka na kasety z programami, które nie istnieją?

Popatrzył na mnie wstydliwie.

— Nie pytaj dlaczego. Dzięki temu lepiej się poczułem. Kiedy opuściłem mieszkanie Pete'a sześć godzin i kilka

butelek budweisera później, byłem pogodnie nastawiony do życia i do swojej trzydziestki. Katrina, Bev i Pete mieli swoje wzloty i upadki, ale okazali się w porządku. To prawda, życie nie obeszło się zbyt łaskawie z Pete'em, przeszedł przez rozwód, ale teraz był względnie szczęśliwy. Wszyscy, razem z Gershwinem i Ginny, okazali się w porządku. Nie wiem dlaczego, ale wmówiłem sobie, że jeśli z moimi najstarszymi przyjaciółmi wszystko jest w porządku, to i ze mną będzie w porządku — dam sobie radę z tym, co szykuje mi życie. Przynajmniej tak wtedy sądziłem. Nie wiedziałem jednak, jadąc pociągiem z Manchesteru do Birmingham, że nasz przyjaciel Elliot nie żyje.

CZTERDZIEŚCI JEDEN

Do: crazedelaine@hotmail.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Temat: ?

Droga Elaine,

tu jest druga w nocy, a ja nie mogę spać. To było kilka najdziwniejszych godzin w moim życiu. W ostatnich dniach odszukałem dawnych przyjaciół. Rozmawiałem przez telefon z Katriną i Bev, a dziś (właściwie już wczoraj] pojechałem do mojego kumpla Pete'a, który mieszka w Manchesterze. Wróciłem do domu z myślą, że wszystko jest OK, że moje życie jest poukładane.

Tak czy siak, zjawiam się, lekko wstawiony, całkiem zadowolony, a mama mówi, że ma dla mnie złą wiadomość. Nie pamiętam, co dokładnie powiedziała, ale streszczając się: mój przyjaciel Elliot nie żyje. Zginął dwa lata temu. Wczoraj rano zatelefonowałem do rodziców Elliota i zostawiłem wiadomość na ich sekretarce, wyjaśniając, kim jestem, i prosząc, żeby dali mi jego numer. Kiedy byłem w Manchesterze, zadzwoniła mama Elliota i przekazała mojej mamie tę wiadomość.

W grudniu ponad dwa lata temu Elliot jechał ze swoją dziewczyną z Leeds do klubu w Liverpoolu. Zderzyli się czołowo z ciężarówką. Dziewczy-

na Elliota zginęła na miejscu, a on umarł dopiero tydzień później. Oboje mieli po dwadzieścia siedem lat.

Na pogrzeb zaproszono tylko bliskich przyjaciół i rodzinę, a ponieważ my od dawna nie kontaktowaliśmy się z Elliotem, zaproszenie nas nie dotyczyło. Dziwnie się czuję. Nie wiem, co powinienem czuć, ale cokolwiek to jest, nie czuję tego.

Mat xxx

TLR

CZTERDZIEŚCI DWA

Po wysłaniu listu do Elaine próbowałem spać, nie mogłem jednak zasnąć. Leżałem na łóżku, wpatrując się w sufit, i usiłowałem przypomnieć sobie chwilę, w której przestaliśmy się przyjaźnić, ale nie mogłem, bo to nie było aż takie proste. Potem próbowałem przypomnieć sobie chwilę, w której wszyscy przestaliśmy dbać o naszą przyjaźń, i to było o wiele prostsze. Wtedy, gdy wyjechaliśmy. Geografia okazała się prawdziwym sprawdzianem przyjaźni. Poczulem jednocześnie smutek i skruchę. Czas wspólnie przez nas spędzany był najlepszy w moim życiu i źle się stało, że zrezygnowaliśmy ze wspaniałej przyjaźni tylko dlatego, że już nie mieszkamy w tym samym mieście. Może się myliłem. Może wyrosliśmy już z siebie. To chyba ostatnia rzecz, jaką pamiętam z tamtej nocy, poza, rzecz jasna, wielogodzinnymi refleksjami nad własną śmiertelnością. Moje myśli błądziły wokół trzech wielkich życiowych pytań: „Dokąd zmierzam?“, „Co robię?“ i „O co chodzi, Alfie?“ Nie były one zbyt oryginalne i jako takie powinny pozostać w mojej głowie. Udało mi się trochę zdrzemnąć, jednak obudziłem się koło wpół do siódmej, bo dzwonił telefon. Wyśliznąłem się z łóżka, zszedłem na dół i odebrałem.

—Halo?

—Matt, to ja. Elaine.

—Kto to? — wyszeptała mama ze szczytu schodów. Była w szlafroku, miała wałki na głowie.

—W porządku. To do mnie. — Nie chciałem mówić, że dzwoni Elaine, żeby nie rozbudzać w mamie niepotrzebnych nadziei. — Postaram się być cicho, dobrze?

Zniknęła, zostawiając mnie samego.

—Cześć — powiedziałem cicho do słuchawki. — Jak się masz? U ciebie jest chyba wpół do drugiej w nocy. Co robisz?

—Pracowałam po godzinach w biurze, kiedy przyszedł twój e-mail o Eliocie. Zadzwoiłabym od razu, ale doszłam do wniosku, że twoi rodzice śpią, nie chciałam ich budzić. Pamiętam, że wcześniej wstają, więc wróciłam do domu i czekałam, aż będę mogła z tobą pogadać. Jak się masz? Jak sobie radzisz?

—Dobrze — odparłem. — Trochę dziwnie się czuję, ale nic mi nie jest.

—Wcale tego nie słyszeć, Matt.

—Dzięki.

—Wiesz, o co mi chodzi. Dobrze spałeś?

—Nie, raczej nie. — Zastanawiałem się przez chwilę. — Powiem coś, ale tylko tobie, bo wiem, że zrozumiesz. Najbardziej szokujące jest to, że nie jestem wstrząśnięty tą informacją. Elliot był dobrym przyjacielem. No tak, od dawna go nie widziałem, ale przecież powinienem czuć... coś więcej.

—Niekoniecznie — oświadczyła. — Żebyś naprawdę odczuł stratę, w twoim życiu musi pojawić się wielka pustka. Tak wielka, że niezależnie od tego, w co się rzucisz, jak bardzo będziesz chciał wypełnić ją czymś innym, nadal pozostanie wielką pustką. Kiedyś byliście przyjaciółmi, szwendaliście się razem i widywaliście codziennie. Gdyby zginął wtedy, pojawiłaby się ta pustka. Tak naprawdę jednak już od dawna z nikim nie byłeś zaprzyjaźniony. W porządku, zdarza się. Jedyna przykrość polega na tym, że kiedy dzieją się takie rzeczy, nie tęsknisz za człowiekiem, którego straciłeś, bo poradziłeś sobie z jego odejściem już dawno temu. Tęsknisz za pustką, którą powinien po sobie zostawić.

Choć jakaś część mnie miała ochotę zakrzyknąć: „psychologiczny bełkot” i „brednie”, wiedziałem, że Elaine ma trochę racji; powód, dla którego nie odczuwałem utraty przyjaciela, był taki, że już go straciłem, nawet tego nie zauważywszy.

Elaine i ja rozmawialiśmy przez niemal godzinę. Nie chciałem gadać o Elliocie, a ona to rozumiała, więc skupiliśmy się na innych rzeczach w naszym życiu: na mieszkaniu i domu rodziców; na telewizji w Stanach i w Anglii; na zielistce Elaine i zwyczajach ogrodniczych moich rodziców; na jej rachunkach i moim koncercie; na tym, jak się mieszka z Sarą i jak się mieszka z rodzicami; na życiu z pracą i życiu bez pracy; i w końcu na tym, jak bardzo za mną tęskni i jak bardzo ja tęsknię za nią.

TLR

CZTERDZIEŚCI TRZY

—Czy to tu? — spytał Gershwin.

—Tak sędzę — odparła Ginny.

—No dobrze — powiedziałem. — Co robimy?

Dochodziło południe w niedzielę, nasza trójka stała na środku cmentarza na wzgórzu Lodge po drugiej stronie miasta. Zadzwoiłem do Gershwina i Ginny, gdy tylko dowiedziałem się o Elliocie, czyli w przypadku Gershwina, tuż po rozmowie z Elaine. Po chwilowym szoku podszedł do tego ze stoickim spokojem. Spytał o szczegóły, niewiele mogłem mu jednak powiedzieć. Znając dobrze Gershwina, wiedziałem, że nie świadczy to o jego braku wrażliwości, oznacza jedynie, że nie wiedział, co powiedzieć, więc zamiast mówić głupoty albo banały, wolał milczeć. Postanowiłem nie dzwonić do Ginny do pracy, więc poczekałem aż do wczesnego wieczoru. Ginny zareagowała podobnie jak Gershwin — mało łez i wiele milczenia. Dzwoniłem też do Bev, Katriny i Pete'a—i oni byli zaszokowani i milczący.

Moje odczucia jednak zmieniały się z minuty na minutę, ale byłem teraz pewien, że teoria pustki trafiła w samo sedno. Długo myślałem o Elliocie w czasach szkoły, jako że właśnie takiego Elliota znałem najlepiej i za takim chciałem tęsknić. Zawsze był przedsiębiorczy, nawet w dzieciństwie. Zmuszał swojego tatę do kupowania mnóstwa nalepek z Powrotu Jedi po obniżonych cenach, w klubie, do którego należeli, po czym przynosił je do szkoły i sprzedawał z zyskiem. Kiedyś poprosił starszego brata o kupno erotycznych magazynów, takich jak „Men Only”, „Razzle” i „Escort”, które pociął i sprzedawał na strony młodszym od siebie, dzięki czemu sporo za-

robił. Tuż po swoich dwunastych urodzinach przyniósł ukochany prezent — kieszonkową wersję gry zręcznościowej, Defender — i wypożyczał ją za dwadzieścia pensów za rundkę. Taki był Elliot.

Tamtego wieczoru umówiłem się z Ginny i Gershwinem w Kings Arms i przez cały czas gadaliśmy o tym, że powinniśmy coś zrobić dla Elliota. W końcu przyszło nam do głowy, że złożymy hołd jego pamięci na cmentarzu. Uznaliśmy, że to go zapewne rozbawi — nasza trójka prawie trzy lata za późno przychodzi na pogrzeb.

Następnego dnia wyruszyliśmy wspólnie po kwiaty — pójście na cmentarz z pustymi rękami przypominałoby odwiedzenie kogoś w szpitalu bez butelki soku albo winogron — a w kwaciarni zaczęliśmy skakać sobie do oczu, bo żadne z nas nie potrafiło powiedzieć, jakie kwiaty spodobałyby się Elliotowi. Z jakiegoś powodu chciałem kupić mu coś długiego, fioletowego i aksamitnego w dotyku. Gershwin zapragnął róż, a Ginny bukiecika żółtych i białych kwiatów o dziwnej nazwie. W końcu Ginny oświadczyła, że możemy sobie kupować, co chcemy, bo jej zdaniem nie chodzi przecież o kwiaty, ale Gershwin powiedział, że nie kłócimy się o kwiaty, tylko próbujemy się wpędzić w beznadziejny nastrój. Każdy kupił takie kwiaty, jakie chciał, i zrobiliśmy z nich bukiet. Następnie Ginny zawiozła nas na cmentarz swoim starym granatowym fiatem panda.

— Co teraz? — zapytałem.

Nikt nie odpowiedział. Staliśmy przed nagrobkiem z szarego marmuru i gapiliśmy się na niego.

— To bardzo, bardzo dziwne — wyszeptałem w końcu, przerywając milczenie.

—Wiem — odparła Ginny.

—Trudno uwierzyć, że to się stało — powiedział Gershwin.

— Dlaczego? — spytała Ginny. Obaj na nią spojrzeliśmy. — Przecież to się zdarza codziennie. Dlaczego uważamy się za wyjątkowych ludzi, których to nigdy nie dotknie?

— Nie sędzę, żeby Gershwinowi chodziło o to, że jesteśmy wyjątkowi — powiedziałem. — Chyba próbował powiedzieć, że człowiek zakłada, że wszystko zawsze będzie takie samo. Że nic się nie zmieni, chociaż przecież wiadomo, że się zmienia. To chyba wynika z ludzkiej natury. — Zacząłem tracić pewność siebie. — Nie sądzisz, że tak właśnie jest, Gershwin?

Gershwin wzruszył ramionami:

— Chodźmy do pubu — powiedział.

I tak zrobiliśmy. Zostawiwszy kwiaty przy grobie, wróciliśmy do samochodu i zajechaliśmy przed Kings Arms na pośpiesznie zaimprovizowaną stypę.

CZTERDZIEŚCI CZTERY

— Jaka jest moja ulubiona historia związana z Elliotem? — powtórzył Gershwin pytanie Ginny. — Dajcie mi parę sekund, zaraz coś sobie przypomnę.

Siedzieliśmy w Kings Arms, przy tym samym stoliku co na urodzinach Gershwina — być może nawet na tych samych krzesłach — piliśmy i gadaliśmy o niczym przez dwie godziny, aż w końcu Ginny podniosła poprzeczkę.

—Już mam—oświadczył Gershwin. — Kiedyś szliśmy razem po King's Heath Street i specjalnie wpadł na nas taki wielki dzieciak z sąsiedniej szkoły. Elliot nawet na niego nie spojrział. No to ten chłopak zaszedł nas od tyłu, popchnął go i powiedział jakiś banał, chyba: „Chcesz się bić?” A Elliot tylko na niego popatrzył i spytał: „Po co?”, jakby naprawdę zainteresowała go odpowiedź. To był przebłysk geniuszu. Całkiem tamtego załatwił. Chłopak chciał się tylko pochwalić przed kumplami, jaki z niego twardziel, a Elliot zamierzał z nim dyskutować o motywacji. I tak dostał po pysku, ale tamta chwila, kiedy napastnik całkiem stracił tupet, bo Elliot zareagował inaczej, niż się spodziewał, była genialna.

—Moja kolej —• wtrąciła Ginny. — To właściwie nie jest historia, tylko powiem wam, jak najbardziej lubię go sobie wyobrażać. Pamiętacie ten ciemny prążkowany garnitur, który kupił sobie w Oxfamie i uparł się włożyć go na moją osiemnastkę?

—Pamiętam—przypadła Gershwin. — Nosił go do adidasów. Uważał, że świetnie wygląda. My uważaliśmy, że wygląda jak idiota.

Teraz przyszła kolej na mnie.

TLR

—Pamiętacie, jak kiedyś na lekcji chemii, kiedy mieliśmy po trzynaście, czternaście lat, Philip Jones był jak zwykle w życzliwym nastroju i kopał torby uczniów, i w końcu kopnął torbę Elliota?

—Pamiętam — wtrącił Gershwin.

—I Elliot oświadczył: „Dosyc tego”. Wziął pięćdziesięcio-pensówkę, położył ją na biurku, po czym podniósł szczypcami i podgrzał w palniku bunsenowskim, aż zrobiła się całkiem pomarańczowa. Potem rzucił ją na podłogę obok ławki Philipa Jonesa i udał, że mu spadła. Jones, autentyczny idiota, wrzasnął: „Ja to wezmę”, pchnął Elliota i złapał monetę. Smród palonej skóry czuć było przez parę dni. Jones miał tygodniowe zwolnienie ze szkoły. Kiedy wrócił, stłukł Elliota na kwaśne jabłko.

—Elliot i ja pożyczaliśmy sobie kiedyś Gremliny II na wideo — powiedział Gershwin. — Obaj uważaliśmy, że to najlepszy film na świecie. Całymi dniami przerzucaliśmy się cytatami, pękając ze śmiechu.

—Pamiętacie, jak na weekend zatrzymaliśmy się w Walii w przyczepie mojej mamy? — spytała Ginny. — Pierwszej nocy wszyscy poszliście do lasu, żeby się straszyć. Elliot nie poszedł, bo uznał, że jest za zimno, a ja nie dołączyłam do was ze strachu, że mama się kapnie, że chłopcy nocują nami w przyczepie. Elliot i ja wcześniej nigdy zbyt wiele nie rozmawialiśmy, ale wówczas, kiedy każde z nas wypilo po pół butelki thunderbirda, nasze stosunki się ociepliły. Pamiętam, że w pewnej chwili zaczęliśmy gadać o tym, co będziemy robić przez resztę życia. Ja miałam podróżować, po czym osiedlić się w Australii razem z sobowtórem Mela Gibsona o imieniu Brad. On oświadczył, że będzie prezesem międzynarodowej firmy, a ja powiedziałam coś w rodzaju: „Ale nudy”, a on umilkł i wyglądał, jakby było mu naprawdę przykro. A potem powiedział, że jeśli nie zostanie prezesem międzynarodowej firmy, to chce być podniebnym spacerowiczem.

—Kim? — spytałem.

—Jednym z tych ludzi, którzy przywiązują się do skrzydeł dwupłotowców na pokazach lotniczych. Widział coś takiego w dzieciństwie i spodobało mu się. Wtedy popatrzyłam na niego, a on na mnie, i wybuchnął śmiechem, po czym oświadczył, że nie chce być prezesem międzyna-

rodowej firmy ani podniebnym spacerowiczem. Powiedział, cytuję:
„Prawdę mówiąc, Gin, będę zadowolony, jeśli pozostanę sobą”.

TLR

CZTERDZIEŚCI PIĘĆ

Dochodziła trzecia po południu, kiedy zdecydowaliśmy się opuścić zacisze Kings Arms.

— Zadzwoń w tygodniu—powiedział do mnie Gershwin, kiedy przepowaliśmy z nogi na nogę na chodniku przed wejściem. Odwrócił się do Ginny. — Do zobaczenia... kiedyś tam.

Ginny uśmiechnęła się z zakłopotaniem, wyciągając ręce, by go uściskać.

— Uważaj na siebie. — Przytuliła go mocno.

— Ty też. — W odpowiedzi przelotnie musnął jej policzek. Skinął mi głową i odszedł. Ja i Ginny staliśmy, pogrążeni we

własnych myślach, przez bardzo długi czas.

—Co będziesz teraz robił? — spytała Ginny, kiedy zaczęło padać.

—Nic. A ty? Spotkasz się z Ianem?

Popatrzyła mi prosto w oczy, z zupełnie obojętnym wyrazem twarzy.

—Nie, ja też nic nie robię.

—Może masz ochotę nic nie robić razem? — zapytałem ostrożnie. Mimo że nastrój był poważny, nie chciałem, żeby pomyślała, że składam jej jakieś propozycje.

—Dobra. — Pokiwała głową, jakby rozumiejąc, że pytam jako przyjaciel, że to nic więcej. Nawet wzięła mnie pod rękę, czego na pewno by nie zrobiła w innej sytuacji. — Teraz to chyba najlepszy pomysł na świecie.

Nierobienie niczego zamieniło się w robienie czegoś, bo Ginny przypomniała sobie, że ze względu na nadmiar pracy już od ponad miesiąca nie była na tygodniowych zakupach i że tylko teraz, na godzinę przed zamknięciem Safewaya, może zaopatrzyć się w żywność na kilka następnych dni. Gdy patrzyłem, jak chodzi po sklepie, uzbrojona w wózek, przypominałem sobie Elaine. Obie mały kompletnie niepraktyczne podejście do zakupów. Spacerowały tą samą alejką po trzy razy, kupowały zamrożone artykuły na początku zamiast na końcu i wrzucały rzeczy do wózka, bo fajnie hałasują. (W tym wypadku Ginny kupiła butelkę wody różanej, bo pluśkała, i jadalne srebrne kuleczki, którymi posypuje się torty i ciasta, chociaż mówiła, że nie piecze).

Było nieuchronne, że podczas tych czterdziestu dwóch minut wpadniemy na dwójkę byłych kolegów ze szkoły: Davida Kim-ble'a (dawniej był najniższym chłopakiem w naszej klasie; obecnie bez wątplenia najniższym kierowcą ciężarówki w kraju) i Elizabeth Cowan (dawniej zapowiadała się na osobę dręczoną nudnościami podczas podróży; teraz była stewardesą w Aer Lingus). Oboje zdumiał widok mnie i Ginny razem po tylu latach i nie muszę mówić, że oboje wyciągnęli niewłaściwe wnioski. Ginny i ja tak niezręcznie zaprzeczaliśmy, że wyglądało na to, że nadal coś nas łączy. Później, objuczeni torbami, wróciliśmy do Ginny i podczas gdy ona przygotowywała coś do szkoły, ja upichciłem nam makaron. Otworzyliśmy butelkę wina i usiedliśmy na schodku w wejściu do kuchni. Patrząc na ogródek, popijaliśmy i gadaliśmy. Najpierw o dawnych czasach, potem o tym, co wtedy chcieliśmy zrobić ze swoim życiem, a na koniec o tym, co teraz robimy. Następnie omówiliśmy śmierć Elliota i co w związku z nią czujemy. Była to uczciwa, czasem wręcz aż do bólu, rozmowa, możliwa jedynie między ludźmi takimi jak my — starymi przyjaciółmi i dawnymi prawie ko-

chankami. Nasza historia sięgała tak daleko w przeszłość, że właściwie brak jej było początku. Nastrój przestał być taki ponury, zrobił się raczej intymny, bardziej refleksyjny. W takich okolicznościach wszystko mogłoby się wydarzyć, ale wiedziałem, że nic się nie wydarzy. Nie tak jak dawniej. Teraz każde działanie pociągało za sobą określone konsekwencje i oboje to wiedzieliśmy.

Z uśmiechem popatrzyłem na Ginny. I ona się uśmiechała.

—Dziwne, prawda? Siedzimy tu razem na progu w domu twojej mamy. Ile razy robiliśmy to w przeszłości?

—Kto wie — odparła. Postawiła kieliszek na ziemi i spojrzała w dal. — Tęsknię za mamą— szepnęła po chwili.

—Jasne. To naturalne.

—Wiem. Chodzi mi o to, że nie jestem pewna, czy „tęsknię” to właściwe słowo, Matt. Bez niej czuję, że czegoś mi brak. Jakby zniknął fragment mnie. — Podniosła kieliszek. — Czasem próbuję z nią rozmawiać. Lepsze to niż nic. Wyobrażam sobie, jak siedzimy przy kuchennym stole, a ja opowiadam jej o tym, co się dzieje w moim życiu — o szkole, o lanie, o tym, co czuję, a ona słucha. Na samą myśl o tym, że słucha, jest mi lżej. Dziwne, prawda? Czuję się lepiej, bo ktoś mnie słucha. Mama naprawdę potrafiła słuchać. Bez względu na to, co paplałam, potrafiła reagować tak, jakby to było najważniejsze na świecie. A teraz jej nie ma i czuję, że wszystkie dobre rzeczy, które wniosła w moje życie, zniknęły. — Westchnęła. — Przepraszam. — Odwróciła się do mnie. — Wpędzam cię w przygnębiający nastrój, prawda?

—Nie — odparłem. — Bynajmniej. Cieszę się, że możesz rozmawiać o tym właśnie ze mną.

Ginny się uśmiechnęła.

—Jasne, że mogę o tym z tobą rozmawiać. — Popatrzyła na mnie. — Widzę, że chcesz mnie o coś zapytać. Wal.

—Masz rację. — Zaśmiałem się. — To właściwie nie tyle pytanie, ile... Sam nie wiem. Chodzi o to, że dotychczas nie umarł nikt, kogo znałem — przynajmniej nikt mi bliski. Dziadkowie odeszli, kiedy byłem bardzo mały, umarł jeszcze jakiś mój daleki krewny, i tyle. Kiedy zobaczyłem cię tamtego wieczoru w Kings Arms i powiedziałaś mi, że twoja mama zmarła, nie miałem pojęcia, przez co przechodziłaś.

—Wiem, o co ci chodzi. Zanim mama zachorowała, też nie miałam o tym pojęcia. Przez całe życie byliśmy same. Nigdy nie widziałam taty, nawet nie chciałam. Byłyśmy tylko my dwie kontra świat i to nie mogło się skończyć — niby dlaczego? Moim zdaniem mama była niezniszczalna, miałyśmy się zawsze wspierać. Kiedy powiedziała mi o chorobie, przeżyłam szok. W wieku dwudziestu ośmiu lat przekonałam się, że mama jednak nie jest niezniszczalna, że nie będziemy się zawsze wspierać. — Ginny urwała, gdy jej głos się załamał.

—W porządku—zapewniłem ją. — Posłuchaj, nie chcę cię przygnębiać.

—Nie. — Odetchnęła głęboko. — Wszystko w porządku, Matt. Nie winienez bać się cudzego smutku. To naturalne. Nie możesz uciekać albo czegoś unikać, bo cię przygnębia. — Zaśmiała się. — Na pewno cierpiełaś, kiedy wyplakiwałam ci się w rękaw, co?

—Troszeczkę — przyznałem. — Ale dlatego, że nie wiedziałem, jak to powstrzymać.

—Właśnie o to chodzi — zauważyła. — Czasem po prostu nie chce się przestać. Czasem najbardziej na świecie pragniesz podzielić się smutkiem.

—Nie wiem, co bym zrobił, gdyby zmarło któreś z rodziców — powiedziałem. — Wiem, że ciągle mówię, jacy są irytujący, że są moją zmorą i tak dalej, ale gdyby ich nie było, tęskniłbym za nimi przez resztę życia.

—Powinienez im to powiedzieć — oświadczyła. — To jedna z niewielu dobrych stron choroby mamy — to, że mogłam jej powiedzieć, jak bardzo ją kocham, i kiedy nadszedł czas, wiedziała, ile dla mnie znaczy.

—Myślałem o tym. Może nie przyszło ci to do głowy, ale naprawdę. Usiłowałem wyobrazić sobie, jak zapewniam rodziców o swojej miłości i tak dalej, i sam nie wiem... Wątpię, żeby zrozumieli. To wspaniałe, że mogłaś o tym rozmawiać z mamą, ale moi starzy nie mają pojęcia, jak okazywać

uczucia. Tak, kochamy się pewnie, ale czy kiedyś to sobie mówiliśmy? Nie wiem. Mam wrażenie, że pewnych rzeczy wolimy nie wypowiadać na głos. Jeśli ktoś to umie, świetnie, ale nie każdy...

—Wiem, o co chodzi — przerwała. — Nie da się ot tak, zacząć takiej rozmowy. Podejrzewam, że ja i mama zawsze byłyśmy sobie bliższe niż wiele matek i córek.

—Czasem myślę, że od dzieciństwa nie rozmawiałem z tatą na poważnie. Pamiętam, że dawniej chciałem z nim pogadać, i kiedy nie był zajęty w pracy albo w ogrodzie, rzeczywiście rozmawialiśmy. Przede wszystkim jednak pamiętam komfortowe milczenie — on sadził długie susy, a ja rozpaczliwie usiłowałem dotrzymać mu kroku. Chociaż bardzo mnie to męczyło, widziałem w jego oczach, że cieszą go moje wysiłki.

—Twój tata cię kocha — powiedziała Ginny. Pokiwałem głową.

—Mama też. Ponownie kiwnąłem głową.

— Usiłujesz zrozumieć, po co ci to mówię. — Raz jeszcze kiwnąłem głową. — Tylko z jednego powodu: niezależnie od tego, jak bardzo jesteś pewien czyjeś miłości, zawsze miło o niej posłuchać.

Na chwilę zamilkliśmy, ciesząc się swoją bliskością. Po raz pierwszy zacząłem się zastanawiać, jak by to było znowu pocałować Ginny. Pomyślałem o Elliocie i o tym, że nadal nie pojmuję konsekwencji jego śmierci. W końcu pomyślałem o rodzicach, usiłując wyobrazić sobie życie bez nich. Wiele z tego, co mówiła do mnie Ginny, miało sens. Wyobrażanie sobie, że rodzice to stały punkt odniesienia w życiu, przynosi pociechę. Może, pomyślałem, powinienem patrzeć na świat taki, jaki jest, a nie taki, jakim chciałbym go widzieć. Niezależnie jednak od swoich starań, nie umiałem wyobrazić go sobie bez nich, nie umiałem też wyobrazić sobie pustki po ich odejściu.

Było dziesięć po ósmej, kiedy w końcu oznajmiłem Ginny, że czas na mnie. Pomogłem jej posprzątać naczynia i cały bałagan po moim gotowaniu, po czym poszedłem do przedpokoju po kurtkę.

—No dobrze. — Otworzyłem drzwi. — Lecę.

—Okay — przytaknęła. Zrobiła krok do przodu i pocałowała mnie w policzek. — Dzięki za dzisiejszy dzień. To był dziwny pretekst do ponownego spotkania, ale mimo wszystko.

Uśmiechnąłem się i wyszedłem, po czym ruszyłem ścieżką do furtki. Na chwilę przystanąłem, odwróciłem się i ponownie podszedłem do Ginny.

—Miałam nadzieję, że to zrobisz — westchnęła.

—Dlaczego nie powiedziałaś?

—Niepewność, strach, odrobina nienawiści do samej siebie — to, co zawsze. Czułam to ostatnim razem, kiedy się żegnaliśmy. Powinnam była coś powiedzieć, ale wiesz, jak to jest. Człowiek nie chce wyjść na głupca, prawda? Mam powiedzieć to teraz, żebyś ty nie musiał się wysilać? — Roześmiałem się. — Matt, chciałabym, żebyś na czas swojego pobytu w Anglii uważał naszą przyjaźń za wskrzeszoną. Wpadaj zawsze, kiedy będziesz chciał się napić, ponarzekać albo zwyczajnie poszwendać.

—Bardzo chciałbym, żebyśmy znowu byli przyjaciółmi.

—To nie jest tylko takie gadanie. — W jej głosie nagle zabrzmiała powaga. — Naprawdę. Prawdziwi kumple. I nie chodzi tylko o ciebie, ale również o Gershwina. — Objęła mnie mocno. — Wszyscy powinniśmy rozumieć, że nie można sobie odpuszczać. — Jej głos drżał. — Ja powinnam rozumieć.

CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ

Do: mattb@c-tec.national.com

Od: crazedelaine@hotmail.com

Temat: Jak tam?

Drogi Matt,

to tylko krótka wiadomość, żeby się dowiedzieć, co słyhać. Martwię się o Ciebie, odkąd napisałeś. Wiem, że nie lubisz, kiedy się martwię, ale nic na to nie poradzę. Chcę tylko wiedzieć, czy wszystko w porządku. Po tej stronie kałuży nic ciekawego. Praca trochę męczy [a kiedy nie męczy?] Sara wciąż sypia na Piekielnej Sofie [jakoś nie wspomniała, że jej niewygodnie, co oznacza, że albo jest bardzo uprzejma, albo ma kręgosłup ze stali), a rodzice przebakują, że do mnie przyjadą. Powiedziałam im, że się rozstaliśmy, ojciec był szczęśliwy, jakby wygrał w teleturnieju. Mówiłam Ci kiedyś, czemu Cię tak nie lubi? Bo jesteś Anglikiem. Nigdy nie powiedział dobrego słowa o Anglikach. Mówi, cytuję: „Zachowują się tak, jakby mieli kije w tyłkach”. A zresztą nigdy nie lubił żadnego z moich chłopaków. To chyba najlepiej wychodzi wszystkim ojcom nienawiść do chłopaków córek. Idę, muszę trochę popracować [albo poudawać, że pracuję].

Uważaj na siebie.

Uściski jak zawsze, Elaine xxx

Do: crazedelaine@hotmail.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Temat: Ja

Droga Elaine,

dobrze, że wszystko u Ciebie w porządku, droga kum-pelo, i że Piekielna Sofa nie uszkodziła Sary, i że Twój tata wciąż mnie nienawidzi. Poza tym dziękuję za e-mail i telefon. Naprawdę nic mi nie jest. Poważnie. Dziś Gershwin, Ginny i ja poszliśmy zobaczyć, gdzie pochowany jest Elliot, co było dziwne i w żaden sposób nam nie pomogło. Nie mam pojęcia, co chcieliśmy dzięki temu osiągnąć. Dziwne, że w czasach kryzysu, kiedy człowiek nie wie, co powinien zrobić, zachowuje się jak w melodramacie! Na szczęście szybko stamtąd poszliśmy do miejscowego pubu. Czuję, że dzisiejszy dzień był dla naszej trójki przełomowy. Że znów będziemy dobrymi kumplami, i to sprawia mi przyjemność. Tak czy owak, uważaj na siebie i nie denerwuj się zbytnio, kiedy już przyjadą Twoi rodzice.

Uściski,

Matt xxx

CZTERDZIEŚCI SIEDEM

Ginny i ja dotrzyaliśmy słowa. Zaczęło się od krótkich wypadów do Kings Arms tuż przed zamknięciem. Gershwin dołączał do nas, gdy tylko mógł. Potem doszły wycieczki do kina i restauracji, aż w końcu nastąpił ten wyjątkowy etap przyjaźni: wpadanie do siebie bez powodu poza ochotą na towarzystwo, kawę i od czasu do czasu papierosa. Czasem towarzyszył nam Ian, czasem Zoe, ale zazwyczaj byliśmy tylko we trójkę i śmiałem twierdzić, choć z wahaniem, że było tak jak kiedyś.

We wtorkowy wieczór, niemal trzy tygodnie po odnowieniu starej przyjaźni, cała nasza trójka siedziała w salce na tyłach Kings Arms, doskonale bawiąc się w swoim towarzystwie (ja narzekałem na rodziców, Ginny na pracę, a Gershwin na życie i pracę), kiedy ogłosili, że zaraz się zaczną „Rock around the Pop”, wtorkowy teleturniej o muzyce. W zeszłym tygodniu też w nim uczestniczyliśmy, bardzo nam się podobało. W brytyjskich pubowych teleturniejach jest coś niezwykle krzepiącego. Fajnie poczuć, że wiedza, w którym roku Sex Pistols podpisało kontrakt z EMI, albo znajomość nazwisk wszystkich pięciu członków Musical Youth faktycznie mają sens; cudownie widzieć podziw w oku Ginny i Gershwina podczas recytowania tekstów piosenek, kiedy okazuje się, że znam nie tylko jeden wers, ale całość *Club Tropicana* Wham! To nas naprawdę zbliżyło do siebie. Ja specjalizowałem się w latach osiemdziesiątych, Ginny w muzyce najnowszej, a Gershwin we wszystkim innym. Byliśmy niczym dobrze naoliwiona maszyna z encyklopedią popu.

W połowie teleturnieju, kiedy Gershwin i ja pochylaliśmy się nad Ginny, a ona zapisywała odpowiedzi jako ramię zbrojne w ołówek, nagle zjawił się Ian. Od razu poczułem się winny. Od chwili, w której pomyślałem o pocałowaniu jej tamtego dnia, coraz trudniej było mi nie myśleć o Ginny „w ten sposób”. To mnie rozczarowywało, bo w wieku niemal trzydziestu lat miałem nadzieję, że panuję nad swoją ciemną stroną, i na myśl o zauroczeniu dziewczyną innego faceta było mi smutno. Co gorsza, spodobała mi się perspektywa, że tym razem będziemy przyjaciółmi bez rzucania się na siebie. Platoniczny związek z byłą dziewczyną/niedziewczyną wydawał się czymś całkiem prawdopodobnym dla trzydziestolatka. Świadomość, że tylko ja zmagam się z takimi dylematami, także nie pomagała. Choć bardzo życzliwa, Ginny nie dała mi żadnego sygnału, że i ona czegoś pragnie. Bo niby dlaczego? W przeciwieństwie do mnie, zdobyła swoje święte graale trzydziestki: porządną pracę, własny dom i perspektywiczny związek.

— Cześć. — Wstała, żeby go pocałować. — Miła niespodzianka.

— Fajnie. — Odwzajemnił jej pocałunek, po czym spojrzał na nas. — W porządku, chłopaki?

— Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? — spytała Ginny, odsuwając krzesło na Iana.

— Złym wieściom, niestety — odparł.

Ginny cmoknęła głośno. Dziwnie było patrzeć, jak nagle zamienia się w czyjąś dziewczynę. Ponieważ zawsze była dla mnie bardziej przyjaciółką niż partnerką, nigdy tego z nią nie przerabiałem, a sądząc po jej ponurej minie, najwyraźniej nieźle jej to wychodziło.

— Idę do baru — powiedział Gershwin, kiedy wymieniliśmy dziecinne uśmiešky typu: „Nie chciałbym być teraz na jego miejscu”. — Napijesz się, Ian? — spytał, wstając.

— Chętnie, ale nie mogę zostać, mam za dużo pracy.

— Cudownie — warknęła Ginny.

— Bardzo mi przykro, skarbie — powiedział. — Wkrótce ci to wynagrodzę.

— Nawet mi nie powiedziałaś, jaka to zła wiadomość.

— Eee — przerwał zakłopotany Gershwin. — To samo, Ginny?

— Nie, dzięki. Podwójną wódkę z tonikiem, jeśli możesz.
Dotąd przez cały wieczór piła małą szklanekę cydru.

— Nie ma problemu. — Gershwin wycofał się szybko. Ja wstałem.

— Pomogę mu z drinkami, co? — rzuciłem, pomachałem ręką Ianowi i zniknąłem tuż za Gershwinem.

— Jak myślisz, o co poszło? — spytałem go, gdy dotarliśmy do baru.

— Nie wiem, stary, ale cokolwiek to było, facet ma kłopoty. Kiedy wróciliśmy, Ian już zniknął, a Ginny kipiała ze złości, tak

jak potrafi kipieć kobieta wystawiona przez swojego chłopaka.

— Gdzie Ian? — spytałem. — Chyba jeszcze nie poszedł?

— Poszedł.

— Kto się lubi, ten się czubi? — spytał Gershwin.

— Można tak powiedzieć — odparła. — Co roku moja koleżanka z college'u, Adele, wyprawia urodziny w swoim mieszkaniu w Belsize Park. Jest wspaniale, przyjeżdżają wszyscy z naszego college'u.

— No i?

— No i — Ginny rzuciła mi nieżyczliwe spojrzenie — jeżdżę tam co roku, żeby się z nimi spotkać, i co roku czuję się beznadziejnie, bo im wszystkim się udało. Adele pracuje w galerii sztuki i ma arystokratycznego chłopaka z kasą, który wygląda, jakby uciekł z poprawczaka. Jej najlepsza przyjaciółka, Liz, jest kierownikiem artystycznym w jakiejś szpanerskiej agencji reklamowej w Soho, ma chłopaka, który jest spikerem telewizyjnym i jeździ czarnym sportowym autem...

— Ferrari czy porsche? — spytał bez sensu Gershwin.

— Nie wiem! — warknęła. — Nie o to chodzi, prawda? — Wzięła głęboki oddech. — Przepraszam, Gershwin. O czym mówiłam? A tak, jest jeszcze druga najlepsza przyjaciółka Adele, Penny, żona bankiera, z dwójką cudownych dzieciaków, domem w zachodnim Londynie i domkiem letniskowym w Kornwalii, do tego w zeszłym roku w Serpentine pokazywano jej obrazy. No i jestem jeszcze ja.

— Czy ty lubisz te osoby? — zapytałem.

— Nie cierpię. Na uniwersytecie też ich nie cierpiałam.

— To po co tam jedziesz?

— Bo jeśli nie pojedę, przyznam się do porażki. Wszyscy są tak cholernie protekcyjni. No wiecie: „Biedna Ginny!”, a chciałabym, żeby wsadzili sobie to swoje współczucie w...

— Dobrze, dobrze — przerwał Gershwin uspokajająco. — To nic nie da.

— Tym razem miało być inaczej. To ja miałam im powiedzieć, co o nich myślę, i przywieźć ze sobą swojego przystojnego chłopaka, żeby się popisować. Prosiłam go o to milion lat temu i obiecał, że ze mną pojedzie, a teraz się wykręcił i zostałam na lodzie.

— Skoro Ian pracuje, to pracuje, prawda? — Postanowiłem być głosem rozsądku.

Ginny nie miała ochoty na słuchanie głosu rozsądku i spojrzała na mnie wilkiem.

— To tylko pomysł — zaczął Gershwin — ale możemy z tobą pojechać. Jako eskorta na ten wieczór. Matt może udawać super sławnego producenta muzycznego i przez cały wieczór sypać nazwiskami supergwiazd.

— A Gershwin podszyje się pod pilota linii lotniczych — wtrąciłem.

Ginny usiłowała ukryć uśmiezek, ale nic jej z tego nie wyszło.

— Zawsze podobali mi się piloci. Są seksowni, prawda?

— Owszem — przytaknął Gershwin. — Ja nie tylko zawsze chciałem być seksowny, ale chciałem również latać. Powiemy, że właśnie wróciłem z Singapuru tylko po to, żeby iść z tobą na to przyjęcie.

— A ja kim będę? — zapytała Ginny, najwyraźniej pokrzepiona. — Przecież jestem tylko nauczycielką.

— W tym cały smaczek — powiedziałem. — Wystarczy, że będziesz sobą. Ja i Gershwin będziemy twoimi zalotnikami, których poznałaś podczas wakacji na Barbados. Rywalizujemy ze sobą o twoją miłość. Będą ja-

ja. Adele i jej trendy przyjaciółki tak się wkurzą, że złapałaś dwóch fantastycznych ogierów, że pewnie zadławią się z zazdrości i umrą.

Ginny zachichotała. Lewą ręką objęła mnie, prawą Gershwina.

— Dzięki, ale nie, chłopaki. Jeśli to ma wyjść, muszę być sobą. Ale przyda mi się towarzystwo, jeśli tylko nie będziemy nikogo udawali. Pozwolę jej upokorzyć mnie przed tymi koleżankami po raz ostatni, pójdę do łazienki, poryczę się, potem pozbieram, pożegnám i już nigdy więcej ich nie zobaczę. Co wy na to? W przyszły weekend, pojedziecie?

— Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego — oświadczył radośnie Gershwin.

— Wchodzę w to — dodałem.

— No to postanowione. — Ginny wzniosła swoją nietkniętą wódkę, jakby zamierzała wychylić ją jednym haustem. — Londynie, przybywamy.

CZTERDZIEŚCI OSIEM

Do: mattb@c-tec.national.com

Od: crazedelaine@hotmail.com

Temat: Nowy początek

Drogi Matt,

muszę się do czegoś przyznać. Sara i ja znów zrobiłyśmy sobie babski wieczór po pracy w piątek. Spędziłyśmy całą noc na picciu i dowcipach — było naprawdę genialnie. Dobra, w skrócie: poznałam jednego faceta. Stało się nieuniknione. Więcej go nie zobaczę.

Uściski,

Elaine xxx

Do: mattb@c-tec.national.com

Od: crazedelaine@hotmail.com

Temat: Gdzie jesteś?

Matt,

minęło półtora dnia od mojej informacji. Gdzie jesteś? Napisz e-maila, żebym miała pewność, że nie wkurzyłeś się na mnie.

Elaine xxx

Do: mattb@c-tec.national.com

Od: crazedelaine@hotmail.com

Temat: Gdzie jesteś, no?

Matt, jeśli nie piszesz z powodu tego, co Ci napisałam, to... to... to nie jesteś tym, kim myślałam, że jesteś.

Do: mattb@c-tec.national.com

Od: crazedelaine@hotmail.com

Temat: Dlaczego mam dość mężczyzn

Przeczytaj... mój... list., uważnie... DAJ JUŻ SPOKÓJ, DUPKU!

Uściski,

Elaine xxx

TLR

CZTERDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Przybyliśmy do Londynu wczesnym sobotnim rankiem. Przez kilka dni nie wiedzieliśmy, co z Gershwinem, bo termin przyjęcia kolidował z wcześniej umówioną wizytą u rodziców Zoe. Udało mu się jednak wymigać dzięki obietnicy zwiększenia swego wkładu w obowiązki domowe z dwudziestu procent do pięćdziesięciu i wyjazdu na weekend we dwoje w „jakieś miłe miejsce”.

Moje życie zaczęło kręcić się wokół tego przyjęcia. Perspektywa robienia czegoś nowego, co wiąże się z obecnością nowych ludzi w nowym otoczeniu, bardzo do mnie przemawiała. Pewnie dlatego, że przez większość tygodnia pomagałem tacie czyścić garaż, chodziłem do supermarketu za mamę i musiałem radzić sobie z e-mailami od Elaine, z których wynikało, że przestała oglądać się za siebie i widuje się z innymi. Miała rację. Im dłużej to przeciągaliśmy, tym gorzej. Pewnie byłbym szczęśliwszy, gdybym ja pierwszy to zrobił (może z Ginny?), ale tak to bywa. Dlatego postanowiłem pozwlekać z odpowiedzią na jej e-mail. Nie chciałem napisać czegoś głupiego, czego potem pożałuję.

Najpierw pojawiliśmy się w hotelu Rembrandt Court tuż przy Oxford Street. Koleżanka Ginny, Adele, powiedziała, że możemy przespać się u niej na podłodze albo sofie, ale mając świeżo w pamięci Piekielną Sofę, wysunąłem propozycję zatrzymania się w hotelu. Ginny jednak nie miała ochoty wydawać swoich ciężko zarobionych pieniędzy na coś równie dekadentckiego. W końcu poszliśmy na kompromis: Gershwin i ja zare-

zerwowaliśmy dwójkę i zaproponowaliśmy Ginny sofę, jeśli taka tam będzie.

— Żartujecie? — zapytała.

— Nie — skłamaliśmy.

Rozpakowawszy bagaż, zaatakowaliśmy minibarek, skąd wyzarliśmy idiotycznie drogie orzeszki i wypiliśmy napoje gazowane, po czym wyruszyliśmy na londyńskie ulice, gotowi spędzić kilka następnych godzin jak rasowi turyści. Mimo że po studiach przez pięć lat mieszkałem w Londynie, właściwie nigdy nie robiłem niczego, co przystoi turyście, i uznałem, że teraz nadarza się ku temu okazja. Zaczęliśmy od przechadzki po South Bank, gdzie wpadliśmy na grupę dzieciaków na deskorolkach i Gershwin dał jednemu z nich funta za przejażdżkę na jego sprzęcie. Potem przyszła kolej na National Portrait Gallery, gdzie Ginny kupiła pocztówkę Audrey Hepburn dla Iana (wrócił do łask).

Później zaszliśmy na Trafalgar Square, na lody, a Ginny wdała się w pogawędkę z bezdomnym staruszkiem, który upierał się, że rząd uknuł spisek mający na celu porwanie gołębi. W końcu wylądowaliśmy blisko Carnaby Street, w barze, do którego często chodziłem po pracy. Siedzieliśmy tam przez wiele godzin, pijąc wódkę, przeglądając gazety i nabijając się z dwudziestoparoletnich, modnych studentów z kretyńskimi fryzurami i w idiotycznych butach. Do hotelu wróciliśmy wczesnym wieczorem, ale byliśmy tak pijani, rozbici i zmordowani, że bez słowa padliśmy na łóżka i zasnęliśmy jak czterolatki.

O ósmej, kiedy już się obudziliśmy, wzięliśmy prysznic i za kwadrans dziewiąta byliśmy gotowi na imprezę u Adele.

Nagle w hotelowym holu Ginny stanęła jak wryta.

— Wiecie co? Chyba nie chce mi się jechać aż do Belsize Park na beznadziejną imprezę tylko po to, żeby niegrzecznie potraktować ludzi, których nie lubię, i udowodnić im coś, czego wcale nie chce mi się udowodniać.

— Świetnie, że to mówisz — oświadczył Gershwin — bo i ja uważam, że powinniśmy zostać. Jestem koszmarnie pijany, tak zmęczony, że ledwie otwieram oczy, a łóżko na górze było naprawdę wygodne. Nie możemy zadzwonić do tej całej Adele i poobrazić jej przez telefon?

— Dobry pomysł, mój drogi. — Z zadowoleniem się dostosowałem. — Oboje macie rację. Liczyłem na tę imprezę w nadziei, że dzięki niej zaakceptuję fakt, że moja była dziewczyna zaczęła widywać się z innymi facetami. Ale wiecie co? Nie będę robić z siebie palanta. Chodźmy na górę, zamówmy sobie coś, odbębniemy ten nieuprzejmy telefon do Adele i sami urządzimy przyjęcie.

Popatrzyłem na Gershwina, Gershwin popatrzył na Ginny, a Ginny na mnie. Wszyscy troje wybuchnęliśmy śmiechem, obróciliśmy się na pięcie i poszliśmy do naszego pokoju.

Dwadzieścia minut później już spaliśmy: Gershwin na swoim podwójnym łóżku, Ginny na moim jednoosobowym, a ja na hotelowej Piekielnej Sofie.

PIĘĆDZIESIĄT

Do: crazedelaine@hotmail.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Temat: Facet z baru

Droga Elaine,

dziękuję Ci za nieobliczalne i nieco stuknięte e-maile. Dla Twojej informacji: nie pisałem, bo nie wiedziałem, co napisać. Zapewne przypadkowo spotkani w barze faceci to element procesu zrywania z przeszłością. Jakaś część mnie chce być zazdrosna. Pewnie spora część. Ale reszta mnie rozumie, że takie rzeczy muszą się zdarzać.

Matt xxx

Do: mattb@c-tec.national.com

Od: crazedelaine@hotmail.com

Temat: Stara przyjaciółka

Matt,

Twój e-mail przypomniiał mi, dlaczego się w Tobie zakochałam. Kto inny myślałby w ten sposób? Czasem jesteś tak wrażliwy, że wydaje mi się, że w połowie składasz się z dziewczyny. I tylko dla porządku, poza „innymi rzeczami” (na pewno nie chciałbyś, żebym wchodziła w szczegóły), przypadkowy facet z baru potwornie całował. Pamiętasz, jak niedługo po naszym pierwszym spotkaniu złapał nas deszcz, jak wracaliśmy od Alexandry, i całowaliśmy się w progę, czekając, aż przestanie lać? To był pocałunek na 11 punktów w dziesięciopunktowej skali. Facet z baru dostałby najwyżej dwa punkty.

Elaine xxx

TLR

PIĘĆDZIESIĄT JEDEN

— Matthew! — zawołała mama ze schodów. — Telefon do ciebie!

— Dobrze! — odkrzyknąłem ze swojego azylu, czyli sypialni. — Zaraz przyjdę. Kto dzwoni?

— Gershwin!

— Czego chce?

— Nie mam pojęcia! — ryknęła mama. — Jeśli jednak nie zejdziesz za chwilę, nigdy się nie dowiesz, bo odłożę słuchawkę.

Był poniedziałek po naszej londyńskiej wyprawie i wciąż leżałem w łóżku, dochodząc do siebie po chlaniu i hotelowej Piekielnej Sofie. Mimo tego wszystkiego, miałem szczerzy zamiar odebrać telefon, a prowadziłem tę wrzaskliwą rozmowę z mamą, bo rozmaite epizody z młodości podpowiały mi, że wrzeszczenie co sił w płucach do osoby na piętrze naprawdę, naprawdę ją wkurzy.

Ryzykując, że zostanę uznany za niewdzięczną, samolubną istotę, oświadczam, że moja mama w pełni na to zasłużyła. Wiem, że brzmi to nieco obcesowo, ale chwileczkę. Kochasz rodziców, to oni sprowadzili cię na ten świat, dają ci wszystko, czego potrzebujesz, i zazwyczaj są dla ciebie dość mili. Ale jednocześnie ci ludzie, ci sami ludzie, którzy robią wszystkie te wspaniałe rzeczy, wiedzą, że ich dobroczynność daje im moc: moc, dzie-

ki której potrafią ci zależeć za skórę jak nikt inny; moc, która pozwala im odszukać każdy przycisk, który ukrywasz przed światem; moc, dzięki której mogą wcisnąć wszystkie przyciski naraz, co gwarantuje, że wkurzy cię coś pozornie niewinnego. Rodzice doskonale wiedzą, co robią. Dla nich to sport, rozrywka, sposób na nudę. Dzień, w którym doprowadzanie własnych dzieci do choroby psychicznej zostanie ogłoszone konkurencją olimpijską, będzie dniem, w którym moja matka przy dźwiękach hymnu wejdzie na podium i odbierze złoty medal.

Dlatego chciałem ją wkurzyć.

Z zemsty.

Małostkowe, wiem. Uznałem to jednak za samoobronę, a poza tym tata mi mówił, że za życia babci mama postępowała dokładnie tak samo jak ja.

Zaczął się od drobnych przytyków związanych z moim ogólnym bałaganiarstwem, ale dni mijały, a jej uwagi robiły się coraz mniej delikatne, aż pewnego popołudnia dostała jakiegoś ataku i usłyszałem: „Nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie zmądrzejesz i nie posprzątasz”.

Nie mogłem w to uwierzyć. Mój pokój był bez zarzutu. Nagle, przez okoliczności, na które nie miałem wpływu, moje życie sprowadziło się do filmu o dorastaniu puszczonemu od tyłu.

I choć wiedziałem, że matka mnie kocha, myślę, że nowe doświadczenie, związane z dwudziestodwuletnim synem mieszkającym z nimi pod jednym dachem, nieco ją zmęczyło. Gdzieś z tyłu jej głowy czała się niepokojąca myśl, że jeśli będzie mi za dobrze, nigdy się nie wyprowadzę.

Akurat.

To chwilowe.

Zostało jeszcze sześć tygodni do mojego wyjazdu.

Ale sądząc z obecnej sytuacji...

Miałem wrażenie...

Że najbliższe sześć tygodni...

Będzie najdłuższe w moim życiu....

I dlatego tak zwlekałem z odebraniem telefonu Gershwin.

— Halo?

— E... halo — powiedział Gershwin.

— W porządku, stary?

— Tak, w porządku. Chyba ci nie przeszkodziłem, co?

— Nie — odparłem. — Wkurzałem tylko mamę.

— To dobrze. Tak tylko się upewniam.

— Czym mogę panu służyć?

— Przysługą — zaczął ostrożnie.

— Dużą przysługą?

— Mniej więcej do uda.

— Nie mam pojęcia, o co ci chodzi — oświadczyłem.

— Właśnie dzwoniła moja mama. Pojechała do Norwich zająć się ciotką, bo ciotka złamała nogę czy coś. Mama nie wie, jak długo tam zostanie, co oznacza, że nie będzie mogła zająć się Charlotte. Charlotte chodzi do przedszkola parę razy w tygodniu, ale nie jutro...

— Prosisz mnie, żebym się nią zajął? — zapytałem z niedowierzaniem.

— Oddasz mnie i Zoe olbrzymią przysługę — powiedział. — Będę miał wobec ciebie dług wdzięczności. Musisz się zjawić o wpół do dziewiątej, wtedy Zoe wychodzi do pracy. Da ci listę i różne inne rzeczy, a wróci koło piątej.

Zastanowiłem się nad tym: dzień spędzony z czterolatką kontra dzień spędzony na podkręcaniu mamy.

— Nie ma sprawy — odparłem pewnym siebie tonem. — I tak nie mam co robić. Przyda mi się jakaś odmiana.

— Na pewno? — spytał Gershwin. Chyba czuł się trochę winny. — Bo jeśli nie chcesz, możemy ją oddać do dziennego ośrodka dla dzieci.

— Nie bądź śmieszny — prychnąłem. — Mam prawie trzydziestkę i dyplom z informatyki, chyba dam sobie radę z własną chrześniaczką.

PIĘĆDZIESIĄT DWA

— Cześć, Matt — powiedziała Zoe, otwierając drzwi. — A może powinnam nazywać cię jednodniowym tatusiem? — Pocałowała mnie w policzek i zaprowadziła do salonu.

— Cześć, Zoe — odparłem. — Jestem gotów na wszystko, czym Charlotte zechce we mnie rzucać — płatki zbożowe, misie... cokolwiek.

— Jest bardzo dobrze wychowana — oświadczyła Zoe.— Będzie grzeczna jak aniołek, prawda, skarbie?

Weszła Charlotte i popatrzyła na mnie nieco wyniośle. Potem spojrzała na matkę.

— Na co masz dziś ochotę, Charlotte? — spytałem.
Wzruszyła ramionami.

— W porządku. Sam coś wymyślę, okay?
Zoe uklękła obok córki.

— Chcesz iść i ułożyć rzeczy w swoim pokoiku, skarbie? — Charlotte zniknęła w korytarzu. — No dobrze. — Zoe wręczyła mi listę. — W lodówce jest mnóstwo jedzenia, spisałam też to, czego pewnie zażąda na lunch. Czasem zmienia zdanie, ale nie daj się terroryzować. Zapisałam mój numer do pracy i numer komórki, i na wszelki wypadek jeszcze numer Gershwinia.

Popatrzyłem na listę.

— Wolno jej oglądać telewizję?

— Wolno, ale tylko przez godzinę. Inaczej zamienia się w zombie.

Zoe mnie przeprosiła i poszła przygotować się do wyjścia. Stojąc w salonie, popatrzyłem na zdjęcie Gershwina, Zoe i Charlotte. Dziwnie było obserwować takie maminodziecięce zachowanie w wykonaniu ludzi w moim wieku. Jeszcze dziwniej było porównać Gershwina na obrazku, w roli męża i ojca, z Gershwinem z mojego dzieciństwa, który lubił podpalać swoje bąki.

— No dobrze — powiedziała Zoe, niosąc Charlotte do drzwi wejściowych. Mocno uścisnęła córkę, pocałowała ją i postawiła na ziemi. — Będziesz grzeczna dla wujka Matta, prawda?

Pilnowanie Charlotte przez pierwsze pół godziny okazało się nieskomplikowane. Była w wieku, w którym potrafiła bawić się sama, i musiałem jedynie spełniać okazjonalną prośbę o picie oraz pilnować, żeby nie zrobiła nic niebezpiecznego. Zabrałem ją na lunch do moich rodziców, co bardzo im się spodobało — tak bardzo, że niemal się pogodziliśmy. Kiedy patrzyłem, jak tata rozmawia z Charlotte, byłem zdumiony jego swobodą. Po lunchu, zgodnie z wytycznymi, przyszedł czas na drzemkę, więc zabrałem małą do mieszkania Gershwina i Zoe. Kiedy zbudziła się mniej więcej godzinę później, zagraliśmy w kilka rundek Głodnego Hipopotama i oglądaliśmy telewizję. Około czwartej zmęczyła się tym wszystkim i właśnie wtedy uświadomiłem sobie, że wychowywanie dzieci jest trudniejsze, niż to się może wydawać. Już po dziesięciu minutach traciła zainteresowanie zabawą i natychmiast potrzebowała nowej rozrywki. Przeszedłem się po domu w poszukiwaniu inspiracji.

Dorastając, Gershwin i ja byliśmy fanatykami muzyki i mieliśmy kolekcję płyt złożoną mniej więcej z tysiąca albumów. Niestety, nigdzie ich nie widziałem, chociaż na wieży hi-fi był adapter. Gershwin miał kilka CD, ale śmierć płyt winylowych i jego dorosłość musiały zaowocować utratą miłości do muzyki, bo wszystkie jego kompaktki były do niczego. Widywałem ten syndrom wcześniej, u innych znajomych, zawsze było tak samo: ludziom, którzy szaleli za muzyką, gdy mieli po naście i dwadzieścia lat, nagle z powodu nawału pracy brakowało czasu na jej słuchanie. Żenili się lub znajdowali sobie dziewczyny i ich kolekcje płyt trafiały albo do domu rodziców, albo na strych, bo nie pasowały do wystroju wnętrza. Uznałem, że Gershwin pewnie ukrył płyty na strychu, bo wiedziałem, że jego tata zamienił dawną sypialnię syna na gabinet, gdy tylko Gershwin się wyprowadził. Doszedłem do wniosku, że być może będę miał okazję zabawić Charlotte, a także czegoś ją nauczyć. Wziąłem krzesło z sypialni Gershwina i Zoé i zdołałem wdrapać się na strych, jednocześnie nie spuszczać małej z oka — co było trudne. Podczas tej operacji cały się wybrudziłem, ale się opłacało. Poza śmieciami z młodości — starym commodore 64, nadal w pudle, konsolą do gier ATARI, starymi trampkami i wielką kolekcją książek o drugiej wojnie światowej — leżały tam też płyty Gershwina. Zapakował je w starannie oznaczone pudełka, których nikt od lat nie dotykał. Złapałem jedno z pudeł i zniosłem, żeby pokazać Charlotte.

— Wiesz, co to? spytałem ją.

— Nie — odparła.

— Płyty — wyjaśniłem.

— Co robią?

— Wiesz, co robią płyty kompaktowe?

Pokiwała głową.

— To są takie staroświeckie płyty kompaktowe.

Zaintrygowana Charlotte usiłowała wyjąć album z pudełka, ale nie mogła, więc ja go wyciągnąłem i jej wręczyłem.

— Wiesz, co to jest? — Wskazałem na okładkę. Pokręciła głową.

— Słyszałaś o Michaelu Jacksonie? Pokiwała głową, ale mogła mnie nabierać.

— To się nazywa *Off the Wall*. Nagrał ją Michael Jackson, zanim się stoczył. Puścimy sobie?

Zacząła wrzeszczeć z entuzjazmem, z całych sił. Ponieważ nie była tak ożywiona od wyjścia matki, uznałem, że to dobry znak, i postanowiłem iść na całość. Zamierzałem puścić tylko jedną piosenkę, ale koniec końców wysłuchaliśmy całej pierwszej strony. Była zahipnotyzowana. Kiedy nadeszła pora na *Don 't Stop 'TU You Get Enough*, zaczęła skakać na sofie niczym miniaturowa królowa disco i kazała mi to puścić cztery razy z rzędu.

W połowie *She 's Out Of My Life* usłyszałem domofon, więc ściszyłem muzykę.

— Czy to mamusia? — spytała Charlotte. — Może ona też chce potańczyć.

Popatrzyłem na zegarek. Było za wcześnie, zarówno na Zoe, jak i Gershwin. Nerwowo podszedłem do domofonu — byłem przekonany, że jeden z sąsiadów chce się poskarżyć na głośną muzykę i wydzierającą się czterolatkę.

— Tak? — powiedziałem, naciskając guzik.

— Cześć, Matt, tu Ginny. Mogę wejść?

— Jasne — odparłem. Wpuściłem ją do budynku i poczekałem, aż zapuka do drzwi, zastanawiając się, po co przyszła i skąd wiedziała, gdzie mnie szukać.

— Cześć, włącz — powiedziałem.

— Cześć.

— Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

— Zadzwoiłam do twoich rodziców, powiedzieli mi, co porabiasz. Nie mogłam się oprzeć pokusie i postanowiłam sprawdzić, jak sobie radzisz w roli niani. — Urwała, kiedy w korytarzu pojawiła się Charlotte. — Czy to Charlotte? — zapytała Ginny. Podeszła do niej i uklękła. — Witaj, jestem Ginny. Przyjaźnię się z twoimi rodzicami.

— Mam cztery lata — oświadczyła Charlotte.

— Jesteś wspaniała. Prawda? — Ginny uśmiechnęła się do mnie, jakbym był współodpowiedzialny za istnienie Charlotte.

— Patrz, co robiliśmy — powiedziała Charlotte, ciągnąc Ginny za rękę do salonu. — Wujek, nastawisz jeszcze tę płytę? Tę, do której tańczyliśmy?

Nastawiłem. Słuchaliśmy jej trzy razy z rzędu, a Charlotte przez cały czas skakała, posługując się sofą jako trampoliną.

Reszta tego popołudnia, aż do powrotu Zoe, trafi do mojej autobiografii jako jeden z najprzyjemniejszych dni w życiu. Nasza trójka wysłuchała *Guilty* Barbry Streisand (pewnie własność mamy Gershwina), *Sing of the Times* Prince'a, z wyjątkiem *I Was Your Girlfriend*, bo uznałem, że to trochę

zbyt brutalne jak dla Charlotte, *Breakdance — the Album*, przez wzgląd na dawne dobre czasy, i dwa single Duran Duran, by Charlotte poczuła dumę z kulturowego dziedzictwa. Kiedy Zoe powróciła tuż po piątej, znalazła Ginny, Charlotte i mnie na podłodze salonu, wpatrzonych w sufit i grających na niewidzialnych gitarach, kontemplujących wielkość i wspaniałość *AU Along The Watch Tower* w wykonaniu Jimmiego Hendrixa z płyty Gershwin *Największe przeboje Hendrixa*.

— Robiliście to przez całe popołudnie? — spytała Zoe.

— Charlotte tworzy więzi z kolekcją płyt Gershwin — wyjaśniła Ginny.

— Czego słuchaliście? — zainteresowała się Zoe.

— Czaderskiej muzyki! — wrzasnęła Charlotte pełnym głosem.

— Skąd zna takie słowa? — spytałem.

— Gershwin nauczył ją słowa „czaderski” — powiedziała Zoe. — Powiedział, że chce, aby nasze dziecko miało dobry gust. A jego zdaniem najlepszy sposób na wyrobienie sobie dobrego gustu to rozróżnienie, co jest czaderskie, a co nie. — Potargała włosy córki. — No to jaka muzyka jest czaderska, Charlotte?

Na twarzy Charlotte pojawiła się powaga, gdy dziewczynka próbowała sobie przypomnieć popołudniową lekcję, ale po chwili mała wzruszyła ramionami, jakby chcąc oznajmić, że to bez znaczenia.

— *Off The Wall* Michaela Jacksona jest czaderski — powiedziałem w jej imieniu.

— A także Elvis i największe przeboje Barry'ego White'a. Pierwszy album Culture Club i Kajagoogoo — dodała Ginny.

— A co nie jest czaderskie? — dopytywała się Zoe.

— Tatuś — odparła Charlotte.

Ginny i ja posiedzieliśmy jeszcze trochę, a potem wyszliśmy mniej więcej za kwadrans szósta. Rozpaczliwie nie chciałem iść do domu i spędzać wieczoru na oglądaniu telewizji w towarzystwie rodziców.

TLR

— Masz ochotę na szybkiego drinka w Kings Arms? — spytałem, gdy szliśmy Wake Green Road ku Moseley.

— Ale naprawdę szybkiego — powiedziała Ginny. — Ian wpadnie do mnie koło siódmej. Chyba chce iść do restauracji. Możesz do nas dołączyć, jeśli chcesz.

— Nie nie nie — zaprzeczyłem, nieco zbyt gorliwie. — Wystarczy mi drink.

TLR

PIĘĆDZIESIĄT TRZY

— W domu nie najlepiej? — spytała Ginny, kiedy usiedliśmy, z piwem w rękę, w pustej salce Kings Arms.

— Można tak powiedzieć — przyznałem, popijając. — Myślę o wcześniejszym wyjeździe do Australii.

— Żartujesz, prawda? Nie może być aż tak źle.

— Ależ jest — zaprzeczyłem. Opowiedziałem jej o tym, jak nie wolno mi było wyjść, dopóki nie posprzątam.

— Nie wierzę! — wykrztusiła. — Naprawdę tak powiedziała?

— Użyła właśnie tych słów — potaknałem.

— To nienormalne, żeby facet w twoim wieku mieszkał z rodzicami — powiedziała Ginny. — Nawet krótko. Podejrzewam, że może nawet nielegalne. — Usiłowała ukryć uśmiezek. — Ale nie mówisz serio o tym wyjeździe?

— Mówię całkiem serio. Przecież to tylko kilka tygodni wcześniej, niż planowałem. Na pewno umieszczą mnie w jakimś hotelu, jeśli poproszę. Poza tym mogę zrozumieć, że rodzice się wkurzają — wprowadzam w ich życie zamieszanie. Już dość się namieszkaliśmy razem, więc może wyjadę, dopóki jeszcze ze sobą rozmawiamy.

— A my?

— Jacy my?

— Ty, ja i Gershwin — powiedziała Ginny. — Myślałam, że teraz jesteśmy kumplami. Prawdziwymi kumplami. Nie udawanymi.

— Jesteśmy — odparłem nieco wrogo. — Oboje możecie w każdej chwili odwiedzić mnie w Australii. Mieszkanie, które wynajmie mi firma, ma być bardzo ładne. Zmieścisz się i ty, i Ian, jeśli przyjedziecie.

— Ale przecież dobrze się bawimy?

— Tak, ale popatrz na mnie teraz. Gershwin i Zoe zostają w domu, ty wychodzisz z Ianem...

— Zaprosiłam cię — przerwała.

— A ja podziękowałem! Nie chcę być piątym kołem u wozu, wielkie dzięki. Nie, to wszystko ma sens. Przynajmniej się zaaklimatyzuję.

— Co by trzeba zrobić, żebyś został? — Uśmiechnęła się łagodnie. — Dać ci milion funtów?

— Więcej.

— Dwa miliony funtów i pokazać ci cycki? — zachichotała.

— Może dwa miliony, a ja ci zwrócę pięćset tysięcy, żebyś tylko nie pokazywała cyków?

Ginny wybuchnęła śmiechem.

— A może zamiast pieniędzy zaproponuję darmowe zamieszkanie w wolnym pokoju w moim domu?

Zapadła cisza.

— Żartujesz, prawda?

— Mówię śmiertelnie poważnie. Po co miałabym żartować? Musisz przecież gdzieś mieszkać, prawda?

— Tak.

— No widzisz — oświadczyła krótko. — I po problemie.

— Na pewno? — zapytałem. — A może to takie gadanie po trzech łykach piwa, bo przecież więcej nie wypijesz w zwykły dzień tygodnia?

— Jedno i drugie — odparła z rozbawieniem. — Dziwne, że wpadłam na ciebie i Gershwiną w jego urodziny. Dwadzieścia cztery godziny później musiałam brać dzień wolnego w pracy. A teraz, po kilku tygodniach, chodzę z wami do pubu niemal codziennie. Podoba mi się taka przypadkowość w moim życiu. To zabawne. — Umilkła i upiła jeszcze jeden łyk piwa. — Pamiętasz pewne półroczce, kiedy rodzice Bev wyjechali, zostawiwszy dom pod jej opieką, i wszyscy się tam wprowadziliśmy? Mówiliśmy wtedy, że przy pierwszej okazji kupimy sobie wielki dom i spędzimy resztę życia razem, jak w jednym z odcinków *Monkees*. To właśnie taka okazja. Gershwin, Zoe i Charlotte też się mogą wprowadzić.

— Ale co z Ianem? — spytałem.

— Jak to co z Ianem?

— Nie będzie miał nic przeciwko temu?

— Czemu? Że dawny kolega ze szkoły wprowadza się do wolnego pokoju? Jasne, że nie.

Podumałem nad tym.

— Ale pozwolisz mi płacić czynsz, prawda?

— Żadnego czynszu, już to mówiłam. Zajmiesz się zakupami, to będzie twój wkład, jeśli chcesz.

Podumałem nad tym raz jeszcze.

— Jesteś pewna, że jesteś pewna? — spytałem.

— Jasne, że tak — odparła. — Ian to najbardziej wyluzowany facet na świecie. Mogłabym zamieszkać ze striptizerem, a on powiedziałby pewnie: „Fajnie, mała”. Tak czy owak, dom należy do mnie i mogę w nim robić, co mi się podoba. — Wydawała się rozbawiona własną otwartością. — Ale musimy ustalić jakieś reguły — dodała głosem, który mówił: „To będzie poważne”. — W młodości zdarzyło mi się paru koszmarnych współlokatorów, zwłaszcza facetów.

— Jakie reguły masz na myśli?

— Podstawowe. Żadnego prania w zlewie dłużej niż dwadzieścia cztery godziny.

— Załatwione.

— Żadnego zostawiania dwóch ostatnich kawałeczków papieru toaletowego.

— Załatwione.

— Żadnych męskich majtek w miejscach użytku publicznego.

— Załatwione.

Milczała, ale widziałem, że usiłuje jeszcze coś wymyślić.

— To wszystko? — zapytałem.

— Tak — odparła niepewnie. — Chyba tak.

— No dobrze, ja też mam swoje warunki. A właściwie jeden.

— Nie możesz stawiać żadnych warunków, bezczelny palancie. To ja jestem gospodynią. — Zachichotała, ziewnęła i oświadczyła: — No już. Jaki to warunek?

— Żadnych majtek ani staników na kaloryferach — powiedziałem z naciskiem. — Tylko o to proszę. Elaine to robiła i doprowadzało mnie to do szału.

PIĘĆDZIESIĄT CZTERY

Do: crazedelaine@hotmail.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Odp: **Wyznania**

Droga Elaine,

w związku z Twoim ostatnim napadem szczerości, ja też mam coś do wyznania. Tak jakby. Sytuacja u rodziców zrobiła się nieco napięta, poważnie myślałem o wcześniejszym wyjeździe do Australii, ale Ginny zaproponowała mi pokój u siebie. Więc się do niej wprowadzam, oczywiście na czysto platonicznych zasadach (wolny pokój będzie moim terenem). Jej chłopak nie ma nic przeciwko temu. Zresztą wkrótce lecę do Sydney. I to tyle, naprawdę. Nic wielkiego.

Uściski,

Matt xxx

Do: mattb@c-tec.national.com

Od: crazedelaine@hotmail.com

Odp: Odp: Wyznania

Drogi Matt, „dobra”.

Uściski,

Elaine

Do: crazedelaine@hotmail.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Odp: Odp: Temat: Wyznania

Droga Elaine,

co to za „dobra”? Dobra, czyli „dobrze, w porządku”? Czy dobra jak „po moim trupie”? Tak się zastanawiam.

Uściski,

Matt

Do: mattb@c-tec.national.com

Od: crazedelaine@hotmail.com

Odp: Nie masz pojęcia, co?

Drogi Matt,

miałam na myśli: „Oczywiście, możesz sobie mieszkać razem z dawną licealną (czy jak tam to się nazywa w Anglii) dziewczyną w tym przełomowym momencie swojego życia, kiedy wartościujesz i przewartościowujesz swoje [prawie) trzydzieści lat życia i dochodzisz do wniosku, że najlepsze masz już za sobą, bo z pewnością nie będziesz wchodził dwa razy do tej samej rzeki, zwłaszcza kiedy ta osoba będzie po całych dniach paradowała tylko w bieliźnie". To takie dobra.

Uściski,

Elaine

TLR

PIĘĆDZIESIĄT PIĘĆ

Następnego wieczoru podczas kolacji — kotlety mielone, ziemniaki, kapusta i marchewka — oznajmiłem rodzicom, że się wyprowadzam. Bardzo mnie to podniosło na duchu, bo gdy tylko to powiedziałem, znów stałem się synem numer jeden. Mama usiłowała przekonać mnie do pozostania i pod jej wpływem tata też próbował, ale bez przekonania. Nie chodziło o to, że chciał mnie widzieć na ulicy, ale jako mężczyzna zapewne uznał, że jeśli jeszcze kiedykolwiek mam być samodzielny, to zapewne jest to bardziej prawdopodobne w miejscu, w którym mama nie będzie przychodziła co pięć minut, by zapytać, czy u mnie wszystko w porządku.

Nazajutrz, gdy przestałem zajmować się Charlotte, z pomocą rodziców wprowadziłem się do Ginny. Choć mój nowy dom znajdował się zaledwie dwadzieścia minut stąd, mama kazała mi obiecać, że przynajmniej dwa razy w tygodniu będę przychodził na kolację, i uparła się, żebym wziął ze sobą duże kartonowe pudło. Dopiero kiedy rodzice zniknęli i rozłożyłem swoje rzeczy, zorientowałem się, że w pudle są puszki z jedzeniem, herbata w torebkach i płatki śniadaniowe.

PIĘĆDZIESIĄT SZEŚĆ

Do: crazedelaine@hotmail.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Odp: Odp: Nie masz pojęcia, co?

Droga Elaine, czyżbyśmy się sprzeczali?

Matt xxx

Do: mattb@c-tec.national.com

Od: crazedelaine@hotmail.com

Odp: Odp: Odp: Nie masz pojęcia, co?

Drogi Matt,

OCZYWIŚCIE, ŻE SIĘ KLÓCIMY [JA SIĘ NIE SPRZECZAM, JE-
STEM AMERYKANKĄ!!!!!!)

Elaine xxx

Do: crazedelaine@hotmail.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Odp: Sprzeczka/Kłótnia

Droga Elaine,

niech Ci będzie. Spierajmy się. Niech pomyślę: jesteś zirytowana, bo mimo naszego rozstania wprowadziłem się do wolnego pokoju byłej dziewczyny sprzed piętnastu zylionów (Twoje słowo) lat. Tymczasem Ty „zaprzyjaźniasz się” z przypadkowymi facetami z baru... i to ja postępuję niewłaściwie? Uwielbiam Twój kompletny brak pojmowania fundamentalnych zasad logicznego myślenia.

Uściski,

Mattxxx

PIĘĆDZIESIĄT SIEDEM

Ogólnie mówiąc, mieszkanie razem z Ginny było mniej stresujące, niż myślałem, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, przez co kiedyś przeszliśmy. Dawniej byłby to gotowy przepis na katastrofę, zwłaszcza że zwykle udawało nam się przechodzić od bliskości przyjaciół do bliskości kochanków nawet bez zaczerpnięcia oddechu. Teraz jednak moja pączkująca osobowość trzydziestolatka pomagała mi to przetrwać. Oczywiście podczas kilku pierwszych dni musieliśmy ustanowić kilka nowych zasad: jeśli skończysz butelkę mleka, kup nową— i nie oszukuj, zostawiając kilka kropelek na dnie; wannę należy myć bezpośrednio po użyciu, i to za pomocą właściwych artykułów do czyszczenia wanny — a nie przecierać ją mokrą szmatą; nie ma żadnego pożyczania żyłek bez pozwolenia. Szczerze mówiąc, były to moje zasady, ale Ginny niespecjalnie narzekała, bo będąc takim fanatykiem czystości, zajmowałem się najczęściej, jeśli nie zawsze, gotowaniem i sprząaniem za nas oboje. Bardzo mi to przypominało życie z Elaine. Czułem się dziwnie pokrzepiony w gorszych momentach w życiu.

PIĘĆDZIESIĄT OSIEM

Do: mattb@c-tec.national.com

Od: crazedelaine@hotmail.com

Odp: Spory

Drogi Matt,

przestańmy się spierać. Nie mogę pracować, kiedy tylko tak siedzę i czekam na Twój e-mail. Przespałam się z tym problemem i przyznaję, że chyba pośpieszyłam się z odpowiedzią na temat Ciebie i Twojej eks. Przepraszam. Daję słowo, że nie jestem zazdrosna. Po prostu martwię się o Ciebie. Wiem, co czujesz. Może powinieneś się z nią spotykać. Pewnie taki powrót do przeszłości byłby dobrą terapią.

Uściski,

Elaine xxx

PIĘĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

Ginny i ja ustanowiliśmy własne zwyczaje, jak prawdziwa, zadowolona para. W każdy dzień tygodnia Ginny wstawała o wpół do siódmej, znikwała w łazience pod prysznicem, a potem wchodziła do sypialni, żeby wysuszyć włosy, zrobić makijaż i się ubrać. Potem schodziła na dół, zjadała miseczkę płatków i robiła sobie kanapki do pracy. To wszystko zajmowało jej półtorej godziny i zawsze wychodziła za późno.

Mój dzień był znacznie bardziej stresujący. Mama Gershwina wciąż tkwiła u ciotki, więc w dni, w które musiałem zajmować się Charlotte, wstawałem za piętnaście ósma, pędziłem pod prysznic, wpadałem do pokoju, ubierałem się i wybiegałem z domu parę sekund przed Ginny.

Fajnie było spędzać dni z czterolatką i na szczęście ona najwyraźniej lubiła spędzać dni ze mną. Jeśli chciałem ją rozśmieszyć, wystarczyło, że imitowałem puszczenie bąków grzbietem dłoni; jeśli ona chciała mnie rozśmieszyć, wystarczyło, że śmiała się z moich dowcipów. Z jej uwielbieniem telewizji, dziwnych zestawów żywnościowych (fasolka na toście z serem wiejskim) i spacerów po parku była dla mnie idealną towarzyszką. Pewnie byłem stworzony do opieki nad dziećmi. Poważnie.

SZEŚĆDZIESIĄT

Do: crazedelaine@hotmail.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Odp: Twój ostatni e-mail

Droga Elaine,

mam kłopoty ze śledzeniem Twojego toku rozumowania. To chcesz, żebym się z nią spotykał, czy nie? Tylko się upewniam.

Uściski,

Matt

Do: mattb@c-tec.national.com

Od: crazedelaine@hotmail.com

Odp: Tylko się upewniam

Drogi Matt,

po pierwsze, zwolnią mnie, kiedy zauważą, że nie robię tu nic innego, tylko po całych dniach piszę e-maile do Anglii. Po drugie, od naszego rozstania tnie zapominajmy, że minęło dużo czasu), zapoznałam się tylko z jednym facetem w barze! A Ty przeprowadzasz się do byłej dziewczyny, która ma chłopaka! Jeśli nie zamierzasz z nią chodzić, to chodź z kimś innym. To naturalne.

Uściski, Elaine

TLR

SZEŚĆDZIESIĄT JEDEN

Moim jedynym prawdziwym problemem była samotność. Kiedy wieczory spotkań Ginny i Iana pokrywały się z wieczorami, w których Gershwin siedział w domu albo wychodził z innymi kumplami, nie wiedziałem, co robić. Nie należę do osób, które szczególnie cieszy własne towarzystwo. Potrzebuję ludzi, żeby się dobrze czuć. Jestem typem bardzo lubiącym towarzystwo innych.

TLR

SZEŚĆDZIESIĄT DWA

Do: crazedelaine@hotmail.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Temat: Zabawa w randki

Droga Elaine,

no dobrze, obiecuję Ci, że umówię się na randkę. Robię to, bo wiem, że nie zrezygnujesz, dopóki nie postawisz na swoim. Pewnie dobrze Ci ze świadomością, że Twoja umiejętność irytowania ludzi sięga poza Atlantyki. Ale poważnie, sędzę, że masz rację. Myślę jednak, że może być mi trudniej, niż myślisz. Zerknąłem da ogłoszeń towarzyskich w sobotniej gazecie i kobiety koło trzydziestki (moja nowa grupa docelowa) zawsze podkreślają, iż pragną mężczyzny, który:

- 1) jest wypłacalny,
- 2) pomocny,
- 3) bez bagażu emocjonalnego.

Spełniam warunek 1) i 2), ale podejrzewam, że chyba stanowisz „bagaż emocjonalny”. Tak czy owak, znajdę dziewczynę, żebyśmy mogli żyć dalej.

Uściski,

Matt Tragarz Samotności Beckford

TLR

SZEŚĆDZIESIĄT TRZY

— Miły wieczór? — zapytała Ginny.

Było po wpół do dwunastej w piątkowy wieczór, tydzień po moich przenosinach do Ginny. Nieco podchmielona gospodyni właśnie wróciła z randki z Ianem, podczas gdy ja przez cały wieczór oglądałem *Weekend Watchdog*, a potem *Top of the Pops*, potem litowałem się nad sobą, potem dzwoniłem do Domino's Pizza, potem znowu litowałem się nad sobą i przez pół godziny intensywnie skakałem po kanałach, a potem przybyła pizza Mięсна Uczta na kruchym cieście, a potem w telewizji byli *Przyjaciele*, potem zjadłem pół pudełka lodów, potem był *Frasier*, potem pół godziny nieprzekonującego horroru, a potem wróciła Ginny.

— Okropny — odpowiedziałem, nawet nie unosząc głowy znad oparcia sofy. — A twój?

— Chyba nie aż tak zły jak twój. — Zdjęła płaszcz, przesunęła moje nogi i opadła na sofę obok mnie. — Poszliśmy na drinka w nowym barze i do perskiej restauracji nad nim.

— I jak?

— Nieźle. — Uśmiechnęła się. — Robią porządne jedzenie, znasz Persów. — Ziewnęła lekko, jednocześnie się przeciągając. — No już, nie-szczęśniku, dlaczego dzisiejszy dzień był taki straszny?

— Bez szczególnego powodu.

— Ciężkie przejścia z Charlotte?

— Gdzie tam. Była genialna. Po południu poszliśmy do muzeum. Chyba jej się podobało. Na pewno tak, bo kiedy wracaliśmy autobusem do domu, oświadczyła, że gdy dorośnie, zostanie artystką. Albo księgową. — Ginny zachichotała. — Nie zmyślam. Nie wiem, skąd jej to wszystko przychodzi do głowy. Dziecięce umysły to dla mnie tajemnica.

— No to co się dzieje?

— Chyba się nudzę.

— Biedaczek. — Ginny przetarła oczy. — Ian chce iść jutro do kina. Możesz się załapać, jeśli chcesz.

— Już drugi raz proponujesz mi, żebym robił za przyzwoitkę. Mam swoją godność. Nie potrzebuję litości. Jeszcze nie.

— Nic ci nie będzie. — Ginny ściągnęła buty i popatrzyła na zegar na ścianie. — Co teraz będziesz robił? Idziesz spać?

— Nie tak wcześnie — odparłem. — Zastanawiałem się, czy nie obejrzyć *Ostrego dyżuru*. Nagrałem go sobie w środę, przewidując taki parszywy moment w życiu. Podejrzewam, że nieszczęścia innych, nawet fikcyjnych postaci, sprawiają, że poczuję się szczęśliwszy.

— Nigdy nie oglądałam *Ostrego dyżuru* — oświadczyła Ginny, moszcząc się na sofie. — Nie lubię filmów pełnych krwi, flaków i wrzasków.

— Chyba żartujesz! — wykrzyknąłem. — Wrzaski są najlepsze. Kiedyś byłem takim ignorantem jak ty. Nawet wychodziłem z pokoju za każdym

razem, kiedy Elaine zaczynała to oglądać, mówiąc, że zostawiam ją jej „babskimi programami”, ale mnie nawróciła. Wystarczyły trzy odcinki, żeby się uzależnił. Zrób kawę, ja nastawię wideo i streszczę ci akcję, jak Elaine mnie — kto z kim sypia, kto z kim sypiał, kto kogo nienawidzi i kto jest z kim w ciąży. To jak w prawdziwym życiu, tyle że dzieje się w szpitalu.

Było prawie za kwadrans pierwsza, kiedy Ginny i ja poczuliśmy przyływ energii po obejrzeniu sześćdziesięciu minut znakomitego dramatu szpitalnego. Tak nakręceni, postanowiliśmy odegrać „Ostry dyżur na żywo!”, czyli zabawić się w głupią grę wymyśloną przeze mnie i Elaine. Nikt inny jej nie rozumiał i nie uważał za zabawną, my jednak umieraliśmy ze śmiechu.

Żeby bawić się w „Ostry dyżur na żywo!” trzeba było znaleźć pacjenta ochotnika (Elaine i ja używaliśmy w tym celu haftowanych poduszek jej matki), rozdzielić role (Elaine zawsze grała doktor Shulę Hobgoblin, jednocześnie żywiołową indywidualistkę o specjalności chirurga, nową na oddziale urazowym, a ja pielęgniarza Zimmermana, twardego, lecz sprawiedliwego sanitariusza urodzonego po niewłaściwej stronie austriackich Alp). Reszta gry polegała na wprowadzeniu jak największej liczby wątków znanych z *Ostrego dyżuru* na minutę.

Ginny ten pomysł ogromnie przypadł do gustu, może dlatego, że był taki dziwny. Uznała, że będzie doktor Elizabeth Hatstand, błyskotliwą, ale ekscentryczną rezydentką na drugim roku, z Londynu w Anglii. Żeby nie budzić upiorów, postanowiłem zostać doktorem Lance'em Buttym, błyskotliwym, ale wyjątkowo żalonym chirurgiem stażystą mającym pretensje do całego świata.

— Panie doktorze! — wrzasnęła Ginny, nie panując nad śmiechem. — Szybko na urazówkę. Mamy ofiarę strzelaniny z raną postrzałową w głowie, cierpi na wstrząs anafilaktyczny i — eee — te inne.

— Oto pacjent, pani doktor. — Podniosłem kota Ginny, Larry'ego (Sanders, bystre zwierzę, dał nogę) i usadowiłem go przed telewizorem, a my oboje ukłękliśmy za nim. — Kiepsko to wygląda — oznajmiłem. — Chyba stracił sporo krwi. Być może już nigdy nie przyniesie do domu zdechłej myszki. — Uderzyłem w podłogę w udawanej złości. — Niech szlag trafi te dzieciaki i ich wojny gangów. Nie widzą, że marnują młode życie.

Ginny udała, że mnie policzkuje.

— Psiakrew, doktorze, wpada pan w histerię. Wie pan, że nigdy nie straciłam pacjenta? Nawet takiego z wąsikami. — Znów mnie spoliczkowała. Larry popatrzył na nas apatycznie, poruszył wąsami i położył się na grzbiecie.

— Tak, pani doktor, przepraszam. Muszę się wziąć w garść. Nigdy pani nie mówiłem, ale mój kot odszedł w taki sam sposób. Co za tragedia! Nie powinien...

Ginny zaczęła nagle głośno pikać.

— Co to, Hatstand?

— Pacjent ma wstrząs anafilaktyczny! Poproszę dwie łyżki O-rh minus, róbcie EKG, szczepionkę na tężec, CBC, Chem7, CBC, BBC i, BBC2, może nawet ITV — i przynieście to coś, co robi elektrowstrząsy, bo ten kot jest już jedną nogą w grobie.

— Ale pani doktor, nie powinniśmy go zaintubować? Albo wykonać nacięcie krtani między chrząstką pierścieniową a tarczową? Albo przeprowadzić chordotomię? Albo wręcz lobotomie?

— Cholera, Buttie! — wrzasnęła Ginny. Naprawdę wczuła się w rolę.
— Kto tu jest rezydentem? Pan czyja, psiakrew?

Larry był zmęczony dwójką ludzi wykrzykujących mu brednie nad głową: wstał, przeciągnął się i pomaszerował do kuchni.

— Wracaj, Larry! — Ginny pokładała się ze śmiechu.— Obiecuję, że cię wyleczymy.

—Niewdzięczny pacjent! — zawołałem za nim. Wszedłem na sofę. — Jestem wyczerpany. Komu się chce brać prawdziwe ostre dyżury? Komputery są łatwiejsze.

— Daj spokój komputerom — zaśmiała się. — Otwórzmy butelkę wina albo trzy, odprężmy się i pogadajmy.

SZEŚĆDZIESIĄT CZTERY

— Tęsknisz za nią, prawda? — spytała Ginny, wręczając mi pierwszy z kilku kieliszków wina.

— Za kim? — Udawałem, że nie rozumiem.

— Za Elaine.

Usiłowałem przypomnieć sobie naszą rozmowę, żeby ustalić, w którym miejscu przeszła od komputerów do Elaine.

— Już od dłuższego czasu chciałam z tobą o niej pogadać. Kiedy skończyliśmy „Ostry dyżur na żywo!”, wyglądałeś tak smutno, jakbyś o niej myślał — wyjaśniła. — Może wcale tego nie robiłeś. Może myślałeś o następnym odcinku *Ostrego dyżuru*.

Ginny miała rację. Myślałem o Elaine, ale tylko przelotnie. Myślałem o tym, jak podczas zabawy w „Ostry dyżur na żywo!” zawsze gadała o postaci, zwanej doktorem Salami, której nie grało żadne z nas. Był to trochę ordynarny, jednorazowy dowcip, nawet niezbyt śmieszny. Ale ten dowcip był tylko nasz i okropnie nas bawił.

— Masz rację — powiedziałem. — Tęsknię za nią... bardzo. Ale to takie głupie. Oprócz zabawy w „Ostry dyżur na żywo!” bawiliśmy się jeszcze w „Nazwij to warzywo”. Chowaliśmy warzywo pod ręcznikiem i zgadywaliśmy, co to jest.

— Uhm. — Ginny uniosła brwi. — To rzeczywiście bardzo dziwne zachowanie.

— Wiem — odparłem ze śmiechem. — Ale nie to jest najgłupsze. Najgłupsze jest to, że zawsze chowaliśmy ziemniaka.

— Powiesz mi, co z wami było nie tak? Od dawna chcę cię o to spytać, ale dopiero teraz, kiedy próbuję cię upić, jest to możliwe. Mówiłeś tylko, że nie wyszło. — Ginny się skrzywiła. — Nawet nie zdradziłeś, gdzie się poznaliście — a podobno jesteśmy przyjaciółmi.

— Na pewno chcesz o tym rozmawiać? — zapytałem. — Przecież to trochę ponure, prawda?

— Wcale nie — zaprzeczyła. — Rozmowy o związkach nie są ponure — to terapia.

— No dobrze. — Wypiłem trochę wina. — Siedzisz wygodnie? Zaczynam. Dawno, dawno temu był sobie przystojny i zamożny programista o imieniu Matt. Mieszkał w Londynie od pięciu lat, dobrze mu szło w pracy i chodził z urodziwą dziewczyną, Monicą Aspel, konsultantką do spraw zarządzania. Matt był bardzo dumny ze swego związku z Monicą, bo w wieku dwudziestu siedmiu lat był to pierwszy jego związek, w którym obie strony mówiły o sobie „mój chłopak”, „moja dziewczyna”, bez posługiwania się palcami w roli cudzysłowu. Pomyślał nawet, że tym razem pobije rekord długości związku. Niestety, przed ich pierwszą rocznicą popełnił błąd, wracając wcześniej do mieszkania na ostatnim piętrze domu w Muswell Hill, i odkrył, że jego ukochana konsultantka przyniosła do domu pracę i konsultuje ją gorączkowo ze swoim szefem w łóżku...

— O nie! — krzyknęła Ginny.

— Spokojnie, Mattowi nic się nie stało. Od razu się wyniósł i urządził sobie nowy dom na sofie kumpla z pracy. Właśnie wtedy Matt — dobra, dość tego. Właśnie wtedy usłyszałem o wolnym stanowisku dla kierownika grupy programistów w tej samej firmie, oczko wyżej, i, co najlepsze, w Nowym Jorku. Poszedłem na spotkanie w sprawie pracy, dostałem ją i poznałem szefów. Zanim zdążyłem się zorientować, miałem w ręku zieloną kartę i bilet linii Virgin Atlantic na JFK.

— Bardzo interesujące — oświadczyła.

— Owszem, chociaż początkowo czułem się trochę przytłoczony. Miałem tyle planów. Postanowiłem kupić fordę grantorino, jak Starsky i Hutch, i jeździć na długie wycieczki, zapisać się na siłownię i mieć bicepsy — miałem robić wszystko. A zamiast tego już w pierwszym tygodniu w Nowym Jorku, dwa dni po znalezieniu mieszkania, poszedłem na imprezę w Greenwich Village i właśnie tam poznałem Elaine. Dobrze się dogadywaliśmy. Chodziliśmy ze sobą dwa tygodnie, kiedy pokłóciła się ze swoimi współlokatorkami i chwilowo zamieszkała u mnie, szukając innego lokalu. Już nigdy się nie wprowadziła.

— Kto się w pośpiechu znacznym wprowadza, ten sam sobie sen na sofie gotuje — wymyśliła na poczekaniu Ginny.

— Mniej więcej — przyznałem. — Przez jakiś czas dobrze to funkcjonowało, wzięwszy pod uwagę moje inne związki, ale nagle coś wysiadło. Nie pokłóciliśmy się. Zawsze bardzo, bardzo dobrze nam się układało. Byliśmy — właściwie jesteśmy — dobrymi przyjaciółmi. Mam laptop i piszę do niej e-maile niemal co drugi dzień. Mogłem z nią rozmawiać o wszystkim, ale w pewnym momencie musiałem zadać sobie to ważne pytanie. Czy widzę się u boku tej kobiety za pięć lat od dzisiaj? Odpowiedź zawsze brzmiała nie, a gdybyś zapytała o to Elaine, brzmiałaby identycznie. — Popatrzyłem na Ginny, niepewny, czy dalej się zwierzać. — Kiedy się rozsta-

liśmy, wszystko było dobrze. Żadne z nas nie robiło z tego sprawy. Skończyło się, oboje byliśmy zadowoleni i wtedy...

— Co?

— W ostatniej chwili zmieniłem zdanie.

— Ale to chyba dobrze, prawda?

— Nie — odparłem. — Źle. Było dobrze wtedy, kiedy oboje chcieliśmy się rozstać. Kiedy jedno chce, a drugie nie chce, jest żal.

— Dlaczego zmieniłeś zdanie?

Znowu popatrzyłem na Ginny, zastanawiając się, czy naprawdę mogę jej zaufać.

— Trzydziestka — wyznałem. — Wiem, że to żal. Wiem, że to urodziny jak każde inne. W tamtym momencie myślałem jednak tylko o tym, że jestem zmęczony tymi wyprowadzkami. Jestem zmęczony poznawaniem nowych ludzi, przekonywaniem ich do siebie, byciem z nimi tylko po to, żeby uświadomić sobie, że znów zmarnowałem czas. Nie wiem, chyba czułem, że to moja ostatnia szansa. To niezbyt rozwojowy sposób widzenia świata, aleja też nie jestem rozwojowy. Ginny pokiwała głową, jakby się nad czymś zastanawiając.

— Brakowało wam tego.

— Czego?

— Tobie i Elaine brakowało tego. Tego, co powinno się czuć w związku z osobą, w której jesteś zakochany — błyskawicy, pioruna, jak zwał tak

zwał. To coś, co sprawia, że myślisz, że nie wytrzymasz nawet jednej sekundy bez tej osoby.

— Pewnie masz rację. Może kiedyś to było, tylko sobie tego nie uświadamialiśmy. A potem chyba faktycznie nam tego zabrakło. — Umilkłem na chwilę. — A jak jest z tobą i Ianem?

— Co? Czy mam to coś z Ianem? Nie wiem. Czasem myślę, że tak, a czasem, że nie mógłby być mi bardziej obcy. Wiem tylko, że jestem trochę podobna do ciebie. Myślę, że połowa rozczarowań w moim życiu bierze się z tego, że kiedy wyobrażałam sobie siebie w wieku trzydziestu lat, nie tak to miało wyglądać.

Wiedziałem dobrze, o co jej chodzi.

— A co sobie wyobrażałaś? — spytałem.

— Mając czternaście lat, sądziłam, że zostanę prawniczką, bo co czwartek oglądałam *Prawników z Miasta Aniołów*. Uznałam również, że wyspecjalizuję się w prawie karnym i będę broniła kobiet, które nie wiedzą, dokąd iść po pomoc. Miałam jeździć czarnym kabrioletem bmw, nosić okulary przeciwsłoneczne w roli opaski na włosy, niezależnie od pogody, i związać się z bystrym chłopakiem z kwadratową szczęką i muskularnymi udami. Mieliśmy się pobrać i dorobić dwójki dzieci — chłopca i dziewczynki. Przez pół tygodnia opiekowałabym się nimi, a przez resztę skazywała wstrętnych facetów. A teraz popatrz, jak to wygląda w rzeczywistości. Jestem trzydziestoletnią nauczycielką plastyki, w przyzwoitej szkole, mam chłopaka, który czasem jest cudowny, a czasem beznadziejny, i żadne z nas nie planuje zalegalizować tego związku. Mam własny dom, ale nawet nie potrafię go wytapetować. Dwa koty bez wątpienia zastępują mi dzieci, a były chłopak/niechłopak mieszka w moim wolnym pokoju. A do tego jestem sierotą. — Uśmiechnęła się ze smutkiem. — I jak to się ma do moich planów? Przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu.

— A ty, Matt? Jak miało wyglądać twoje życie?

— Jeśli chodzi o pracę, właściwie wszystko potoczyło się tak, jak myślałem. A co do partnerki... Kto wie? W młodości miałem słabość do Madonny. Podejrzewam, że jest zajęta.

— I do kogo jeszcze?

Myślałem bardzo długo nad tą odpowiedzią, aż w końcu oznajmiłem:

— Do ciebie.

TLR

SZEŚĆDZIESIĄT PIĘĆ

— Czy to dobry pomysł, Matt?

— Nie jesteś pewna?

— Nie, nie jestem — powiedziała.

— Czego nie jesteś pewna?

— Że ty. Że ja. Na tej sofie. Że twoja lewa ręka na moim swetrze. — Cofnąłem rękę. — Mam to przeliterować?

— Nie — westchnąłem. — Przeliterowanie tylko przedłuży tę bolesną chwilę. Musisz przebudzić swoje sumienie i zarazem otrzeźwić moje. Nie chcesz tego zrobić?

— A ty? — Ze wzburzeniem przejechała palcami przez włosy.

— Tak — odparłem bez przekonania.

— Całkiem pewny? Czy tylko pewny?

— Jestem pewny! Jestem pewny! Nie sądzę, żeby w historii ludzkości — choć raczej powinienem powiedzieć „męskości”—jakikolwiek mężczyzna był bardziej pewny tego, co chce zrobić.

Ginny wybuchnęła śmiechem i znów zaczęliśmy się całować, tylko po to, żeby po chwili to przerwała.

— Co znowu? — warknąłem.

— Bardzo miły ton w tym kontekście.

— Przepraszam. — Parsknąłem śmiechem.

— W porządku. Powiedzmy, że zrobimy to, co chcemy zrobić. Co będzie później? Chodzi mi o to — wiem, że to niepotrzebne wybieganie w przyszłość i nie ma nic wspólnego z namiętnością, ale nie chcę, żebyśmy... no wiesz.

Westchnąłem ciężko i skrzyżowałem ręce na piersi.

— Dobra, nie róbmy tego.

— Czekał — powiedziała, zaskoczona. — Nie śpiesz się. Po prostu zależy mi na naszej przyjaźni, i już. To chyba dobrze, prawda? — Pokiwałem głową. Miała rację. — A teraz przestań się bocyć i porozmawiajmy jak dorośli ludzie. Dobrze? Ustalmy, że nie będziemy nad tym wydziwiać.

— Załatwione. Coś jeszcze?
Zastanawiała się przez chwilę.

— Nie.

— I dobrze.

Znów zaczęliśmy się całować i znów to przerwała.

— A jeśli któreś z nas zmieni zdanie?

— Zamierzasz zmienić zdanie? — zapytałem. Tymczasem zmieniłem pozycję na sofie. Noga Ginny leżała obecnie na mojej, przez co moja cierpła.

— Niekoniecznie, ale ty możesz.

— Wierz mi, Ginny, bardzo wątpię, żebym zmienił zdanie.

— To załatwione?

— Absolutnie. Coś jeszcze?

— Nie.

— Na pewno?

— Dobra.

— Właściwie tak...

— Tak?

— Nic. Ignoruj mnie.

— Co?

— Nic. Naprawdę. No chodź. — Pocałowała mnie w szyję, w ramach zachęty, ale było za późno. Jej „nic” było „czymś” i mimo moich najszczer-
szych wysiłków sumienie nie pozwalało mi tego ciągnąć, skoro jakieś „nic”, czyli „coś”, wisiało w powietrzu.

— Co? — zapytałem.
Ginny zaśmiała się nerwowo.

— Przepraszam, Matt, naprawdę. Obiecuję, że to już ostatnia rzecz, dobrze? Po prostu chcę mieć pewność, że jeśli zrobimy to, co zamierzamy zrobić, to tylko raz. I nigdy więcej. To się nigdy nie powtórzy, ani w tym, ani w innym życiu.

— Dlaczego?

— Poza tym, że jestem związana z Ianem, a ty nie możesz zapomnieć o swojej byłej dziewczynie i wkrótce odlatujesz do Australii?

— No tak, poza tym — przytaknałem.

— Po pierwsze, może to doprowadzić do wielokrotnych powtórek, a w konsekwencji do kłopotu. Znasz inne określenie na wielokrotne powtórki?

— Koszmar?

— Bingo — oświadczyła. — Poza tym... nie mamy już siedemnastu lat.

— Za pewne czyny trzeba ponieść określone konsekwencje — dodałem.

— Właśnie. Może jednak powinniśmy dać sobie z tym spokój.

— Tak. — Ze smutkiem wyplątałem się z jej ramion. — Może i tak. — Westchnąłem i pocałowałem ją w policzek. — Nic się nie stało, prawda?

— Tylko się całowaliśmy — powiedziała Ginny.

— To było chwilowe szaleństwo.

— Nic nie znaczyło. To tylko... tęsknota za przeszłością.

— Wycieczka w dawne czasy.
Zapadło milczenie.

— I nie powinna się powtórzyć — dodałem ostrożnie.

— Nie. Masz absolutną rację. Nie powinna się powtórzyć. Nigdy.

TLR

SZEŚĆDZIESIĄT SZEŚĆ

Do: crazedelaine@hotmail.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Temat: Słuszna uwaga

Droga Elaine,

mam pytanie: co dostaniesz, kiedy weźmiesz jednego byłego chłopaka/niechłopaka/sublokatora i była. dziewczynę/niedziewczynę, dodasz parę butelek wina i umieścisz całość w niewielkiej przestrzeni? Tak... Niestety, moje życie jest do tego stopnia przewidywalne. Tak jak mówiłaś, zaczęliśmy się obmacywać, ale na szczęście przestaliśmy, zanim to zaszło za daleko. To zabawne, trochę z tego żartowaliśmy, ale szczerze mówiąc, źle się z tym czuję. Bo przecież ona ma chłopaka i zazwyczaj wydają się ze sobą szczęśliwi. Tym razem nie roztrząsaliśmy tego godzinami, wybraliśmy inną opcję — udawania, że do niczego nie doszło. Wiem, że to zabrzmiało jak usprawiedliwianie się, ale wymyśliłem sobie teorię, że to wszystko przez ciekawość przeszłości. Rozmawialiśmy o innych związkach i takich tam, i owszem, piliśmy, jednak chęć pocałowania jej w tamtym momencie nie tylko wynikała z pożądania czy namiętności, ile z myślenia typu: „zastanawiam się, jak by to było pocałować tę kobietę, której nie całowałem, odkąd skończyłem dwadzieścia cztery lata”. Nie wiem, czego się spodziewałem, ale nie było tak jak kiedyś. Mówiąc szczerze, bardziej przypominało to zajada-

nie depresji. Puree ziemniaczane z masłem; lodowate piwo i papieros; porządne angielskie śniadanie i filiżanka letniej herbaty.

Poetyckie, prawda? Tak czy owak, nie dość, że nie było to namiętne, to i tak odeszło w przeszłość, wróciliśmy do normalności i z tego się cieszę.

Napisz.

Uściski, Mattxxx

Do: mattb@c-tec.national.com

Od: crazedelaine@hotmail.com

Temat: Odp: słuszna uwaga

Drogi Matt,

słuchaj bardzo uważnie: A NIE MÓWIŁAM???? Nawet nie musiałam wykorzystywać swojej wyjątkowej kobiecej intuicji, żeby się domyślić. Przecież to było napisane czarno na białym we wszystkich Twoich e-mailach! Trzymaj się od niej z daleka. Wyjeżdżasz za miesiąc i sam mówiłeś, że jest szczęśliwa z tym Ianem. □ dziwo, rozumiem tę Twoją dziwną analogię do zajadania depresji. Sądzę, że gdybyś to Ty spał na Piekielnej Sofie zamiast Sary (która, przy okazji, okropnie mnie wkurza niezmywaniem naczyń), i gdybym wróciła po okropnym dniu pracy (takim jak dziś), pewnie chciałabym też takiej pociechy — coś pod ręką, znajomego i syjącego!!! Tymczasem pozostaje mi jedynie dwudniowa zimna pizza w lodówce.

Tylko spokojnie.

Buziaki, Elaine xxx

PS. Wiem, że to był błąd, Matt, ale poważnie myślę, że nie powinien się powtórzyć. Gdybym była na miejscu Iana i się dowiedziała, załamałoby mnie to. Znasz mnie. Uczciwość to podstawa.

TLR

SZEŚĆDZIESIĄT SIEDEM

Czwartek. Południe. Dokładnie trzecia po południu.

Zwróciłem uwagę na tę godzinę dlatego, że kiedy szedłem po ulicy do supermarketu, z Charlotte za rękę, przyszło mi do głowy, że jeszcze dwa miesiące temu o tej porze siedziałbym na zebraniu w sprawie strategii projektowej albo na rozmowie z klientem, albo na prezentacji propozycji dla klienta, albo na prezentacji projektu, albo na zebraniu w sprawie strategii zespołowej, albo na zebraniu w sprawie strategii zespołowo-programowej, przy czym różnica między dwoma ostatnimi była niewidoczna gołym okiem. A teraz szedłem do Safewaya w Birmingham, opiekując się czteroletnią córką przyjaciela, żeby zrobić tygodniowe zakupy dla mojej byłej dziewczyny/niedziewczyny, która teraz była moją gospodynią (poniekąd).

Życie jest dziwne.

Kiedy dotarliśmy do parkingu wózków, czy jak się tam nazywa miejsce, w którym stoją sklepowe wózki, Charlotte uparła się, że będzie jeździła w specjalnym wózku z miejscem dla dziecka, takim dla gospodyń domowych z volvo kombi. Chciałem odmówić, bo uważałem taki wózek za niemęski, ale Charlotte i ja już raz się tego dnia starliśmy (nie pozwoliłem jej rysować szminką matki) i nie widziałem powodu, dla którego znów miałbym wszczynać kłótnię, tylko dlatego, że nie chcę wyglądać jak baba. I tak, pchając wózek z rozpromienioną Charlotte u steru, minąłem drzwi automatyczne i przystąpiłem do gromadzenia zakupów z listy przygotowanej przez Ginny. Gdyby ktoś na mnie patrzył — - miałem nadzieję, że nie — z pew-

nością wyglądałbym w jego oczach jak wzorzec współczesnej męskości — dwudziestodwuletni mężczyzna z tamponami w wózku i czterolatka pod opieką. Fakt, że ani dziecko, ani tampony (ani nawet kobieta, dla której były przeznaczone) nie należą do mnie, tylko pogłębiał moją niepewność.

Nie trzeba dodawać, że wpadłem na kilku znajomych ze szkoły: na Adama Hellera (dawniej zapowiadał się na handlarza narkotyków; obecnie był wykwalifikowanym dentystą); na Lio-nela Ortona, którego siostra chodziła do mojej klasy (dawniej był ulubieńcem starszych chłopaków, którzy chcieli chodzić z jego siostrą, obecnie był bibliotekarzem na uniwersytecie); i na Faye Jones (dawniej zapowiadała się na fryzjerkę; obecnie była fryzjerką). Przy każdym spotkaniu, nawet jeśli nie pytali, czułem się w obowiązku wyjaśnić, że ani Charlotte, ani tampony nie są moją własnością, a oni patrzyli na mnie z niedowierzaniem, jakby chcieli powiedzieć: „Jasne, nabieraj kogoś innego”. Sam zadawałem sobie pytanie: „Czego się boję?” Że rozejdzie się pocztą pantoflową, że Matt Beckford to gośpoś? Taki jestem małostkowy? I kiedy moja podświadomość odpowiedziała mi: „Tak! Taki jesteś małostkowy!”, wpadłem na Iana, który stał w alejce z alkoholem, oglądając etykietkę na czerwonym winie.

— Cześć! — wrzasnąłem. — Jak się masz, stary?

— Matt — powiedział z roztargnieniem.

— Myślałem, że taki facet jak ty woli sportowe modele. — Wskazałem na jego wielki wózek.

— Co? — Chyba mnie nie zrozumiał.

— No wiesz, mniejsze, bardziej stylowe wózki w sklepie. Dla modnych, samotnie mieszkających mężczyzn. Żeby zmieściły się dwie paczki makaronu, sos pesto i „Guardian”.

Zaśmiał się nerwowo i rozejrzał.

— Aha. Rozumiem.

Popatrzyłem ukradkiem na zawartość jego wózka. Wewnętrzne dziecko Iana musiało być nieprawdopodobnie głodne, bo zauważyłem osiem paczek chipsów cebulowych, trzy paczki czekoladowych płatków i dużą butelkę lemoniady wśród zwykłego zapasu owoców i warzyw. Pomyślałem, że może mu odpuszczę — nie ma nic bardziej żenującego niż ludzie paplający o cudzych zakupach — ale nie mogłem.

— Bardzo pożywne — skomentowałem, pokazując na wózek. — Nie jadłem chipsów cebulowych od lat. Gershwin wsuwał to na lekcjach. W chwili, gdy je otwierał, cała sala śmierdziała.

— Eee... tak — wymamrotał. — Ja... eee...

Nie miał okazji dokończyć zdania, bo przerwała mu młoda kobieta z dwiema butelkami białego wina.

— Jak myślisz? Węgierskie, to, co ostatnio, czy włoskie, przecenione o pięćdziesiąt pensów?

— Wszystko jedno — odparł głucho.
Westchnęła ciężko.

— Wiedziałam, że to powiesz. — Popatrzyła na mnie, na niego i nagle wydała się bardzo zakłopotana. — Przepraszam, Ian, przerwałam ci rozmowę.

— Eee... tak — powiedział Ian.
Pomachała do mnie.

— Witaj — oznajmiła radośnie. — Chyba się nie znamy, prawda?

— Cześć. — Marzyłem, żeby w King's Heath był inny supermarket, mniej popularny wśród znanych mi osób. Potrząsnąłem jej dłonią. — Jestem Matt Beckford.

— A ja Susanna, druga połowa Iana.

Ian popatrzył na mnie ze skruchą, jak mały chłopiec przyłapany przez rodziców na gorącym uczynku. Na jego twarzy pojawiła się panika, ale szybko zrobił normalną minę, kiedy Susanna spojrzała na niego pytająco.

— Matt to kolega znajomej z jednej ze szkół, w których pracowałem — wyjaśnił. — Poznaliśmy się jakiś czas temu, kiedy poszedłem na drinka po pracy.

— A tak — zauważyłem z roztargnieniem. — W pubie po pracy...

Nie skończyłem, gdyż czekała mnie nowa niespodzianka.

— Tatusiu! — wrzasnęło małe dziecko, trzymające za rękę starszą kobietę. — Jammy Dodgers czy ciastka czekoladowe?

— Nie! — krzyknął Ian. — Przecież nie chcemy, żeby ci zęby wypadły, prawda? Odłóż to na miejsce, jak grzeczny chłopczyk.

— Właśnie wpadliśmy na znajomego Iana — powiedziała Susanna do starszej kobiety, która zapewne była jej matką. — To Matt Beckford.

— Witam — przywitała się starsza pani. — Nie mogę się zatrzymać. Muszę złapać trzyletniego wnuka, który marzy o ciastkach.

Susanna wzięła na siebie prowadzenie rozmowy.

— Jestem pewna, że nie wspomniałeś mi o Macie — powiedziała, po czym zasłoniła dłonią usta i wyszeptała do mnie scenicznym szeptem: — Nigdy mi nic nie mówi. O wszystkim dowiaduję się ostatnia. Co to za problem z mężczyznami, że zupełnie nie potrafią się porozumiewać?

Wybuchnąłem śmiechem, trochę zbyt głośnym, bo byłem okropnie zdeenerwowany i nie wiedziałem, co robić. Ryczałem tak długo, że Ian musiał się przyłączyć, abym nie wyszedł na idiotę. Susanna tylko stała, spoglądając na nas obu, zdając sobie doskonale sprawę, że jej żart nie był aż tak zabawny.

— Czy to twoja córeczka? — Uśmiechnęła się do Charlotte. — Witaj, skarbie.

Charlotte popatrzyła na nią tępo, przygryzła wargę i spojrzała na mnie.

— Jest bardzo spokojna — wyjaśniłem. — Ale nie, nie jest moja, te tampony też nie.

— Tampony? — zapytała Susanna.
Cholera. Nie zauważyła.

— Oto prawdziwy mężczyzna — powiedziała. — Kupuje tampony dla swojej kobiety, Ian dostałby ataku serca, gdybym go o to poprosiła.

— Nie należą do mojej partnerki — zacząłem wyjaśniać, ale zabrzmiało to jeszcze gorzej, zupełnie jakbym chciał powiedzieć, że są moje. — To dla Ginny, mojej współlokatorki.

— Tej Ginny, z którą pracował Ian?

Język niemal stanął mi kołkiem.

— Eee... tak.

— Nie wiedziałam, że to ta znajoma, Ian, powinienesz był mi powiedzieć. Ginny jest kochana. Spotkałyśmy się kilka razy, kiedy Ian pracował w szkole King's Heath. Była naprawdę sympatyczna. To takie smutne, że jej mama umarła. Pamiętam, Ian mi mówił. Była bardzo rozbita.

— Wiem — odparłem.

— No cóż — powiedziała weselszym tonem. — Musicie kiedyś wpaść do nas na kolację. Bardzo chętnie znowu się z nią spotkam.

— Uhm — wymamrotałem. — Byłoby cudownie, ale ona ma teraz mnóstwo pracy, więc...

— Wiem, jak to jest. Tak czy siak, powiedz jej, żeby zadzwoniła do Iana, kiedy znajdzie chwilkę.

— Dobrze. — Popatrzyłem na zegarek. — Już tak późno? Naprawdę muszę lecieć.

— Jasne — przytaknął Ian. — Miło było cię spotkać, Matt.

— No tak, i ciebie. — Zatrzymałem się i popatrzyłem na Susannę. — I ciebie również. — Uśmiechnąłem się do niej. — Do zobaczenia.

— Zadzwoń koniecznie — powiedziała Susanna.

— Jasne — odparłem zachwycony, że to szaleństwo dobiega końca. — Powiem Ginny, żeby do was zadzwoniła. — A potem zrobiłem ten kretyński, międzynarodowy znak, wyciągając kciuk i mały palec, co oznacza: „Zadzwonię, a nie tylko tak gadam”, i odszedłem.

SZEŚĆDZIESIĄT OSIEM

Było wpół do szóstej, kiedy po odprowadzeniu Charlotte do domu wróciłem do Ginny. Zawołałem ją już w chwili, gdy wszedłem, postanowiłem jej powiedzieć. Znając ją tak dobrze, czułem, że się załamie i zapewne zastrzeli posłańca, a następnie będzie miotała przekleństwa nad jego zwłokami. Nie miałem jednak wyjścia. Nie mógłbym tego kryć, bo nie ma nic gorszego niż szok spowodowany taką informacją i jednocześnie świadomością, że wszyscy twoi przyjaciele wiedzieli.

Naprawdę zatęskniłem za Elaine — dobrze sobie radziła ze skrajnymi emocjami ludzi. Czułem, że palnę coś niewłaściwego, co jeszcze bardziej przygnębi Ginny. Nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Jak się postępuje w takiej sytuacji? Czy miałem ją zapytać, jak minął dzień, i wtrącić od niechcienia: „Och, przy okazji, twój chłopak ma żonę i dzieci”. A może powinienem wybrać opcję z telenoweli: wręczyć jej mocnego drinka i nalegać, żeby usiadła, zanim jej powiem? Była też opcja dobra wiadomość — zła wiadomość. „Najpierw dobra wiadomość: wkrótce wypłata, nie? A teraz zła wiadomość: twój chłopak to kłamliwy palant”.

Nie będzie łatwo.

Nigdzie nie zauważyłem Ginny, ale słyszałem muzykę z jej wieży na górze i plusk lejącej się wody w łazience. Słuchała *III symfonii* Mahlera, nastawiła niewiarygodnie głośno. To, w połączeniu z wczesną kąpielą, oznaczało, że usiłuje zniwelować skutki kiepskiego dnia w pracy.

— Halo?! — wrzasnałem, usiłując przekrzyczeć muzykę. — Ginny!

TLR

— Jestem w wannie — usłyszałem stłumiony głos zza drzwi łazienki.
— Daj mi spokój, dopóki znów nie stanę się człowiekiem.

— Chodzi o to, że... — Usiłowałem coś wymyślić.— Chciałem się upewnić, że nic ci nie jest.

— Wszystko w porządku! — odwrzasnęła. — Okropny, długi, męczący dzień. Potem ci opowiem.

Zostawiłem ją i zaniósłem torby do kuchni. Kiedy po raz drugi chodziłem po salonie, przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić automatyczną sekretarkę na wypadek, gdyby dzwonił Ian. No jasne, była wiadomość — wzburzonym głosem prosił, żeby Ginny natychmiast zadzwoniła na jego komórkę. Najwyraźniej chciał przedstawić swoją wersję, zanim ja zaprezentuję swoją. Wykasowałem wiadomość, odstawiłem zakupy, zaparzyłem dwa kubki herbaty i pobiegłem na górę. Ginny wyszła już z wanny, teraz była w sypialni, susząc włosy.

Zapukałem.

— Jesteś przyzwoicie ubrana?

— Jak zawsze — odparła. — Wchodź.

Popchnąłem ramieniem drzwi. Ginny siedziała na brzegu łóżka w szlafroku, z suszarką w ręku.

— Czym mogę służyć, proszę pana?

— Herbata dla jaśnie pani — powiedziałem. — Bez cukru. Bez mleka. Nie za mocna. Nie za słaba.

— Czyli taka, jak lubię — mruknęła, po czym zrobiła zdziwioną minę.
— Jaki masz w tym cel?

— Żadnego — odparłem. — To tylko herbata. — Urwałem.— Może to nagroda za to, że jesteś taką miłą gospodynią.

Ginny zmrużyła oczy.

— Chcesz pożyczyć pieniądze, co?

— Nie — zaprzeczyłem. — Ale jeśli chcesz trochę rozdać, chętnie wezmę. Nie, po prostu myślałem, że to miło, kiedy ktoś robi coś takiego. Mogę przestać, jeśli chcesz, i być żalospną marudą, jak moja szanowna rozmówczyni.

— Nie, podoba mi się ten troskliwy Matt. — Roześmiała się. — Na długo zostanie?

— Nie wiem. Nie mam pojęcia, jakie są z tego korzyści.
Upiłem trochę herbaty.

— Nie rozumiem, jak Elaine mogła wypuścić cię z rąk.

— Dzwonił telefon, kiedy byłeś w wannie?

— Nie. — Wytarła czoło ręcznikiem. Zamilkła i zmarszczyła czoło. — Chociaż właściwie tak. Byłam tak zmęczona, że nie mogłam podejść i odebrać. Czy to coś ważnego?

— Nie — skłamałem. Interesowało mnie, czy rozmawiała z Ianem. — To tylko wiadomość dla mnie. Od rodziców. Zastanawiałem się, o której dzwonili. Nikt inny nie telefonował?

— Nic o tym nie wiem — oznajmiła. — Dobra, dość o wiadomościach telefonicznych. Spytaj, jak dziś było.

— Jak dziś było?

— Okropnie. Wszystko, co mogło się nie udać, nie udało się. — Westchnęła ciężko. — Myślę o ucieczce.

— Dokąd?

— Gdzieś, gdzie życie jest łatwiejsze.

— Może w jakieś miejsce z plażą?

— Zdecydowanie tak. Na wyspę na Morzu Karaibskim. Mogłabym przez cały dzień siedzieć na plaży i uczyć plastyki miejscowe dzieciaki.

— Robilibyście kolaże z muszelek i wodorostów — zasugerowałem.

— Doskonale. — Uśmiechnęła się. — To mi się podoba. Pojedziesz ze mną?

— Na twoją wyspę? A po co?

Ginny wybuchnęła śmiechem.

— Nawet w rajy przydają się kumple.

— Czy to oznacza, że zabierzemy ze sobą Gershwiną?

— Nie wypadaloby go zostawiac.

Zaśmialiśmy się oboje i zapadło milczenie. Wiedziałem, że powinienem jej powiedzieć. Nie zrobiłem tego jednak. Nie mogłem.

— Co robisz wieczorem? — spytałem.

— Ian jest zajęty, jak zawsze. A ty?

— Nic specjalnego.

Popatrzyła na mnie z zadumą.

— Znowu masz ochotę na powrót do Ameryki, co? Widać.

Zrobiłem dziwną minę, sugerując, że to ciągle drażliwy temat.

— Jesteś głodna? — zapytałem.

— Czyżbyś proponował, że coś ugotujesz?

— Może — odparłem. — A na co masz ochotę?

— Na zajedenie smutków.

— Chcesz zajeść smutki? — zapytałem.

Wydawała się zdziwiona.

— To nie jest taka dziwna prośba, Mart. Mam ochotę na jakieś rzeczy z ziemniaka, jak mrożone frytki, smażone ziemniaki w plasterkach albo puree, fasolkę i smażone jajo. Z odrobiną keczupu.

— I już?

— Potrzebuję też kogoś, kto będzie ze mną siedział przed telewizorem przez resztę wieczoru, żebym nie czuła się taka osamotniona w swoim frajerstwie.

— No dobra — odparłem z ulgą. — Zrobię ci twoje ziemniaki, fasolkę i smażone jajo.

— A ten ktoś przed telewizorem?

— Nadam się?

— Z pewnością.

— Pogramy potem w „Ostry dyżur na żywo!”?

— Jasne.

TLR

SZEŚĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

Było wpół do dwunastej w nocy. Ginny i ja zjedliśmy ciężkostrawną kolację. Obejrzeliśmy kupę chłamu w telewizji. Bawiliśmy się w „Ostry dyżur na żywo!” Nadal nie zdołałem jej powiedzieć. Dopiero kiedy ziewnęła i oznajmiła: „Dobra, idę spać”, postanowiłem przemówić.

— Po południu spotkałem Iana w Safewayu.

— Wszystkich tam spotykasz — zauważyła. — Przywitałeś się?

— Był z kobietą.

Nastąpiła ledwie zauważalna pauza, po czym Ginny oprzytomniała.

— Nie mów mi, że ma własną supermarketowa wielbicielekę— zaśmiała się. Było już jednak za późno. Mimo że ta pauza trwała ułamek sekundy, nagle wszystko zaczęło do siebie pasować.

— Wiedziałaś, prawda?

— O lanie w supermarkecie? — zablefowała.
Popatrzyłem jej w oczy i już wiedziałem, że mam rację.

— Wiedziałaś, że jest żonaty, prawda?

— Zawsze Wiedziałam — odparła, po czym przygryzła wargę, a w jej oczach pojawiły się łzy.

Objąłem ją i mocno przytuliłem. Żadne z nas nie powiedziało ani słowa, dopóki jej płacz nie ustał. Kiedy się uspokoiła, wstałem i przyniosłem z przedpokoju nasze okrycia.

— Idziemy — oświadczyłem, podając jej dzinsową kurtkę.

— Dokąd?

Uśmiechnąłem się, chwyciłem ją za rękę i cmoknąłem w czubek głowy.

— Uciekamy.

TLR

SIEDEMDZIESIĄT

— Parki dziwnie wyglądają w nocy — powiedziała Ginny — ale w dobrym znaczeniu tego słowa.

— Wiem, co masz na myśli — przytaknąłem. — Cała przestrzeń tylko dla nas.

Jak zdalnie sterowani, przeszliśmy z domu Ginny do parku w King's Heath, który nawet po północy wyglądał przyjaźnie. Już na miejscu Ginny zaproponowała:

— Chodźmy na naszą ławkę.

Uznałem, że to dobry pomysł. Ławka była z drewna, stała obok fontanny na środku parku. Jako zmęczone egzaminami nastolatki zbieraliśmy się tu w chwilach wolnych od wkuwania. Trudno mi było uwierzyć, że ławka wciąż tu jest. Założyłbym się o każde pieniądze, że wandalę już dawno zrobili z nią porządek, ale chociaż sporo przeszła przez uczniów uzbrojonych w markery i noże, nie ucierpiała zbyt mocno.

— Powiesz mi, jak do tego doszło? — zapytałem po kilku chwilach. — Nie musisz mówić, jeśli nie chcesz. Możemy sobie posiedzieć. Ale jeśli będziesz chciała pogadać, to cię wysłucham.

Długo milczała. Przez cały czas chodziliśmy, ja myślałem o sytuacji Ginny i o tym, jak to musiało na nią wpłynąć. Było dla mnie jasne, że zapewne ukrywała rozpacz od początku romansu z Ianem.

— Jest tak, jak mówię — odparła drętwo. — To wszystko moja wina.

— Jak to? — zapytałem.

— Taka jestem. Mam przyjaciółki, które na widok przystojniaka mówią: „Chętnie skorzystam”. Zawsze czuję się dziwnie w ich towarzystwie, bo mógłbyś położyć przede mną gołego, nasmarowanego oliwą striptizera i, szczerze mówiąc, najbardziej by mnie interesowało, czy dobrze parzy herbatę. To moja wina, taka już jestem. Obcy mężczyźni nie są dla mnie atrakcyjni. Ani trochę. Nic dla mnie nie znaczą. Jeśli nie znam człowieka, nie jestem zainteresowana. — Urwała i popatrzyła na mnie. Ja też na nią zerknąłem, po czym szybko odwróciłem wzrok. — Od dłuższego czasu byłam sama. Chyba zmęczyło mnie tracenie energii na związki, które od początku do niczego nie prowadziły. Wobec tego skoncentrowałam się na przyjaciółkach, pracy, mamie...

— I?

Znów na mnie popatrzyła.

— I wtedy Ian zaczął przychodzić na zastępstwa do King's Heath.

— Uczył geografii?

— Przecież wiesz. — Uśmiechnęła się półgębkiem, jakby chciała dać mi do zrozumienia, że słyszy mój kpiący ton. — Początkowo nie mogłam go ścierpieć. Rozmawiałam z nim i czułam się tak, jakby grał ze mną w jakieś gierki. Nie potrafię tego wyjaśnić. Nie wiem, czy powodowała nim ciekawość, czy upór, ale coraz bardziej mu się podobałam i zaczęliśmy

chodząc na drinki po pracy. Potem połączyła nas prawdziwa przyjaźń — mocna przyjaźń. Taka, która przetrwała jego przenosiny do innej szkoły. Kiedy mama zmarła, okazał się świetnym przyjacielem. Miałam problem, a on zawsze był we właściwej chwili i bardzo mi pomagał. W pewnym sensie stał się niezbędny — wypełnił wszystkie luki w moim życiu. Do niczego jeszcze nie doszło, ale wiedziałam, że zaczynam się w nim zakochiwać. I wtedy, pewnego letniego wieczoru, siedzieliśmy u mnie w ogrodzie, słońce zachodziło i właśnie wówczas zrozumiałam, że to ten — i tyle.

— Kiedy się dowiedziałaś, że jest żonaty?
Jej głos ucichł, spokorniał.

— Tego samego wieczoru. Wiem, że to zabrzmiało żałośnie, ale powiedział mi to po pierwszym pocałunku.

— I?

— Było już za późno.

— Jak to za późno?

— Zakochałam się — odparła niepewnie.
Objąłem ją ramieniem.

— Wszystko w porządku. — Przytuliłem ją mocno. — Wszystko w porządku.

— Wcale nie jest w porządku. — Znów zaczęła szlochać. — Wcale nie jest w porządku. Wiem, że mówię tak, jakby mi wszystko wisiało, ale tak nie jest. Nie umiem ci powiedzieć, jak to boli. Próbowałam to skończyć milion razy, ale nie potrafiłam. Kocham go. To takie głupie. Takie bezsensowne. — Umilkła i tym razem naprawdę się rozryczała. — Nie cierpię tak się czuć. Jak zwykła suka, a nią nie jestem. Nie jestem. Nie robię takich

rzeczy. Wtedy, na urodzinach Gershwina, przedstawiłam go jako mojego chłopaka, bo sądziłam, że nigdy więcej się już nie spotkamy. Nie chcę, żeby ludzie tak o mnie myśleli. Nie chcę, żebyś ty tak o mnie myślał.

— W porządku — powiedziałem. — Wcale tak o tobie nie myślę, słowo.

— Czemu ja to robię? Przecież on ma dziecko, synka.

— Rozumiem, że jego żona — Susanna — nic nie wie?
Pokręciła przecząco głową.

— Nie. Poznałam ją, co jeszcze pogarsza sprawę, Ian mówił jej, że pracuje ze mną nad projektem dla szkoły, i miał pretekst do naszych spotkań. Pewnego dnia zaproponowała, żeby zaprosił mnie na kolację. Nie mogłam odmówić, nie wzbudzając podejrzeń. To było okropne, jedno z najgorszych przeżyć w moim życiu.

— Co Ian jej mówi, kiedy wychodzi na spotkania z tobą?

— Że jest z kumplami, gra w piłkę, pracuje nad doktoratem w bibliotece. Wymień cokolwiek — na pewno już to wykorzystał.

— Zostawi ją?

— Nie. To było jasne od samego początku. Mówi, że na swój sposób ją kocha, no i kocha synka, Jake'a, bardziej niż kogokolwiek na świecie. Nie spieprzy tego dla mnie, niezależnie od swojej miłości.

— A kocha cię? — Nie chciałem zadawać tego pytania, ale musiałem mieć pewność.

— Tak, kocha mnie — przytaknęła. — Kiedy próbowałam to skończyć, płakał i prosił, żebym go nie opuszczała. — Zamilkła. — Dziwne, ale dopiero w zeszłym tygodniu wyznałam mu, że właściwie jesteśmy jakby eks, i bardzo mnie zaskoczył. Był zazdrosny o wydarzenia sprzed wielu lat.

Gadaliśmy tak jeszcze, przez kwadrans. Ja niewiele mówiłam, czasem wtrącałam jakąś uwagę, ale w pewnej chwili Ginny uświadomiła sobie, że milczę, bo zadała mi to jedno jedyne pytanie, na które naprawdę nie miałem ochoty odpowiadać:

— Jak sądzisz, co powinnam zrobić?

Kiedy przyjaciele zadają to pytanie, nigdy nie chcą, żebyś powiedział im, co twoim zdaniem powinni zrobić, ale żebyś potwierdził, że podjęli słuszną decyzję. To oczywiste. Ja też tak postępuję. Ale jeśli związek z Elaine cokolwiek mnie nauczył, to właśnie tego: to, co chcesz usłyszeć, jest rzadko, jeśli w ogóle, dobre dla ciebie. Dlatego kiedy zadawałem to pytanie Elaine, zawsze udzielała mi szczerzej odpowiedzi, nawet jeśli to bolało. Właśnie tę cechę podziwiałem w niej najbardziej.

— Wiesz, że musisz przestać się z nim spotykać, prawda?
— zapytałem.

— To nie takie proste — westchnęła.

— Wiem. Nic nie jest proste.

Nagle na mojej twarzy pojawił się szeroki uśmiech, gdyż przyszła mi do głowy pewna myśl.

— Co?

— Pomyślisz, że zwariowałem.

— Nie pierwszy raz.

— No dobra — zacząłem. — Właśnie pomyślałem sobie, że gdzieś między osiemnastym a trzydziestym rokiem życia wkraczasz w wiek telenoweli.

— Bredzisz, Matt — oznajmiła. — Nic nie rozumiem.

— Życie staje się telenowelą, niekończącą się serią komplikacji i niewiarygodnych scenariuszy. Sama rozumiesz: w młodości wszystko jest takie oczywiste. Twój świat jest wolny od wzlotów i upadków, właściwie sama musisz wymyślać sobie powody do zmartwienia. Dlatego nastolatki są takie humorzaste — to nie ma nic wspólnego z hormonami, za to wszystko wynika z tego, że w ich życiu nic się nie dzieje. Myślę o sobie, tobie i Gershwinie w tamtych czasach i wiem, że życie było proste. A teraz, lata później — tylko na nas popatrz. Gershwin ma żonę, dzieciaka i się nudzi, ty masz romans z żonatym, a ja próbuję zapomnieć o byłej dziewczynie w Stanach. Właśnie to rozumiem przez granie w telenoweli.

— Mam przyjaciela w Brighton, który nie wie, że jego dziewczyna sypia z jego najlepszym kumplem — powiedziała Ginny.

— Rozumiesz, co chcę powiedzieć? — spytałem. — To mógłby być scenariusz zarówno do *Mody na sukces*, jak i *Brookside*. Zastanawiałem się przez chwilę. — A co ty na to? Zanim wyjechałem z Nowego Jorku, okazało się, że przyjaciele Elaine nigdy nie będą mogli mieć dziecka, nawet w wyniku zabiegu In vitro.

— W zeszłym tygodniu widziałam coś podobnego w *Home and Away*. — Ginny najwyraźniej się ożywiła. — Powiem ci coś jeszcze. Moja przyjaciółka z Keele dowiedziała się w zeszłym roku, że jej mama dwadzieścia osiem lat temu miała romans i jej tata nie jest jej biologicznym ojcem.

— Klasyczny odcinek *Dallas* — oznajmiłem, a Ginny wybuchnęła śmiechem i przez chwilę była taka jak zawsze. — Rozumiesz, co chcę powiedzieć? To wszystko wątki z telenowel: bezdzietne pary, zdrada przyjaciela, nie ten tatuś. I to wszystko przydarza się zwykłym ludziom. Powiedz mi, jak do tego doszło?

— Nie chcę, żeby moje życie przypominało *EastEnders* — szepnęła Ginny. — Chcę, żeby wszystko było normalne. Chcę być normalna. — Przysunęła się bliżej.

— Ja też. — Znowu ją objąłem. — Może powinniśmy dostawać lepsze scenariusze.

Pół godziny później byliśmy już w domu, przygotowując się do snu.

— Nic ci nie będzie? — spytałem, gdy Ginny w szlafroku wyłoniła się z łazienki.

— Dam sobie radę — odparła, po czym pochyliła się, żeby mnie pocałować. Jej oddech pachniał pastą do zębów. — Dzięki, że się mną zająłeś.

— Śpij dobrze. Do zobaczenia rano.

Ginny była w połowie drogi do sypialni, kiedy przystanąła i się odwróciła.

— Matt?

— Co?

— Nic.

— Co? — powtórzyłem.

— Nic.

— Będiesz tak stała przez całą noc?

Uśmiechnęła się do mnie.

— Naprawdę nic. Zaraz zacznę bredzić, to zabrzmiałoby jak nonsensy w stylu New Age, ale wierzę, że pewne rzeczy nie dzieją się bez powodu. Myślę, że nie bez przyczyny wróciłeś do domu. Myślę, że ty, ja i Gershwin spotkaliśmy się, żeby sobie pomagać. Naprawdę. Wiem, że chwilowo przyszłość rysuje się pesymistycznie, ale wierzę, że będzie dobrze, bo... No cóż, kiedy masz przyjaciół, którzy cię wspierają, wszystko jest możliwe.

TLR

SIEDEMDZIESIĄT JEDEN

Do: crazedelaine@hotmail.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Temat: Życie, co?

Droga Elaine,

robi się tu coraz dziwniej. Wczoraj wieczorem odkryłem, że idealny chłopak Ginny jest żonaty. I ma dzieci. Ginny nikomu o tym nie powiedziała. Wpadłem przypadkiem na niego i jego żonę. Pogadałem z Ginny i wiem, że tak naprawdę chciałaby skończyć ten związek. Powiedziała nawet, że pogodziła się z tym, że on nigdy nie zostawi żony. Wie, że to nie ma przyszłości. Prawie go nie widuje, ale nie chce, czy też raczej nie może, odpuścić. Nie zamierzam przemawiać z wyżyn własnej moralności (ani nawet z równi, i mam nadzieję, że nieznizin), ale to naprawdę złe. A może zrobił się ze mnie stary pierdziel? Najgorsze, że jemu z tym dobrze. On dostaje wszystko, tymczasem Ginny nic z tego nie ma. Zastanawiam się, czy nie iść z nim na „męską” rozmowę, ale Ian to spory facet, marnie oceniam swoje szanse. Doszedłem jednak do wniosku, że gdybym był w mafii, wydałbym na niego wyrok i kazałbym komuś — mówiąc językiem gangsterów — „wpakować go w betonowe buty”. To sprawiedliwe. Chyba obejrzę sobie *Ojca chrzestnego II*, jestem w nastroju. Daj znać, co tam w Nowym Jorku, kumpelo.

Uściski,

Matt xxx

Do: mattb@c-tec.national.com

Od: crazedelaine@hotmail.com

Temat: Świat jest pełen żonatych!!!

Drogi Matt,

przykro mi z powodu kłopotów, w które wpędziła się Ginny. Pamiętasz Melisę, moją koleżankę z college'u? Zawsze mówiłaś, że jest w niej coś dziwnego. Ja twierdziłam, że to przez te za mocno wyskubane brwi, a Ty potakiwałeś, że dlatego wygląda na zaskoczoną. Widywała się z takim jedynym Dannym, też był żonaty. Złamał jej serce, normalka. Potem znowu miała podobny romans i ten także źle się skończył. W końcu jej mama zapłaciła terapeutce, bo uznała, że ta tańsze od rozmów międzymiastowych, które musi przeprowadzać za każdym razem, gdy Melissa cierpi. Tak czy siak, sprowadzając wszystko do chwytliwego hasła, terapeuta wyjaśnił jej, że jest uzależniona od chorych związków. Kiedy mi to powtórzyła, przytaknęłam, bo w college'u jak magnes przyciągała wszystkich okolicznych frajerów, choć wiedziała, że będzie cierpieć. Rozmawiałam z nią w zeszłym tygodniu. Mieszka z facetem, który już dwa razy ją zdradził, wybaczyła mu. Nie twierdzę, że to jej wina. Smutne. A co do pogodniejszych spraw — pewnie się ucieszysz na wieść, że wytatuowałam sobie na dupie japoński znak skończonej miłości. Nie pytaj dlaczego, bo nie umiem odpowiedzieć. Wydawało mi się to potrzebne.

Nie przejmuj się,

Elaine xxx

PS. Co do Twojej przyjaciółki — wiem, że chcesz wszystko naprawić, bo jesteś takim facetem. Nie uda Ci się. Po prostu ją wspieraj. Jeśli jest choć w połowie tak wspaniała, jak twierdzisz, sama da sobie radę.

TLR

SIEDEMDZIESIĄT DWA

Do: crazedelaine@hotmail.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Temat: Wytatuowane panie

Droga Elaine,

czasem mnie przerażasz. Zakładam, że masz najbardziej roztrzepany umysł na tej planecie i nagle wyskakujesz z takimi perełkami jak Oprah Winfrey. Ginny twierdzi, że kiedy kumple Cię wspierają, wszystko jest możliwe. Pewnie nieco przesadza — nie muszę dodawać, że Ian nie zniknął ze sceny — ale ma rację, zakładając, że do pewnego stopnia przyjaciele mają wpływ na człowieka. Czas spędzony tu z Ginny i Gershwinem był najlepszym okresem w moim życiu. To nie ma służyć jako oskarżenie przeciwko Tobie — usiłuję dać Ci do zrozumienia, że ci ludzie to moja historia. Wobec tego pójdę za Twoją radą — niczego nie będę naprawiał! Ale przygotowuję niespodziankę dla Ginny. Dam jej do zrozumienia, że... no tak... jestem po jej stronie.

Uściski,

Matt xxx

PS. Gdy byłem z Tobą, zawsze usiłowałem wszystko naprawiać. Prawda?

Do: matlb@c-tec.national.com

Od: crazedelaine@hotmail.com

Temat: Ty

Drogi Matt,

niespodzianka to zawsze dobry pomysł. Spodoba się jej.

Uściski,

Elaine xxx

PS. Tak, ze mną usiłowałeś naprawiać rozmaite rzeczy, ale zawsze miałeś powód.

MIESIĄC TRZECI

Data: 1 marca

Dni do trzydziestych urodzin: 31

Psychika: raczej w porządku (zważywszy na)

TLR

SIEDEMDZIESIĄT TRZY

Był następny piątkowy wieczór, za kwadrans dziewiąta. Ginny i ja staliśmy w salonie, dyskutując o jej stroju. Krążyła z sypialni do salonu, od pół godziny prezentując mi rozmaite elementy swojej garderoby.

— Co powiesz na to? — dopytywała się.

— Cudownie — mówiłem entuzjastycznie o czarnej bluzce z długimi rękawami i czarnych spodniach.

— Lepiej czy gorzej od ostatniego zestawu?
Nie pamiętałem ostatniego.

— Lepiej — oznajmiłem bezwstydnie.

— Hmm — mruknęła. — Czy idziemy w niezobowiązujące miejsce?

— Można tak powiedzieć.

Zmierzyła mnie wzrokiem. Miałem na sobie granatowe bojówki, granatową bluzę z kapturem i czarne adidas.

— Jesteś ubrany niezobowiązująco.

— Naprawdę? — spytałem.

— Przecież wiesz, że tak. — Zmrużyła oczy. Jeszcze raz spojrzała na mnie uważnie. — Chyba będzie w porządku — mruknęła. — Jeśli idziemy w niezobowiązujące miejsce.

— No to dobrze, załatwione. Jesteśmy gotowi?

— Ja będę za minutę — oznajmiła, po czym zniknęła na górze w sypialni. Zbiegła do salonu pięć minut później w przezroczystej czarnej bluzce i dżinsach. — A to?

— Nie wierzę, że znowu się przebrałaś.
Zignorowała ten komentarz.

— Lepiej czy gorzej niż poprzednio?

— Lepiej — oświadczyłem.
Popatrzyła na swoje stopy.

— Adidasy czy pantofle?

— Pantofle — odparłem. Rzuciła mi spojrzenie pełne niesmaku. — Nie, koniecznie adidasy.

Znowu zniknęła i, tak jak się spodziewałem, wróciła kilka minut później w zupełnie innym stroju: białej bawełnianej bluzce z długimi rękawami, szerokich spodniach koloru ecru (nikt nie może mi zarzucić, że nie nauczyłem się niczego o damskim spektrum barw od Elaine) i sandałach marki Birkenstock.

— Dobry wybór — pochwaliłem z takim entuzjazmem, na jaki mogłem sobie pozwolić, czyli niewielkim.

— Dzięki — odparła. — A teraz muszę się zastanowić, czy potrzebuję kurtki. — Obróciła się przede mną. — Kurtka czy nie?

— Kurtka.

— Ale jedziemy taksówką, więc może obejdę się bez kurtki? Chyba że będziemy wychodzili?

— Nie, będziemy w pomieszczeniu — odparłem cierpliwie.— Nie potrzebujesz kurtki.

Ginny zmarszczyła czoło. Widziałem, że się waha.

— Masz rację, nie potrzebuję kurtki.

— Świetnie! Załatwione.

— Nie sądzisz jednak, że do birkenstocków pasuje kurtka? Myślę, że jest niezbędna. — Powiedziała to tak, jakby jej buty miały dostać poważnej depresji ze względu na brak kurtki.

— Nie.

— Chyba masz rację. Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że byłaby z ciebie porządna kobieta?

— W tym tygodniu nie.

— A szkoda — dodała już na korytarzu. — Każda kobieta powinna być do ciebie podobna.

SIEDEMDZIESIĄT CZTERY

Plan na ten wieczór był całkiem prosty, zanim Ginny zaczęła działać. Miałem ją tylko przywieźć do hinduskiej restauracji w pobliżu Sparkbrook, zwanej Król Baltis, na wpół do dziesiątej. Problem polegał na tym, że kiedy tam przyjechaliśmy — wcześniej powróciwszy do domu po niezbędną jednak kurtkę — dochodziła za kwadrans dziesiąta i byliśmy spóźnieni.

— A więc tu mieliśmy się zjawić — mruknęła Ginny, gdy taksówka wyrzuciła nas przed drzwiami restauracji. — Na curry. Po co tyle zachodu dla zwykłego curry?

— Zobaczysz. — Otworzyłem jej drzwi. Uśmiechnęła się.

— Naprawdę cieszy cię trzymanie mnie w niepewności, prawda? Pewnie uważasz, że dzięki temu jesteś tajemniczy jak James Bond. No cóż... — Urwała w połowie zdania, gdy towarzystwo przy stoliku zarezerwowanym dla „Marta Beckforda, sześć osób”, czyli Bev, Pete, Katrina, Gershwin, wstało i przywitało nas okrzykami. — Nie wiem, co powiedzieć. — Rozpromieniła się. — To fantastyczne, Matt. Już tak długo ich nie widziałem. Nieprawdopodobne, Bev, Pete i Katrina, wszyscy tutaj są! I ty to zorganizowałaś?

Wzruszyłem ramionami.

— To tak, jak mówiłaś — zacząłem, przypominając naszą rozmowę sprzed tygodnia. — Kiedy masz przyjaciół, którzy cię wspierają, wszystko jest możliwe. Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że nie potrzebujesz kogoś takiego jak Ian, skoro masz wokół siebie ludzi, którzy... — Byłem zakłopotany. To wszystko brzmiało okropnie ckliwie.

— Ludzi, którzy co? — nalegała, kiedy stało się jasne, że nie dokończę zdania.

— Nic.

— Nic? — Popatrzyła na mnie uważnie, po czym wspięła się na palce i wyszeptała mi do ucha — Kłamczuch.

Pocałowała mnie. W przeciwieństwie do poprzedniego pocałunku ten miał niewiele wspólnego z ciekawością czy pocięcią, więcej z namiętnością. Co więcej, był to spontaniczny pocałunek, więc kiedy dobiegł końca, pozostawił po sobie przyjemne uczucie, że być może wkrótce się powtórzy. Chwila minęła i zobaczyliśmy, że wszyscy przy stoliku gapią się na nas. Dwaj kelnerzy przynieśli dwie butelki szampana, otworzyli je i zaczęli nalewać nam do kieliszków.

Ginny trąciła mnie w bok.

— No, Matt, powiedz coś, wznies toast.

— Nie, dzięki — odparłem. — Fatalnie mi to idzie. Może ty to zrobisz? To w końcu twój wieczór.

— Nie mogę. Też jestem w tym beznadziejna. Ale bardzo bym chciała, żebyś ty się tym zajął.

— No już, niech któreś wzniesie toast, zanim szampan wybąbelkuje!— wrzasnął Gershwin.

— Za nieobecnych przyjaciół.—Uniosłem kieliszek. — I za obecnych starych przyjaciół.

Następna godzina upłynęła na wymianie informacji. Całkowicie zatopiłem się w rozmowie z Bev. Dziwnie było na nią patrzeć po naszej telefonicznej pogawędce. Kiedy wyobrażałem ją sobie po drugiej stronie słuchawki, nadal jawiła mi się w gotyckich ciuchach sprzed lat, ale teraz zamiast czarnego mundurka miała na sobie wyszywany paciorkami, nierówno barwiony strój hippisowski. Jak my wszyscy, trochę przytyła, ale nadal była ładna, jej sardoniczny uśmiezek nie zniknął. Najlepsze, że jej zachowanie wcale się nie zmieniło: w świecie, w którym wszyscy moi znajomi rezygnowali z tego, co im szkodzi, z przyjemnością patrzyłem, jak raz po raz zaciąga się silk cutami ultra, jakby od tego zależało jej życie. Katrina z kolei zmieniła się diametralnie: w młodości była atrakcyjna, teraz jednak tak wypiękniała, że Pete nie odrywał od niej wzroku. Jej brązowe oczy były jeszcze bardziej czarujące, jeszcze chętniej flirtowała na ten swój charakterystyczny, niepewny sposób, i była bardzo elegancko ubrana. Z nas wszystkich wydawała się najdoroslejsza, najbardziej dopasowana do swojej trzydziestoletniej powłoki.

Podczas rozmowy z Katriną zniknąłem w ubikacji, a po powrocie zobaczyłem, że rozmawia teraz z Pete'em. Rozejrzałem się dookoła: Ginny gawędziła z Gershwinem i Bev, więc wypadłem z obiegu konwersacyjnego. Siedziała tu szóstka ludzi, którzy jeszcze kilka miesięcy temu prawie o sobie nie pamiętali. A teraz znowu byliśmy razem. Prawie. Choć nikt nie mówił o śmierci Elliota, było dla mnie jasne, że wszyscy odczuwamy jego nieobecność. To, że było nas zaledwie sześcioro, sprawiało, że znajome wydawało się nieznanne, pozbawione równowagi.

Mimo to wieczór udał się nadzwyczajnie. Bywając w restauracjach, zawsze widziałem stoliki, przy których ludzie bawili się lepiej od innych. Po raz pierwszy w życiu siedziałem przy takim właśnie stoliku. Martwiłem się, że ten weekend okaże się katastrofą. A jeśli się nie polubimy? A jeśli nigdy się nie lubiliśmy? Jeśli skończą nam się tematy do rozmowy? Zachowanie reszty świadczyło jednak o tym, że dobrze czujemy się w swoim towarzystwie. Historie z przeszłości upewniły nas, że dawne dobre czasy naprawdę były dawnymi dobrymi czasami. I, jak mówiłem, to, że byliśmy najgłośniejszym stolikiem w restauracji, dowodziło, że nadal mamy o czym rozmawiać.

TLR

SIEDEMDZIESIĄT PIĘĆ

Był już kwadrans po jedenastej. Po zjedzeniu potraw i wypiciu kilku butelek wina daliśmy się porwać krzykliwemu, beztroskiemu nastrojowi, jaki zazwyczaj ogarnia większe grupy o tej porze. Słuchałem Bev, która opowiadała, jak się poznali z mężem, kiedy nagle Katrina wrzasnęła:

— Matt?!

— Co?! — ryknąłem w odpowiedzi.

— Pete i ja chcemy odbyć rundkę „Gdzie teraz są?”

Bawiliśmy się w to na Gwiazdkę w Kings Arms, wtedy, kiedy jeszcze każdy wracał do domu na święta. Nasza siódemka przesiadywała przy stole, opowiadając, co się dzieje z ludźmi ze szkoły.

— Musimy to robić? — jęknęła Ginny. Popatrzyła na mnie jak na prowodyra. — Zawsze uważałam, że to kuszenie losu — ciągnęła. — A może gdzieś w świecie siedzi inna grupa byłych uczniów z King's Heath i mówi: „Wiecie, kogo ostatnio widziała moja mama? Ginny Pascoe! Ubiera się jak bezdomna, uczy w naszej starej budzie i trzyma Matta Beckforda w wolnym pokoju!” To zbyt okropne. Nie chcę, żeby świat dowiedział się, że jestem frajerką. Wolałabym zachować takie informacje dla siebie.

— Racja — przyznałem. — Też nie chcę, żeby ktoś gdzieś mówił: „O, widziałem Matta Beckforda w Safewayu, kupował tampony”. — Wszyscy

popatrzyli na mnie uważnie. — To długa historia. Sugeruję, że jeśli rzeczywiście mamy się w to bawić, trzymajmy się niezwykłych historii, w stylu: „Nigdy bym nie pomyślał, że to możliwe”.

— No dobrze — oświadczyła Katrina. — Ja zacznę, bo mam niesamowitą informację... Półtora roku temu razem z byłym chłopakiem byłam w klubie we wschodnim Londynie i zgadnijcie, kto pracował tam jako bramkarz?

— Angela Murphy! — pisnęła radośnie Bev. W czasach szkolnych Angela Murphy zapowiadała się na ochroniarza, zapaśniczkę albo miotacza kulą.

— Colin Birch! — oznajmiła Katrina. Colin Birch był chyba najbardziej wymoczkowatym chłopakiem w szkole. Ulubioną zabawą Andrew Sasky'ego (klasowego tyrana i psychopaty) było ściąganie spodni Colina i ukrywanie ich. Podczas gdy część z nas żałowała Colina, sądzę, że większość była zadowolona z jego istnienia: dzięki niemu Andrew Saska nie torturował reszty uczniów.

— Był ogromny — ciągnęła Katrina. — Nawet seksowny.

— Colin Birch seksowny? — spytał z niedowierzaniem Pete.

— Muszę przyznać, że nieco trudno mi w to uwierzyć — dodała Ginny.

— Naprawdę. Miał bardzo szeroką klatę.

— Przywitałaś się? — spytał Gershwin tonem, którym sugerował, że coś mu chodzi po głowie.

— Nie. — Katrina przejechała palcami po włosach. — Wyglądał na bardzo zapracowanego...

Gershwin wybuchnął śmiechem.

— Łżesz. — Wyciągnął palec. — Zakład, że chciałaś się z nim umówić albo poflirtować, a on cię olał.

— Och, co za wstyd — odparła ze śmiechem. — Skąd wiedziałeś?

— Po tylu latach wciąż bawisz się włosami, kiedy kłamiesz, Kat — powiedział.

— Ja mam coś lepszego od Colina Bircha — oznajmił Pete.— Jechałem pociągiem razem z moją byłą żoną i synkiem do mamy na weekend, kiedy nagle podniosłem wzrok. Zgadnijcie, kto siedział naprzeciwko nas?

— Gdzie ten ktoś wsiadł? — spytał Gershwin.

— A jakie to ma znaczenie? — zirytował się Pete.

— To może być wskazówka — odparł Gershwin.

— Słusznie — przytaknął Pete. — Ta osoba wsiadła w Wolverhampton.

Nie mogłem skojarzyć nikogo ze szkoły, kto miałby jakiegokolwiek związku z Wolverhampton.

— Nie wiem — powiedziałem w końcu w imieniu zamyślonych słuchaczy przy stole.

— David Coote! — oznajmiła Katrina.

David Coote był najbardziej szpanerskim dzieciakiem w szkole (jego ojciec miał Winiarnię Coote — sieć luksusowych sklepów monopolowych)

i osobą, która najprawdopodobniej nigdy nie słyszała o Wolverhampton, nie mówiąc już o wizycie w takim miasteczku.

— Zawsze się zastanawiałam, co u niego — westchnęła Bev. — Obmacywaliśmy się na szesnastce Ruth Hennessey. Pamiętam, że był całkiem do rzeczy.

— Do rzeczy? — prychnęła Ginny. — David Coote? W życiu! Nie słyszałaś plotek o jego trzecim sutku?

— David Coote nie miał trzeciego sutka — zaprotestowałam.

— Wiesz to na pewno? — spytała.

— Bev, pomóż mi — odparłem znużony. — David Coote nie miał trzeciego sutka, prawda?

— A skąd mam wiedzieć? — zachnęła się Bev. — Całowałam się z nim jakieś dziesięć minut, usiłował zrobić mi malinkę, a potem zaczął strasznie rzygać. Na wypadek pytań uprzedzam, że to nie miało nic wspólnego ze mną, za to sporo z butelką coli, którą przyniósł.

— Rzygał przez colę? — spytała ze zdumieniem Katrina.

— Nie rzygał przez colę — uśmiechnęła się z wyższością Bev. — Myśle jednak, że pół butelki whisky tatusia mogło go załatwić.

— Halo? — zawołał Pete. — Chyba zapomnieliście, że to moja historia. Tak czy siak, jak mówiłem, zanim mi tak nieuprzejmie przerwano, siedzę w pociągu, a naprzeciwko mnie... Faye Chambers!

Zapadła długa cisza, podczas której patrzyliśmy na siebie, usiłując skójżyć to nazwisko.

— Niska blondynka? — spytała Katrina. — Przyjaźniła się z Liz Mather?

— Myślisz o Annette Roloson — doszła do wniosku Bev. — Przypadkiem wpadłam na Nicka Halla — tego z czerwoną gębą, żarł kanapki na lekcjach — na stacji benzynowej tuż za Sheffield. Jego siostra poszła razem z Annette na studia, teraz jest pielęgniarką albo lekarką, a może recepcjonistką lekarza. Ma coś wspólnego z chorymi... albo ze zwierzętami. — Urwała, zawstydzona, że wszyscy słuchają tak kretyńskiej historii. — Mów, Pete.

— Dzięki — odparł szorstko. — Faye Chambers to była ta dziewczyna dobra z matematyki — pamiętacie, zdobywała nagrodę trzy lata z rzędu?

— Myślałem, że to Jamie Manning — powiedziałem, celowo go wkurzając.

— Uważaj, Beckford — warknął Pete. — Pamiętaj, że mam czarny pas w naciąganiu gaci.

Na wzmiankę o naciąganiu gaci (dziecięcej zabawy Pete'a) wszyscy mężczyźni przy stole się skrzywili — łapał za elastyczną gumkę od majtek, a potem naciągał ją do góry tak mocno, że potem przez co najmniej godzinę wydłubywał przód majtek z rowka w tyłku.

— Już słucham, Pete — powiedziałem ze śmiechem.

Pete podjął opowieść.

— Faye miała ciemne brązowe włosy, była strasznie chuda i nikt się z nią nie przyjaźnił.

— Samotny patyczak! — powiedziały jednocześnie Ginny, Katrina i Bev.

— Dorastające dziewczynki są potworne— zauważył Gershwin.

— To nie my ją tak nazywałyśmy, tylko Shelley Heath — zaprotestowała Ginny.

— Shelley Heath — powtórzyła Katrina. — To dopiero była wydra. Wiecie, że kiedyś ugryzła mnie w ramię, bo...

— Opowiedz nam swoją historię, Pete — przerwała jej Ginny — zanim trafi cię szlag. No, to co robi Faye?

— Pozuje do „Glamour” — odparł Pete.

— Nie! — westchnęła Bev.

— Niemożliwe! — oznajmiła Ginny.

— Daj spokój — prychnęła Katrina.

— Żartujesz sobie! — oświadczył Gershwin.

Kiedy nadeszła kolej na moje zdumienie, milczałem, bo nie mogłem wydobyć z siebie ani słowa.

— Spytałem ją, co porabia — ciągnął Pete — i powiedziała mi to. Nie była ani trochę zażenowana.

— Jest ładna? — spytała Bev.

— Bardzo — przyznał Pete.

— Ale mówisz to jako facet — powiedziała Katrina. — Co na nią twoja była żona?

— Amy uznała, że Faye jest fantastyczna.

Po tej rewelacji zabawa straciła na atrakcyjności, bo wszyscy wiedzieli, że ich informacje nie będą tak atrakcyjne jak Pete'a. Katrina jednak ujawniła, że brat jej dawnej współlokatorki chodził z Douglasem Burtonem (dawniej zapowiadał się na wielbiciela prozacu; obecnie był dziennikarzem radiowym w Cardiff). Gershwin powiedział, że wpadł na jakichś gości w pubie, młodszych od nas o rok, a oni opowiedzieli mu o Adrianie Shearerze z naszej klasy (dawniej zapowiadał się na człowieka, który napadnie na pocztę z obrzynem, obecnie odsiadywał dziesięć lat w więzieniu Strangeways za napad z bronią w ręku). Ginny oświadczyła, że parkowała przed kinem w mieście, kiedy zobaczyła, jak Stephanie Tucker (dawniej typowana na najbardziej przeciętną osobę świata) przejeżdża w mercedesie kabriolecie. W końcu wyznałem, że Lara Reid (dawniej zapowiadała się na dziewczynę, która przed ukończeniem szesnastu lat zbierze na framudze łóżka setkę naciek symbolizujących zaliczonych chłopaków) prowadziła teraz chrześcijańską księgarnię w King's Heath.

— Kto by pomyślał? — powiedział cicho Pete. — Kto był pomyślał, że kiedykolwiek...?

SIEDEMDZIESIĄT SZEŚĆ

Była pierwsza w nocy, wszyscy siedzieliśmy w salonie Ginny, a ona wrzeszczała: „Nieee!” co sił w płucach. Reszta z nas ryczała ze śmiechu tak głośno, że robiło się nam niedobrze. Katrina i Pete zajęli sofę; Bev rozłożyła się na fotelu obok wieży (pozwoliliśmy jej pełnić obowiązki didżeja pod warunkiem, że nie będzie puszczała tych gotyckich bzdur); Gershwin leżał przed telewizorem z pilotem w dłoni, dźwięk był wyłączony, Ginny obok Gershwina, a ja obok niej.

To, co się zaczęło tak na pozór spokojnie, przerodziło się w hałaśliwą imprezę. Pochylaliśmy się nad fotografiami przywiezionymi przez Bev z Sheffield. Zdjęcie, które wywołało taką konsternację Ginny, było niezmiernie niewyraźną fotką niej samej biegnącej po plaży w kostiumie kąpielowym. Na pierwszy rzut oka fotografia wyglądała niewinnie, ale lewa pierś Ginny wyszła z miseczki.

— To przez ciebie, Gershwin! — wrzasnęła Ginny, usiłując wyrwać mu odbitkę. — Ty zrobiłeś to zdjęcie.

Gershwin wzruszył ramionami.

— Dlaczego przeze mnie? To twój cycek wy dostał się na wolność. Trzeba go było pilnować.

Zdjęcie zrobiono latem, wszyscy byliśmy po egzaminach i czekaliśmy na maturę. Żadne z nas nie miało najmniejszego zamiaru pracować latem,

choć byliśmy tak biedni, że w Kings Arms mogliśmy sobie pozwolić tylko na małą szklanę soku porzeczkowego. Widząc, jacy jesteśmy biedni i jak zakuwaliśmy, rodzice Elliota pozwolili nam korzystać ze swojego wiejskiego domu w St Ivés. Trzeciego dnia, kiedy wszyscy leżeliśmy na plaży, tryskająca energią Ginny ogłosiła wyścigi i zażądała potwornych forów. Gershwin, zbyt leniwy, żeby się dołączyć, obwołał się sędzią, po czym wziął aparat Bev, żeby uwiecznić zawodników dobiegających do mety. Wyścig zamienił się w farsę tuż po słowach: „Na miejsca, gotowi, start”. Dość powiedzieć, że to nie najlepszy pomysł, by żwawa szesnastolatka biegła w skąpym, niedbale zawiązanym kostiumie. Gdy Ginny wpadła na metę, pobiwszy nas na głowę, jej lewa pierś wyrwała się na wolność, a Gershwin utrwalił ją na zdjęciu w całej jej chwale.

Gershwin wstał, wyjął zdjęcie z moich rąk i wręczył je Ginny. — Co robisz?! — wykrzyknąłem. — Ona je podrze. Ginny również się podniosła.

— Cofam to, co o tobie powiedziałam, Gershwin — oświadczyła. — Jesteś bohaterem. Prawdziwym dżentelmenem. — Popatrzyła na mnie z grymasem na twarzy. — Chyba zachowam to zdjęcie — oświadczyła. — No bo ile kobiet ma zdjęcie swojego biustu w pełnym rozkwicie?

SIEDEMDZIESIĄT SIEDEM

Było już prawie wpół do czwartej w nocy, a my tkwiliśmy w salonie w takich samych pozach jak dwie godziny wcześniej. Bev zarzuciła obowiązki didżeja; Ginny nie patrzyła już na swoje zdjęcie z lewą piersią; Pete i Katrina, zatopieni w rozmowie przez większość wieczoru, ucichli; Gershwin zasypiał; ja zaś patrzyłem na Ginny, myśląc, jak bardzo, właśnie w tej chwili, chciałbym ją pocałować.

— Chyba nie zasypiasz, Matt. — Trąciła mnie w bok.

— Jestem całkowicie przytomny — odparłem, oddając kuksańca.

— Chyba znowu powinniśmy siedzieć przez całą noc.

— Dobra — ziewnąłem, chociaż wolałbym, żeby wpychali mi drzazgi pod paznokcie. — Co na to reszta?

— Jasne — wymamrotała Bev.

— Oczywiście — westchnął Pete.

— Tak — jęknęła Katrina.

— Bez wątplenia — wybełkotał Gershwin.

SIEDEMDZIESIĄT OSIEM

Kiedy obudziłem się następnego ranka, z pełnym pęcherzem, wcale nie byłem zdumiony, że nie udało nam się przesiedzieć całej nocy. Nie miałem bladego pojęcia, co chcieliśmy sobie udowodnić (że wciąż jesteśmy młodzi? że nie potrzeba nam snu? że nadal możemy bredzić do czwartej rano?), ale cokolwiek to było, podejrzewałem, że nasza porażka udowodniła coś wręcz przeciwnego. Ostatnie moje wspomnienie — idę z Ginny na górę po kołdry i śpiwory, by nasze czuwanie było „bardziej komfortowe”. Najwyraźniej było zbyt komfortowe. Wszyscy zalegali w salonie Ginny w odmiennych stanach nieświadomości. Katrina i Pete leżeli pod jedną kołdrą. Bev zwinęła się na fotelu w jaskrawożółtym śpiworze, który Ginny miała od czasów harcerstwa. Gershwin leżał na sofie pod swoim płaszczem, a Ginny i ja na podłodze obok sofy, pod kołdrą mojej sypialni.

Wymknąłem się z pokoju na górę, do łazienki. W drodze powrotnej usłyszałem hałas w kuchni i poszedłem sprawdzić, kto wstał. Trafiłem na Katrinę.

— Dzień dobry — powiedziała radośnie, napełniając czajnik.

— Dzień dobry — odparłem. — Dobrze spałaś?

— Nie, okropnie. A ty?

— Też okropnie.

— Zgadnij, co się stało? — wyszeptała.

Popatrzyłem na nią tępo. Zachodziłem w głowę, o co jej chodzi.

— Nie mam pojęcia.

— Widzę to po twojej minie — przyznała. — Lepiej ci powiem, chociaż i tak mi nie uwierzysz.

To zdanie zaostrzyło moją ciekawość.

— Kiedy to, cokolwiek to jest, się stało?

— W nocy.

— Gdzie?

— Tu. — Wskazała na salon.

— No dobrze. — Byłem zaintrygowany. — Bardzo jestem ciekaw, co mogłaś robić w pokoju pełnym ludzi, że teraz o tym szepczesz... — Nagle zrozumiałem. — Chcesz mi powiedzieć, że ty i....

— Nie aż tak! — Przerwała z niesmakiem. — Dużo mniej.

— Z kim?

— Wczoraj w pokoju było tylko dwóch wolnych mężczyzn, a jednym z nich byłeś ty.

— Chcesz powiedzieć, że zabawialiście się z Pete'em w salonie, kiedy reszta z nas spała? Co za dziecinada. Jak do tego doszło?

— Sama nie wiem — przyznała. — W jednej chwili wszyscy upierali się, że wytrzymają całą noc, a w następnej tylko ja i Pete nie spaliśmy. Bomba by was nie obudziła, więc zaczęliśmy gadać. Nie spaliśmy przez całą noc — gadaliśmy. Mówił mi o swoim rozwodzie i tęsknocie za synkiem, a ja jemu o moim pechu do związków, no i zaczęliśmy się... całować, a potem zasnęliśmy.

— Ty i Pete. To takie... bo ja wiem.

— Powiedział, że w następny weekend przyjedzie do mnie do Stoke.

— Co? Chcecie się związać ze sobą? Z entuzjazmem pokiwała głową.

— Wiem, że nie powinnam tego mówić po kilku wspólnych godzinach, ale mam przeczucie. Naprawdę dobre przeczucie. Że wszystko będzie tak jak trzeba.

— Hm — mruknąłem.

— Co to ma znaczyć?

— Nie wiem, czy powinnaś podchodzić do tego tak poważnie. Zapomnisz o nim, kiedy wrócisz do siebie, żeby redagować „Staffordshire”, czy jak to się tam nazywa, a on do swojego imperium komiksów. Zbyt łatwo jest dać się porwać chwili. Pewnie nie chcesz, żebym to wszystko mówił?

— To trochę cyniczne, prawda?

— Raczej realistyczne.

Katrina znacząco uniosła brew.

— Najpewniej przemawia przez ciebie doświadczenie. — Jej wzrok pobiegł do otwartych drzwi salonu, gdzie pod kołdrą rysował się kształt Ginny.

Woda zaczęła się gotować, Katrina zaparzyła nam herbatę.

— Jesteśmy tylko przyjaciółmi — oświadczyłem z przekonaniem. Katrina wręczyła mi kubek. Znowu uniosła brwi, ale milczała. — Ona już kogoś kocha — dodałem.

— Kogo? — zainteresowała się.

— To długa historia.

— A ty?

— Co ja?

— Kogo kochasz?

Nie odpowiedziałem.

Katrina wzięła swój kubek i wróciła do salonu.

SIEDEMDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

Kiedy wszyscy przebudzili się koło jedenastej, nieco wymięci, jednocześnie postanowiliśmy iść na śniadanie. Pete zaproponował dom towarowy BHS w centrum, bo tam serwowali pełne angielskie śniadanie za i.80 funta, ale potem przypomniał sobie, że podają je do jedenastej, więc ta opcja odpadła. Katrina prychnęła na wzmiankę o BHS i zaproponowała Cafe Rouge, bo mieli tam bardzo smaczną jajecznicę i wędzonego łososia. Już miałem zauważyć, że w King's Heath jest całkiem przyzwoity McDonald, ale Ginny przypomniała nam pobliską stację obsługi przy autostradzie — jeszcze jedna wycieczka w przeszłość. Kiedy Pete zrobił prawo jazdy, rodzice kupili mu gruchota, triumpha dolomite, który stał się naszym służbowym pojazdem. Przy każdej okazji pakowaliśmy się do niego, jechaliśmy na tę stację i przez cały wieczór tkwiliśmy nad kawą i jednym talerzem frytek. W tym szaleństwie nie było metody — robiliśmy to dla kaprysu.

Dwie godziny i kilka obfitych śniadań później nadal korciło nas, żeby coś zrobić z tym dniem. Raz jeszcze możliwości były nieograniczone, od zakupów do znalezienia przyzwoitego pubu i wegetowania w nim. Wybór padł na to ostatnie. W sobotni wieczór urządziliśmy sobie grilla. Pete, Gershwin, Katrina i ja zajęliśmy się przygotowywaniem potraw, a Ginny i Bev siedziały przed telewizorem, oglądając lecące po kolei odcinki *Brookside*, a co jakiś czas wyglądały, by zapytać, czy nam odbiło, bo jest paskudnie, wieje i zaraz lunie. Po jedzeniu resztę wieczoru spędziliśmy na pićiu i grach planszowych (Trivial Pursuit, Monopol i Pułapka na myszy), aż do wczesnych godzin porannych.

Rankiem następnego dnia Ginny i Bev poszły do sklepu na rogu i kupiły składniki na ostatnie ciężkostrawne śniadanie. Gershwin, Katrina i ja gotowaliśmy, Pete zgłosił się do zmywania, świadom, że Katrina go pożałuje i mu pomoże. Potem wylądowaliśmy w Kings Arms, pijąc przez całe popołudnie. Gdzieś koło ósmej stało się jasne, że chociaż tego nie chcemy, weekend nieubłagane dobiega końca.

— Chyba już pojedę — powiedziała Bev, kończąc drinka.— W niedzielę pociągi do Sheffield są zawsze koszmarnie niepunktualne.

— Chętnie zostałbym dłużej, ale też muszę jechać. — Pete popatrzył na Katrinę.

— I ja — dodała.

— Nie możecie jechać — oznajmiła Ginny. — Jeszcze nie ustaliliśmy, kiedy znów się spotkamy?

— Myślisz, że będzie jakiś następny raz? — zapytałem.— Sądziłem, że raz na sześć lat wystarczy.

— . Bardzo śmieszne — warknęła Ginny. — Ogłaszam, że następnym razem zbieramy się na twoje urodziny, Matt.

— Nie zawracałbym sobie tym głowy — odparłem. — Pójdę do Gershwina, potem do pubu na parę głębszych, a na koniec wrócę do domu.

— Chciałbyś — mruknął Gershwin. — Nie masz tu nic do powiedzenia. Ginny i ja wszystko wczoraj zaplanowaliśmy.

Popatrzyłem na Ginny. Ze skruchą odwróciła wzrok.

— Spiskowaliście, żeby przygotować mi niespodziankę, tak? — spytałem.

— Spadaj! — prychnęła. — Po prostu chciałam, żebyście znów przyjechali na weekend.

— Co zaplanowaliście? — spytała Bev.

— Myśleliśmy o przyjęciu niespodziance dla Matta, ale oleciał nas strach, że zaplanuje na ten dzień coś innego — wyjaśnił Gershwin.

— No to przygotujemy coś równie dobrego, czyli przyjęcie niespodziankę, o którym będzie wiedział — dodała Ginny.

— To raczej nie będzie niespodzianka — mruknął Pete.

— Nieważne, i tak mu się spodoba — oświadczyła z przejęciem Ginny.

— Z pewnością — przytaknął Gershwin.

— Nie chcecie mi powiedzieć, co to będzie? — zapytałem.

— Oczywiście, że nie — odparła Ginny. — Ale powiem wam jedno: od dziś nic nie planujcie za miesiąc, żebyście mogli przywieźć swoje żony, mężów, chłopaków i dziewczyny albo tylko siebie na najlepsze przyjęcie z okazji trzydziestki, jakie w życiu widzieliście.

I już. Pół godziny później byliśmy u Ginny, żegnając się ze wszystkimi. Bev się wzruszyła, mówiąc, że nas bardzo kocha; Pete i Katrina postanowili nie ukrywać swojej miłości i całowali się gorączkowo na progu; Gershwina bardzo bawiła ta sytuacja, a Ginny wyglądała na o wiele szczęśliwszą niż ostatnio.

I już.

Katrina wróciła do Stoke. Bev wróciła do Sheffield. Pete wrócił do Manchesteru. Gershwin wrócił do domu, do Zoe i Charlotte. I nagle, po całym weekendzie ze starymi przyjaciółmi, zostaliśmy sami. Na sofie. Sami.

TLR

OSIEMDZIESIĄT

— Czy to dobry pomysł, Ginny? — spytałem, męcząc się z haftką jej stanika.

— Chyba już przerabialiśmy tę rozmowę, Matt — odparła, rozpinając mi koszulę. — Znowu nie jesteś pewien?

— Jak to „znowu nie jestem pewien”? Ostatnio to ty nie byłaś pewna, prawda?

— Tym razem to ja zadaję pytanie. Jak brzmi odpowiedź?

— No dobra — przyznałem. — Nie jestem pewien.

— Czego nie jesteś pewien?

— Że ty. Że ja. Na podłodze twojego salonu. Że twoja... — zawahałem się — prawa dłoń rozpina mi koszulę, a lewa jest pod wspomnianą koszulą. — Zabrała rękę. — Mam to przeliterować?

W tym samym momencie wybuchnęliśmy śmiechem, popatrzyliśmy sobie w oczy i dopuściliśmy do głosu ukrytych w nas nastolatków.

OSIEMDZIESIĄT JEDEN

Od: crazedelaine@hotmail.com

Do: mattb@c-tec.national.com

Odp: Takie tam

Droga Elaine,

przepraszam za opóźnienie. Jak się miewasz? Co w pracy? Jak Ci się mieszka z Sarą? Jak zielistka? U mnie wszystko gra. Weekendowe spotkanie wypadło świetnie. Od... tak, od lat się równie dobrze nie bawiłem. Pewnie się ucieszysz, że cała ta trzydziestka nie wydaje mi się już takim wyzwaniem. Może kuszę los, pisząc takie rzeczy, ale teraz trzydziestka przypomina każde inne urodziny. Mam nadzieję, że u Ciebie dobrze. Uważaj na siebie.

Uściski,

Matt xxx

OSIEMDZIESIĄT DWA

Od: crazedelaine@hotmail.com

Do: mattb@c-tec.national.com

Odp: Ostatnia próba szczerości

Droga Elaine,

piszę ten e-mail sześć sekund po napisaniu poprzedniego (oficjalnie pozwalałam Ci go zignorować... albo nie, zostaw go i nazwij dowodem rzeczowym, jeśli kiedykolwiek oskarżę Cię o tchórzostwo). Trzy sekundy po tym, jak przycisnąłem WYŚLIJ, ogarnęło mnie okropne poczucie winy. Naprawdę mnie rozłożyło (spoczone dłonie, uderzenia gorąca, ucisk w żołądku, jakbym lada moment miał zwymiotować). W sposób tak okrężny jak się da, usiłuję przekazać Ci pewną informację — nie wiem, jak zareagujesz. I tak: Ginny i ja poznaliśmy się, w biblijnym sensie. Oczywiście to wszystko nadal jest skomplikowane. Nawet nie mieliśmy okazji o tym pogadać. Poszła dziś do pracy, nie budząc mnie, więc prawdopodobnie wyjaśnimy sobie pewne sprawy pod wieczór.

Wiem, że pewnie nie to chciałaś usłyszeć (a to dlatego, że na Twoim miejscu też bym tego nie chciał], ale gdybym Ci nie powiedział, wszystko, co nas kiedykolwiek łączyło, rozleciałoby się. A jeśli ta trzydziestka cze-

gokolwiek mnie nauczyła, to właśnie tego: trudno znaleźć dobrych przyjaciół, więc jeśli kilku masz, warto ich zachować.

I to właściwie tyle. Napiszesz niedługo?

Uściski jak zawsze,

Matt xxx

TLR

OSIEMDZIESIĄT TRZY

Chociaż napisałem w e-mailu do Elaine, że Ginny i ja zapewne porozmawiamy, dzień dobiegł końca, Ginny nie zadzwoniła i już nie byłem taki pewien. Całkiem słusznie, jak się okazało. Nie tylko nie rozmawialiśmy o tym tamtego wieczoru, ale i nie wspomnieliśmy o tym następnego. Ani dzień później. Ani jeszcze jeden dzień później. Było całkiem jak w szóstej klasie, tylko bez udawania, że się sobie nie podobamy. Zachowywaliśmy się jak para — co oznacza, że kleiliśmy się do siebie, kiedy wracała z pracy. Ignorowała telefony Iana, co napawało mnie głęboką satysfakcją, i każdą sekundę spędzaliśmy razem, ale nie rozmawialiśmy — czy też nie odbyliśmy rozmowy. Nie mogliśmy. Zamiast tego codziennie, kiedy szła do pracy, zadreślałem się analizami. Szło to mniej więcej tak;

Pytanie: Czy jestem szczęśliwy?

Odpowiedź: Entuzjastyczne tak, a potem zmrużone brwi i pytanie: co to znaczy szczęśliwy? Jeśli bycie szczęśliwym oznacza beztroskę, to nie jestem szczęśliwy. Ale jeśli bycie szczęśliwym oznacza śmianie się z bardzo mizernych dowcipów nowej dziewczyny/niedziewczyny tak głośno, że boli mnie brzuch, jeśli to zagłębienie w oczy dziewczyny/niedziewczyny i dostrzeżenie w nich czegoś, co moim zdaniem dawno zniknęło, to jestem szczęśliwy. Jeśli jednak to nie to, to nie jestem.

Co nieuchronnie prowadziło do:

Pytanie: Czy mogę sobie pozwolić na rozkoszowanie się tym szczęściem, skoro to tylko przelotne uczucie, krótki odpoczynek od świadomości, że:

TLR

a) za niespełna trzy tygodnie mam lecieć do Australii?

b) moja nowa dziewczyna/niedziewczyna nadal tkwi w związku z żonaty?

c) wciąż otrząsam się po rozstaniu z Elaine?

d) kończę trzydziestkę?

Odpowiedź: Nie.

Mimo tych wszystkich pytań, na które nie znam odpowiedzi, w tamtym tygodniu Ginny i ja świetnie się bawiliśmy. Gdyby nasze życie było filmem, tydzień, który zaczął się od pocałunku w niedzielny wieczór, byłby ckliwie zmontowany: Ginny i ja śmiejemy się, idąc bosy po piaszczystej plaży; Ginny i ja wbiegamy do krystalicznie błękitnego oceanu, Ginny pada mi w ramiona; Ginny i ja patrzymy sobie w oczy, a słońce zachodzi za naszymi głowami. I tak dalej. Niestety, to nie było Hollywood w USA, tylko Birmingham w Anglii, więc montaż okazał się mniej spektakularny.

Scena numer jeden

Jest poniedziałek rano, budzę się bez Ginny u boku. Obok łóżka leży kartka, z której wynika, że Ginny wcześniej wstała, żeby kupić nam śniadanie, zanim pójdzie do pracy. Przekręcam się na brzuch, wywieszam rękę za łóżko i macam. Znajduję przedmiot — pudełko z butami. Od razu wiem co to, bo wyjmuję z niego stare zdjęcia Gershwin. Korzystam z okazji, żeby je obejrzeć. Od razu natrafiam na zdjęcia Ginny i mnie, których nie widziałem, odkąd je wywołaliśmy w Bootsie. Na tych fotografiach mamy po

siedemnaście lat. Z zadumą myślę, że to bardzo mało. Ginny wraca. Chocam pudełko i się całujemy.

Scena numer dwa

Jest wczesny wtorkowy wieczór. Ginny i ja siedzimy na progu, patrząc na ogródek, mimo że leje, a ogródek to dżungla pełna chwastów. Ginny karmi mnie całą paczką cukierków revels, po jednym. Przed chwilą ja ją karmiłem kiścią winogron bez pestek. Jesteśmy sobie tacy bliscy. Postanawiam, że kiedy skończę paczkę, rozpoczniemy rozmowę. O nas. I o przyszłości. I o tym, co chcemy sobie zapewnić, robiąc to, co robimy. Musimy wiedzieć pewne rzeczy. Zaglądam do paczki i widzę, że zostały tylko trzy revelsy.

— Wiesz, jaki jesteś słodki? — mówi ona.
Pośrodku miodowy.

— Jesteś słodki. Niewiarygodnie — ciągnie.
Czekoladowy w kształcie latającego talerza.

— Myślę, że chyba mogłabym cię... — zaczyna, po czym się waha.

Pomarańczowy.

— Myślisz, że chyba mogłabyś? — pytam, przeżuając. Wzrusza ramionami, całuje mnie i mówi:

— Nic nie myślę.

Scena numer trzy

Jesteśmy w centrum miasta, późnym środowym popołudniem. Ginny wróciła prosto z pracy, włączymy się bez celu, tak jak podczas długiego upalnego lata po egzaminach. Wchodzimy do sklepu, w którym sprzedają obrazy i ramy, przyglądamy się czarno-białym odbitkom. Wskazuję na Louisa Armstronga, podoba mi się. Stoi obok Elli Fitzgerald i wygląda tak radośnie, jakby za chwilę miał eksplodować.

— Kupię ci go — mówi Ginny.

— Nie, nie ma potrzeby.

— Myślę, że jest — mówi ona, ignorując mnie.

Pięć minut później wychodzę ze zdjęciem i ramką, i nie wiem, co czuję, ale to coś zupełnie niezwykłego.

Scena numer cztery

Jest czwartkowy wieczór, Ginny i ja siedzimy u Gershwin i Zoe na kolacji. Spodziewałem się, że będziemy zachowywali się dyskretniej — zachowamy to w sekrecie, ale nie. Ginny siedzi obok, cały czas opierając się o mnie i patrząc mi w oczy, jakby naprawdę interesowało ją każde słowo, które pada z moich słów, choćby najgłupsze. Ja pewnie robię to samo. Gershwin i Zoe są w porządku. Nawet okiem nie mrugną, chociaż widzę, że Zoe umiera z ciekawości. Parę razy w ciągu wieczoru łapię jej pytające spojrzenie. Tak naprawdę Zoe nie pyta, tylko chce potwierdzenia. „Zakończyliście się w sobie, prawda?”

Scena numer pięć

Jest piątkowy wieczór, koło jedenastej, właśnie wróciliśmy z Kings Arms. Jesteśmy pijani, ale nie bardzo, nasze oddechy pachną frytkami i sosem curry. Przez całą drogę do domu czuję się przygnębiony. Nie wiem, jak powiedzieć to, co chcę powiedzieć. Włączam telewizję i oglądam ją w milczeniu, pogrążony w myślach, a Ginny tymczasem przygotowuje popcorn, tylko dlatego, że dziś kupiłem jej maszynę do popcornu — twierdziła, że zawsze chciała taką mieć.

— Co robisz? — pyta, wchodząc do pokoju z pojemnikiem wielkości kosza na śmieci, wypełnionym taką ilością popcornu, że wystarczyłoby do zaspokojenia apetytu gości miejscowego multipleksu.

— Myślę.

— To robisz? — pyta z łagodnym sarkazmem. — Myślałam, że oglądasz... — zerka na telewizor — ..powtórki *Magnum Pi*.

Uśmiecham się.

— Może tak to wygląda, ale naprawdę coś robię. W myślach. Bardzo ciężko pracuję w swojej głowie. Nie gdzie indziej.

Przechodzi przez pokój, stawia pojemnik z popcornem przed telewizorem, siada i mnie obejmuje.

— Wszystko będzie dobrze, zobaczysz — mówi.

— Naprawdę?

— Jasne.

— Dlaczego?

— Bo tak powiedziałam.

TLR

OSIEMDZIESIĄT CZTERY

— Eee, posłuchaj, Ginny — zacząłem niepewnie, chcąc porozmawiać o tym, co wisiało nad nami już od pięciu dni. — Ja... eee... wiem, jakie to trudne, ale powinniśmy porozmawiać.

Oboje siedzieliśmy w Ali Bar One w Brindley Place, z lekkim kacem, jedząc ciężkostrawne śniadanie i pijąc olbrzymie ilości soku pomarańczowego (jakby witamina C wystarczyła do usunięcia skutków wspomnianego kaca). Byłem zdecydowany porozmawiać o tym, o czym nie rozmawialiśmy. Po sześciu dniach wałkowania tego w mojej głowie nic nie wymyśliłem.

— Wiem, wiem — powiedziała Ginny po dłuższej chwili milczenia. — Masz rację. Unikałam tego jak ognia. Nie chodzi o to, że nie chcę rozmawiać o pewnych rzeczach, Matt, daję słowo. Chodzi o to...

— Boisz się, że jeśli porozmawiamy, to się nagle skończy?

— Właśnie. Ale jeśli nawet, masz rację, musimy porozmawiać.

Milczenie.

— Ty pierwszy — powiedziała. — Gadanie wychodzi ci o wiele lepiej niż mnie.

Przez chwilę strasznie żałowałem, że Elaine tego nie słyszy.

— No dobrze. Chodzi o to, że... — Mój głos odpłynął.
Milczenie.

— Może ja powinnam spróbować — zaproponowała.

— Bardzo proszę — odparłem uprzejmie.

— Wiesz, chodzi o to, że... — Długa cisza. Potem westchnienie. Potem długa przerwa. — To niemożliwe, prawda?

Przełknąłem trochę soku, żeby zwalczyć nagły przypadek kacowej eksplozji głowy.

— Rozmowa czy ta sytuacja?

— Jedno i drugie.

— Posłuchaj. — Zmrużyłem oczy, bo kacowa eksplozja głowy nadal usiłowała wstrząsnąć mną w posadach. — Zrozumiem, jeśli to tylko przelotny romans. Jestem już dużym chłopcem. Mam prawie trzydzieści lat, nie rozpadnę się na kawałki, jeśli tak właśnie jest...

— Ależ skąd — westchnęła. — Ani trochę. Pod wieloma względami wolałabym, żeby tak było, to uprościłoby sprawę. Nie mam pojęcia, co tu się dzieje, Matt, naprawdę. Gdybyś mnie zapytał, co czuję do Iana, pewnie powiedziałabym ci, że go kocham — bo to prawda — ale wiem także, że nic z tego nie będzie, i że to, co mnie z nim łączy, nie jest warte kontynuowania. Męczą mnie te kłamstwa. Chcę, żeby moje życie było takie jak kiedyś. I dlatego, nawet jeśli między nami nic już nie będzie, jeśli postanowimy to skończyć i zostać tylko przyjaciółmi, wcale nie będę żałowała, bo to — wskazała na stół, który zapewne symbolizował „nas” — pomoże mi o nim zapomnieć. Trzeba pamiętać, że nie wszystko jest z kamienia — do-

brze uświadomić sobie, że czasem miłe rzeczy przydarzają się zupełnie zniecka.

— Czyli chcesz powiedzieć, że zamierzasz to skończyć?

— Nie. — Pochyliła się i mnie pocałowała. — Oczywiście, że nie. Chcę powiedzieć, że tak, wolę, żeby to było coś więcej niż przelotny romans, ale jeśli nie, to też to zaakceptuję.

— Nie mógłbym.

— Czego?

— Zaakceptować tego, że to tylko przelotny romans.
Ginny popatrzyła na mnie z uśmiechem.

— Ja też nie.

— Ale przed chwilą powiedziałaś...

— Słuchaj uważnie, Matt — mruknęła. — Kłamałam. A to, że „nie będę żałowała, bo to pomoże mi o nim zapomnieć”, to totalna bzdura, ścierna, babskie kłamstwa na wypadek, gdybyś nie czuł tego, co ja. Ale cieszę się, że czujesz to samo, bo ostatecznie, czego ci potrzeba, to świadomość, że była dziewczyna/nie-dziewczyna ze szkoły straciła dla ciebie głowę.

— Straciła głowę?

— Całkowicie.

— Czy chcesz z tym coś zrobić?

— Z tobą i ze sobą? — Nastąpiła krótka, ledwie zauważalna przerwa.

— Tak, jasne.

— Nie tryskasz entuzjazmem — zauważyłem.

— Jak mam tryskać, skoro wszystko sprzysięgło się przeciwko nam? Ty wyjeżdżasz do Australii, do tego Ian...

— Cóż, pierwszą przeszkodę łatwo usunąć. Nie pojedę do Australii.

Ginny wydawała się zaskoczona. Nie mogłem się połapać, czy to pozytywny szok, czy też nie. Kiedy zaczęła następne zdanie od: „Posłuchaj, Matt...”, uznałem, że jednak nie. Że za bardzo naciskam.

— Nie chcesz, żebym został — burknąłem wrogo.
Wyciągnęła do mnie rękę.

— Bardzo bym chciała, żebyś został...

— No to załatwione. — Postanowiłem chwycić byka za rogi. — W ciągu ostatnich sześciu dni zrobiliśmy większe postępy niż przez ostatnie dziesięć lat. To dobrze, Ginny.

— Wiem i zgadzam się z tobą, ale sześć dni to jednak tylko sześć dni, Matt. Chyba za bardzo się śpieszysz.

— Tak by było w zwykłych okolicznościach, ale to nie są zwykłe okoliczności, prawda? — Nie byłem pewien, czy brnąć dalej. — Pamiętasz umowę, którą zawarliśmy na ślubie Gershwinia?

Ginny otworzyła usta i wywnioskowałem z jej miny, że zamierza udać, że niczego nie pamięta.

— Dużo wtedy wypiałam — powiedziała ze śmiechem. — Ale tak, pamiętam. Mówiliśmy, że jeśli w wieku trzydziestu lat nadal będziemy sa-

motni, zwiążemy się ze sobą. — Wyglądała na zakłopotaną. — Ale mówiliśmy to jako dwudziestoczterolatki, Matt. Szmata czasu temu.

— Nie twierdzę, że powinniśmy spróbować z powodu jakiejś głupiej umowy, tylko że powinniśmy spróbować, bo już wtedy wiedzieliśmy doskonale to, co wiemy teraz i co pewnie wiedzieliśmy od pierwszego spotkania: że jesteśmy dla siebie stworzeni. Pomyśl o tym. To trwa, odkąd skończyliśmy siedemnaście lat. Próbowaliśmy wszystkiego, żeby uniknąć bycia razem — chodziliśmy z innymi, zmienialiśmy miasta, nawet kraje — i zobacz, gdzie teraz jesteśmy. W tym samym miejscu, gdzie byliśmy, gdy to się zaczęło. — Pocałowałem ją. — Nie musimy się śpieszyć. Dajmy sobie trochę czasu i zobaczymy, co z tego wyniknie. Jeśli jednak myślisz, że wróciłem do domu, czując, że brak mi celu, że po tym wszystkim mógłbym sobie pójść, to wcale mnie nie znasz.

— Mówisz poważnie?

— Jasne, że tak. W życiu nie mówiłem poważniej. Jeśli chcesz, zadzwonię dziś do pracy i powiem im, że nie jadę do Australii.

— Nie, poczekaj. Przynajmniej do mojej rozmowy z Ianem. Kiedy z nim skończę, będę mogła jasno myśleć. Zrobię to jutro — dodała cicho. — Na pewno jutro. A teraz po prostu cieszymy się tym dniem.

— I co będziemy robić? — spytałem.

Dopiła resztkę soku pomarańczowego i wstała.

— Chodź na zakupy.

OSIEMDZIESIĄT PIĘĆ

Dwie godziny później staliśmy w tym samym sklepie z męskimi ubraniami, który odwiedziłem podczas pierwszego tygodnia pobytu w Birmingham. Didżej z kocią bródką dalej robił swoje w kącie, chudy jak patyk sklepikarz uśmiechał się z wyższością, a ja zamierzałem trzymać się swojego granatowo-czarnego stylu. Ginny jednak nie chciała o tym słyszeć.

— Mówisz — zaczęła, przeglądając za mnie wieszaki z podkoszulkami — że wszystkie ubrania, które kupiłeś od dwudziestego szóstego roku życia, były granatowe albo czarne?

— Wszystkie — przytaknąłem z dumą.

— Skarpety?

— Tak.

— Bokserki?

— Zawsze.

— Koszule?

— Mam kilka białych koszul, ale wkładam je tylko na spotkania z ważnymi klientami, w innych wypadkach...

— Granatowe albo czarne.

Widziałem po minie Ginny, że nie może w to uwierzyć. Przeszliśmy od podkoszulków do wieszaka z „codziennymi” spodniami.

— A te? — Pokazała mi parę zielonych bojówek.

— Nie, są zielone.

Podeszła do burgundowych sztruksów.

— A te?

— Burgund? — powiedziałem. — Kpisz sobie?

Ginny nadal nie mogła w to uwierzyć. Chodziła między garniturami i wybrała dla mnie jasnoszary z marynarką zapinaną na trzy guziki.

— Daj spokój, Matt, to chyba nie obraża twojego poczucia estetyki. Naprawdę podobałbyś mi się w tym garniturze.

— W jasnoszarym? Resztę życia spędziłbym na wycieczkach do pralni chemicznej. Za nic, moja droga.

— Wiesz, że to nienormalne, prawda?

— Mówiłem ci — odparłem. — Nic na to nie poradzę. — Wiem dokładnie, co mi się podoba. Jeśli chodzi o hinduskie potrawy, lubię kurczaka masala. Jeśli chodzi o muzykę, lubię pieśniarki, a z kolorów granat i czerń. — Odwróciłem się i popatrzyłem jej prosto w oczy. — A jeśli chodzi o kobiety, to lubię ciebie.

Wybuchnęła śmiechem i mnie pocałowała, choć teraz w sklepie było sporo ludzi.

— Spokojnie — powiedziałem.

— A co tam. Mogę zrobić nawet więcej. Już od dawna nie miałam okazji demonstrować uczuć w miejscu publicznym, więc pozwól mi z tego skorzystać. — Pocałowała mnie raz jeszcze i uważnie popatrzyła mi w oczy. — Dlaczego to wydaje się takie właściwe?

— Bo stosowałeś mechanizmy wyparcia, a ja pokazałem ci właściwą drogę. — Nagle zyskałem pewność. Dobrze mi było tu, między ludźmi, z tą piękną kobietą u boku. Byłem dumny, że każdy facet w sklepie, łącznie z tymi najbardziej pretensjonalnie odzianymi, widzi, że Ginny to moja dziewczyna. — Bałaś się uświadomić sobie swoje pragnienia, bo twoim zdaniem życie powinno być jakąś przygodą, podczas której kręcisz się w kółko, popełniając raz za razem te same błędy i niczego się nie uczysz. Dla ciebie to podniecające. Mnie podnieca świadomość, jakie coś będzie, a także przekonanie, że kiedy już to coś dostanę, zadbam o to, by sprawiało mi taką samą przyjemność jak na początku. Albo nawet większą. Nie lubię nowości. Nowości mnie denerwują. Lubię starocie. Znane i wypróbowane.

— Hmm. — Ginny wyszczerzyła do mnie zęby. — Rozumiem, że jestem starocia, znaną i wypróbowaną? — zaśmiała się. — Bardzo przyjemne.

— Nie oczekuję, że zrozumiesz, nie jesteś mną. Chodzi o to, że ulubione rzeczy w moim życiu nigdy mi się nie nudzą. Za każdym razem, kiedy na nie patrzę, słyszę je czy cokolwiek, doświadczam czegoś nowego, odkrywam jakiś nowy szczegół, którego wcześniej nie zauważyłem, i dzięki temu jestem jeszcze bardziej zafascynowany.

Ginny śmiała się tak głośno, że zwróciła na siebie uwagę grupy nastolatków. Jeden z nich trzymał w rękach jaskrawo-pomarańczowy podkoszulek. Ginny szepnęła do chłopaka: „katastrofa”, po czym dalej chichotała, zupełnie jakby była pijana. Zastanawiałem się, czy mam zacząć się za nią wstydzić.

— Co się z tobą dzieje?

— Jestem szczęśliwa. Nie wierzę, że to mówię, ale ta cała przemowa o noszeniu granatu i czerni chyba mnie przekonała.

— Żeby trzymać się tego, co znasz?

— Może nie aż tak, ale przekonałeś mnie do czegoś innego.

— Do czego?

— Że wyglądałbyś strasznie w tych sztruksach.

OSIEMDZIESIĄT SZEŚĆ

Do: mattb@c-tec.national.com

Od: crazedelaine@hotmail.com

Odp: Twoje ostatnie dwa e-maile

Drogi Matt,

chyba dość razem przeszliśmy, żeby traktować się uczciwie. I jak słusznie zauważyłeś, uczciwość to podstawa, zawsze to powtarzam. Kiedy myślę o Tobie, o wszystkim, co nas łączyło, najlepiej pamiętam, że zawsze mogliśmy o wszystkim porozmawiać... Przynajmniej po pewnym czasie. To wstęp do tego, jak przyjąłem Twoją informację — płakałem. Najgorsze, że płakałem bardziej niż w dniu Twojego wyjazdu. Usiłowałem zrozumieć, dlaczego. Myślałem o tym w nocy. Płakałem nie dlatego, że chcę do Ciebie wrócić. Nie chcę. Nawet nie chodzi o zazdrość — naprawdę cieszy mnie, że Ci się udało. W końcu chyba wpadłam na to, że odpowiedź ma coś wspólnego z tym, co napisałeś w jednym z e-maili — z tym, o czym marzyłeś w dzieciństwie. Mówiłeś, że nadchodząca trzydziestka zmusza Cię do pogodzenia się z faktem, że pewne rzeczy nigdy nie nastąpią. Wiem, że kiedy byliśmy razem, nie dawałam Ci do zrozumienia, że myślę o przyszłości — o naszej przyszłości. Ale myślałam. Bardzo lubiłam wyobrażać sobie nas z dziećmi (co najmniej szóstką — niezbyt praktycznie, prawda?) i zastanawiać się, jak będą wyglądały i po którym z nas odziedziczą charakter. Wyobrażałam sobie, jak przeprowadzamy się z NJ do Filadelfii, do starego

domu moich dziadków. Myślałam o tym, jak się razem starzejemy — Ty robisz się coraz bardziej zrzedliwy, a ja rozkojarzona. Nawet fantazjowałam o tym, jak razem umieramy (ja pierwsza, bo nie chciałabym zostać sama, a Ty tydzień później, z tęsknoty]. Chociaż się rozstaliśmy, nie pożegnałam się z Tobą w marzeniach, a Twój związek z Ginny zmusił mnie do stawienia czoła faktom. Jeśli naprawdę mam być uczciwa (a powinnam), muszę powiedzieć, że nie byłoby mi aż tak źle, gdybyś zadał się z jakąś przypadkową dziewczyną, tak jak ja z tym przypadkowym facetem w barze. Jaką ładną, ale nieciekawą przejściową dziewczyną, która byłaby dla Ciebie zupełnie nieodpowiednia. Jednak Ty od razu trafiłeś na żyłę złota. A może dopiero za drugim razem???? Znowu piszę bez sensu. Jeśli zależy Ci na mojej radzie (a na pewno zależy) i jeśli Ginny jest tą jedyną, powinieneś zapomnieć o Australii. Trudna znaleźć to, czego wszyscy szukamy, i nie można tego ignorować, gdy pcha Ci się w ręce. Cokolwiek zrobisz, chcę, żebyś był szczęśliwy. Naprawdę.

Uściski jak zawsze,

Elaine xxx

PS. Pewnie teraz nie będziesz chciał ode mnie prezentu na urodziny: miałam przyjechać do Ciebie i zostać przez tydzień. (Byłbyś ze mnie dumny. Naprawdę OSZCZĘDZIŁAM pieniądze na lot]. Podejrzewam jednak, że byłe dziewczyny i obecne dziewczyny nie pasują do siebie! Dam Ci coś innego, a pieniądze przeznaczę na wakacje na Karaibach. Nigdy tam nie byłam i to świetny pretekst, by popisywać się tatuażem (który zaczął się paprać — hmm, jak miło).

OSIEMDZIESIĄT SIEDEM

Natychmiast odpisałem na e-mail od Elaine, by poinformować ją, że bardzo czekam na jej wizytę i nie chcę słyszeć o odmowie. Początkowo nie była przekonana, że to dobry pomysł, ale nalegałem i zapewniłem ją, że wszystko będzie dobrze pod warunkiem, że nadal wolałaby prasować moje ubrania, a nie je drzeć. Dla mnie Elaine nie była tylko byłą dziewczyną i przyjaciółką — zabrzmiałoby to zbyt idealistyczne — ale wręcz rodziną.

OSIEMDZIESIĄT OSIEM

Po tym zakupowym szale przyszedł sobotni wieczór. Szedłem do Gershwin i Zoe w jaskrawoczerwonej bluzie z kapturem, którą Ginny kupiła mi tamtego popołudnia. Nie było jej ze mną. Kiedy wróciliśmy do domu, powiedziała, że chce spędzić trochę czasu sama, żeby się zastanowić, jak zerwać z Ianem. Rozumiałem, więc zadzwoniłem do Gershwin i Zoe, by spytać, co u nich, i zaprosili mnie na zarcie na wynos i wideo.

— Masz tu kawę — oświadczyła niezmiernie podniecona Zoe, ciągnąc mnie do salonu. — Charlotte śpi. — Pokazała na sufit. — Gershwin jest tam. — Pokazała na swojego męża, który ze zdumioną miną siedział w fotelu. — Chcielibyśmy wiedzieć... — Urwała na widok jego spojrzenia i oklapła.

— Nie jestem aż tak przejęty tym, co się dzieje — powiedział Gershwin. — Przywykłem, Zoe.

— No dobrze — oświadczyła. — Ale ja chcę wiedzieć, co jest między tobą a Ginny. Chcę znać szczegóły, i to natychmiast!

To miło mieć życie uczuciowe warte plotek, a jeszcze milej patrzeć na zaintrygowaną Zoe — jej entuzjazm sprawiał, że cała sprawa wydawała się o wiele bardziej spektakularna, niż była naprawdę. Gdybym opowiedział wszystko Gershwinowi, zlekceważyłby to i może powiedział „och” oraz uniósł brwi, ale dzięki Zoe nasz romans przypominał najważniejszą wiadomość z serwisu informacyjnego.

— Co jest między mną i Ginny? — powtórzyłem bez sensu.

— Tak. — Zoe z zapalem pokiwała głową. — Chcę wiedzieć wszystko.

Pomyślałem, że jej nie powiem, tak dla jaj, ale nigdy w życiu by na to nie pozwoliła.

— No już. — Zazgrzytała zębami. — Gadaj.

— Nie mam pojęcia, co się dzieje — wyjaśniłem. — Nie sądzę, żeby to, co się działo, miało już nazwę. To trochę...

— Dobra, dosyć — przerwał Gershwin. — Wbrew rozsądkowi też jestem zainteresowany tym, co się dzieje. No już, szczegóły. Kiedy, jak, no i przede wszystkim — dlaczego?

— Kiedy? To łatwe. Ostatniego niedzielnego wieczoru, kiedy wszyscy rozjechali się do domów. Jak? To trochę bardziej skomplikowane... Sam nie wiem, jak do tego doszło... Pewnie mógłbym powiedzieć, że pod wpływem chwili, ale wcale nie jestem tego pewien. A dlaczego... Cały czas się nad tym zastanawiam. Zapewne dlatego, że to właśnie ta.

— Co ta? — spytała Zoe.

— Miłość mojego życia, kobieta, której nigdy nie zapomniałem... Ta, z którą zamierzam być, gdy skończę trzydziestkę.

Zoe patrzyła na mnie z niedowierzaniem. Widziałem, że nie wszystko do niej dociera.

— Wyjaśnijmy coś sobie. Uznałeś, że to ta jedyna, mimo że ma chłopaka, a ty za trzy tygodnie wynosisz się z Anglii?

— Słuszna uwaga — zauważył ze śmiechem Gershwin. — Brawo, droga żono. — Zoe popatrzyła na niego wilkiem. — Słuchaj, skarbie, nie powinnaś być aż tak zaskoczona. Przecież zachowują się tak od siedemnastego roku życia. Weszło im w krew. — Urwał. — Chociaż muszę przyznać, że sześć dni z rzędu to wasz rekord.

— Tak jest — potwierdziłem radośnie. — Zdarzyło się krótkotrwałe zauroczenie, kiedy mieliśmy po dwadzieścia dwa lata, i przez dwa weekendy z rzędu byliśmy w pełnej gotowości, ale sześć dni to światowy rekord.

— Tak czy owak, gadają sobie, co chcą, a jutro się rozstaną. On zostanie z Ianem, on wyleci do Australii i wszystko będzie po staremu, dopóki ich ścieżki znowu się nie przetną.

— Dziękuję za ten cynizm, Gershwin. W normalnych okolicznościach bez wątpienia bym się z tobą zgodził, gdyby nie to, że jutro o tej porze Ginny spotka się z osobą oficjalnie znaną jako jej chłopak i wygłosi starannie przygotowaną mowę pożegnalną.

— Spławia Iana? — spytał z niedowierzaniem Gershwin. — Ale ja go lubię. Był bardzo zabawny na moich urodzinach. Przyjaciele Zoé, Davina i Tom, bez przerwy go wychwalali.

— Dzięki — mruknąłem.

— Dajże spokój, Matt. Przecież wiesz, że to idealny materiał na chłopaka. O wiele lepszy niż ty.

Zoe patrzyła na mnie z ciekawością.

— Ponieważ nie znam cię od jedenastego roku życia, Matt, powstrzymam się od lekceważących uwag. Ale widzę pewne luki w twoim planie. Na przykład, co z Australią?

— Jeszcze nie dopracowałem szczegółów, ale nie leczę. Tu, w Anglii, łatwo znajdę pracę. Może nie zarobię tyle, ile w Stanach albo w Australii, ale wystarczy.

— Gdzie dokładnie będziesz mieszkał?

— Nie wiem. — Wzruszyłem ramionami. — Gdziekolwiek. Tego też jeszcze nie omówiliśmy.

— I Ginny już zrywa z Ianem? — zdziwiła się Zoe. Nagle umilkła. — Jest żonaty, prawda?

Próbowałem zaprzeczać.

— Nie kłam, Matt — powiedziała z powagą. Jej zachowanie i ton się zmieniły. Nagle stała się rozdrażniona i niespokojna. — Wszystko do siebie pasuje. Nie mieszkają razem. Spóźnił się na spotkanie z nią w dniu urodzin Gershwin. Gershwin mówił mi, że widują się nieregularnie, co jest dziwne, wzięwszy pod uwagę, od jak dawna są razem. Nie przeszkadzało mu, że wprowadziłeś się do Ginny. W ostatniej chwili odwołał wyjazd na tamto przyjęcie w Londynie.

— Czy Zoé ma rację? — spytał Gershwin. — Czy Ian jest żonaty?

— Tak — wyznałem. — Jest.

I opowiedziałem im wszystko. Nawet mi ulżyło, że ta sprawa wyszła na jaw. Gershwin i Zoe słuchali uważnie, ale widziałem, że Zoe jest coraz bardziej przygnębiona.

— Ma dzieci? — spytała, kiedy skończyłem.

— Tak — przytaknąłem. — Synka.
Nikt nie zareagował.

Atmosfera momentalnie się pogorszyła. Usiłowałem zmienić temat, a Gershwin wyjął z pudełka wypożyczony film i włożył go do magnetowidu. Ledwie przebrnęliśmy przez napisy początkowe, Zoe, która milczała, odkąd zakończyłem zeznania, wyszła z pokoju. Gershwin poszedł za nią i nie było go przez ponad kwadrans. Kiedy wrócił na dół, złapał płaszcz, wręczył mi moją kurtkę i ruszyliśmy w kierunku Kings Arms.

TLR

OSIEMDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

— Pewnie się zastanawiasz, co wstąpiło w Zoe?
Pokiwałem głową.

— Skąd zgadła, że Ian ma romans?
Znowu pokiwałem głową.

— Jest na to uwrażliwiona — ciągnął Gershwin pozbawionym emocji głosem. — Trzy lata temu ja też miałem romans.

Nie mogłem w to uwierzyć. Byłem drużbą na jego weselu. Widziałem, jacy są szczęśliwi.

— Daję ci słowo honoru, Matt, że nigdy nie przestałem kochać Zoe, nawet na sekundę. Wiem, że to nie jest żadne usprawiedliwienie, ale zacząłem w sobie powątpiewać. Brak mi było pewności siebie, nie miałem pojęcia, dokąd zmierzam. Nienawidziłem pracy bardziej niż cegokolwiek. Zoe wciąż powtarzała, że powinienem to rzucić i robić coś, co naprawdę chcę robić, gdy tylko ona wróci do pracy. Mówiła, że jakoś damy sobie radę. Nie wierzyłem — zresztą łatwiej było mi to biernie znosić niż zacząć działać. Wybrałem najprostsze wyjście. Dobrze się dogadywałem z Kay — koleżanką z zarządu w pracy — i jej się zwierzałem. Zostaliśmy kochankami. Trwało to z pół roku.

— Zoe się dowiedziała?

— Nie. Wręcz żałowałem, byłoby mi łatwiej. Skończyłem ten romans. Nie mogłem znieść poczucia winy. Nie mogłem znieść niechęci do samego siebie. Zoe i Charlotte to moja rodzina, a ja je zawiodłem. Matt, Zoe nigdy nie dała mi powodu, bym przestał ją kochać. Do dziś nie mogę uwierzyć, że zrobiłem coś, przez co mogłem je stracić. Zerwałem z Kay i o wszystkim opowiedziałem Zoe. Wiem, że mogłem to ukryć, ale ona na to nie zasłużyła.

— I co potem? — wybełkotałem.

— Rozstaliśmy się.

— Ty i Zoe się rozstaliście? Dlaczego ja nic nie wiem?

— Mieszkałeś wtedy w Londynie. Rzadko się widywaliśmy, a kiedy już, nigdy nie było okazji o tym pogadać. To nie twoja wina. Tak po prostu bywa.

— Słuchaj, tak mi przykro — powiedziałem. — Przepraszam, że nie byłem przy tobie, kiedy przez to wszystko przechodziłaś.

— W porządku — odparł i obdarzył mnie uśmiechem, który miał mi pokazać, że wszystko rozumie, mimo moich problemów z wyrażeniem uczuć. — Przez pięć miesięcy mieszkałem u rodziców. To było okropne, Matt. Zoe przez cały czas płakała, lekarz przepisał jej środki psychotropowe. Prawie ją zniszczyłem. Wolę nie myśleć, jak to wpłynęło na Charlotte. Myślałem, że wszystko stracimy... — Odchrząknął... — Nawet przez sekundę bym jej nie winił, gdyby zażądała rozwodu. Ale ona przez ten cały czas mówiła, jak bardzo mnie kocha. I naprawdę mnie kochała, Matt, naprawdę. Było ciężko, czasem wręcz nie do zniesienia, ale daliśmy sobie radę. Ocaliła nasz związek. Ocaliła mnie.

— I teraz jest dobrze?

Gershwin wzruszył ramionami.

— I tak, i nie. Czasem jest tak, jakby to się nigdy nie stało, a czasem, jakby wydarzyło się wczoraj.

— Nie wiem, co powiedzieć. Naprawdę nie wiem.

— Nie ma co gadać. Wpakowałem się w tarapaty. To wszystko moja wina — zawiodłem sam siebie.

TLR

DZIEWIĘĆDZIESIĄT

— Słuchaj, Matt — powiedział Gershwin mniej więcej za kwadrans dziesiąta. — Robi się późno, wracam do domu.

— Tak, jasne. — Włożyłem kurtkę. — Do domu.

— No dobra — oznajmił, gdy znaleźliśmy się na ulicy. — Idę. — Popatrzył na mnie. — Dzięki.

— Za co?

— Za bycie dobrym kumplem.

— Nawzajem. Dasz sobie radę?

— No pewnie — mruknął. — Ale co tam ja, czy ty dasz sobie radę? Wiem, że żartowałem z tego, co łączy ciebie i Ginny, ale domyślam się, ile ona dla ciebie znaczy. Trzymam kciuki. Mam nadzieję, że się ułoży.

— Dzięki — odparłem. — Cokolwiek się stanie, nic mi nie będzie.

DZIEWIĘCDZIESIĄT JEDEN

W drodze powrotnej do Ginny kręciło mi się w głowie od rewelacji Gershwin. Usiłowałem sobie wytłumaczyć, że taki szok to idiotyzm, skoro historia cywilizacji pełna jest wydarzeń, które wydawały się całkiem nieprawdopodobne. A jednak naprawdę byłem zdumiony, że Gershwin zdradził Zoe, że Ginny spotyka się z żonatym facetem, że Elliot zginął. Zdarza się, czy ci się to podoba, czy nie, a im jesteś starszy, tym częściej takie rzeczy mają miejsce. Jednak jako życiowa lekcja wydawało się to nieco zbyt oczywiste, wręcz dziecinnie dydaktyczne.

Gdy dotarłem do Ginny, czułem się jak mieszkaniec innego świata. Szedłem przez życie, oczekując tego, co każdy — zadowalającej pracy z przyzwoitą pensją, dobrych przyjaciół, ładnego domu, porządnego związku — ale cóż to jest poza fantazjami, które spełniają się nielicznej grupie ludzi? Dorastając razem z Gershwinem, Ginny, Elliotem, Bev, Katriną i Pete'em, zawsze wierzyłem, że nasze życie potoczy się podobnie, że osiągniemy to samo, że zawsze będziemy sobie równi. Myliłem się. Wszystko okazało się przypadkowe: mama Ginny umarła, Pete się rozwiódł, Katrina nie zrobiła kariery, Bev dowiedziała się, że nie urodzi dzieci, Gershwin czuł się nieszczęśliwy. Nasze doświadczenia nie były uniwersalne: każdy sam musiał stawić czoło swojemu losowi. A kiedy popatrzyłem na własne życie, kiedy pomyślałem o Ginny i sobie, zrozumiałem w końcu, dlaczego raz za razem do siebie wracamy. To była tęsknota za dawnymi czasami — i tyle. Chcieliśmy, żeby wszystko zostało takie jak kiedyś, bo nie podobał

nam się realny świat. Żadne z nas nie uświadomiło sobie, że nawet przeszłość jest już całkiem inna.

Jeśli informacja o romansie Gershwina czegokolwiek dowodziła, to właśnie tego: żadne z nas nie jest już tym samym człowiekiem co kiedyś. Każdy poszedł własną drogą, doświadczył innych rzeczy. Tak bardzo oddaliliśmy się od siebie, że nic już nie mogło być takie jak dawniej. Ginny chciała zmienić dla mnie swoje życie, ale zaufała takiemu mnie, który istniał wyłącznie w jej wyobraźni. Nie byłem już tą osobą, którą znała wiele lat wcześniej.

TLR

DZIEWIĘĆDZIESIĄT DWA

Było kilka minut po jedenastej, kiedy podszedłem do Ginny. Wyglądała na zmęczoną, ale wciąż siedziała na sofie, z Larrym i Sandersem, oglądając telewizję przy dźwięku tak ściszym, że prawdopodobnie nic nie słyszała.

— Cześć — powiedziała.

— Cześć — odparłem w progu. Podszedłem i ją cmoknąłem. Zupełnie nie wiedziałem, jak powiem to, co trzeba powiedzieć. — Dlaczego jeszcze nie śpisz? Wyglądasz na padniętą.

— Dzięki.

— Przecież wiesz, o co mi chodzi.
Roześmiała się.

— Tak, jestem zmęczona, ale chciałam na ciebie poczekać. Usiadłem obok niej. Larry i Sanders zeskoczyli na podłogę i zniknęli w kuchni. Przemknęło mi przez głowę, że być może koty mają szósty zmysł i potrafią wyczuć nadciągające kłopoty.

— Tęskniłam dziś za tobą. — Ginny objęła mnie w pasie i przyciągnęła do siebie.

Popatrzyłem na nią i znów ją pocałowałem. Przez krótką chwilę byłem przekonany, że się mylę. Była mi przeznaczona. To ta jedyna. Siedziałem tu z nią, czułem się tak dobrze, jak mogłoby być inaczej?

— Co tam u Gershwinia i Zoe? — zapytała.

Myśl o Gershwini i Zoe sprowadziła mnie na ziemię.

— W porządku — skłamałem.

— Co robiliście?

— Nic wielkiego.

— Jak się miewa Charlotte?

— Spała.

— Jedliście? Jeśli chcesz, zrobię ci coś do jedzenia.

— Jedliśmy.

Zapadła długa cisza. Ginny zabrała ręce z mojej talii i usiadła wyprostowana.

— Powiesz mi, co się dzieje? — spytała cicho. Popatrzyłem na nią, ale nie byłem w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Wyglądała pięknie. Naprawdę. Nie mogłem uwierzyć, że chcę z nią zerwać. A teraz siedziałem tu, wykorzystując najstarszą sztuczkę świata — ponury, wstrętny facet — żeby wszystko się skończyło. Nie mogłem w to uwierzyć.

— Nic się nie dzieje — warknąłem.

— Owszem, dzieje się.

Wzruszyłem ramionami, milcząc.

— Czekam, Matt.

— Na co?

— Żebyś powiedział, co ci jest. Spędziliśmy dzisiaj miły dzień. Tak dobrze nam było. Wychodząc, zachowywałeś się normalnie. Co się zmieniło?

Zamknąłem oczy, wzdychając. Usiłowałem zebrać siły.

Przypomniałem sobie, że nic z tego nie będzie.

Przypomniałem sobie, dlaczego nie mam prawa w taki sposób wkraczać w jej życie.

Przypomniałem sobie, że zasłużyła na coś lepszego, a ja nie mogę jej tego ofiarować.

W końcu powiedziałem to, co należało powiedzieć.

— Posłuchaj. — Celowo unikałem jej spojrzenia. Nie mogłem na nią patrzeć. Zabrakło mi na to sił. — Nie sądzę, żeby się nam udało.

— Dlaczego? — zapytała ostrożnie. — Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie?

— Nie wiem... To dlatego... Nie myślę teraz logicznie... Nie mam prawa tak mieszać w twoim życiu... Nie chodzi o ciebie i o mnie teraz, tylko o tęsknotę za przeszłością... O poczucie bezpieczeństwa, jeśli wolisz. Wiesz o tym równie dobrze jak ja, Ginny. Musisz wiedzieć. Jak mogliśmy rozsądnie myśleć i podejmować tak ważne życiowe decyzje po sześciu dniach? Nie

mogę cię prosić o zerwanie z Ianem ze względu na nasz przelotny romans. Powinnaś z nim zerwać dlatego, że tego chcesz. Już nie jesteśmy nastolatkami. Nie wolno nam robić takich rzeczy.

— Masz rację — powiedziała w końcu Ginny. Jej głos był cichy, opamnowany i trzeźwy. — Nic by z tego nie wyszło.

— Nie — szepnąłem. — To nie mnie brakuje w twoim życiu.

Cisza.

— Przepraszam — dodałem. — Naprawdę bardzo przepraszam.

— - Ja też przepraszam. — Wstała. — Ale mimo to będzie lepiej, jeśli odejdiesz. Tym razem na dobre.

I w parę minut było już po wszystkim. Kiedy zniknąłem na górze, by zabrać swoje rzeczy, ogarnęło mnie takie samo przygnębiające odrętwienie jak podczas rozstania z Elaine. Teraz jednak nie przejmowałem się tym. Nie wpadłem w panikę, że tracę duszę. Zaakceptowałem swoją nową moc, dzięki której się nie rozpadłem. Będzie dobrze, powtarzałem sobie. Cokolwiek się stanie, dam sobie radę.

DZIEWIĘĆDZIESIĄT TRZY

Ku zdumieniu rodziców znów się do nich wprowadziłem i dwa tygodnie minęły zupełnie spokojnie. Ginny nie próbowała się ze mną kontaktować, pewnie dlatego, że nie miała po co. I chociaż ja sam setki razy rozważałem zadzwonienie do niej, zawsze rezygnowałem. Od przyjazdu do Birmingham zdążyłem odnowić naszą przyjaźń, zakochać się w Ginny, rozkochać ją w sobie, schrzanić jej związek z Ianem (choć i bez tego był maksymalnie pochrzaniony) i się z nią rozstać. Uznałem zatem, że najlepsze, co mogę teraz zrobić, to trzymać się od niej z daleka. Tak właśnie zrobiłem i życie było mniej więcej takie jak na początku, prawie trzy miesiące temu. Wprowadziłem się do swojego dawnego pokoju, rodzice regularnie doprowadzali mnie do szaleństwa i czasem chodziłem na zakupy do supermarketu w dniach, w których Ginny na pewno była w pracy. Kolejne napotkane osoby ze szkoły: Adele Farley (dawniej zapowiadała się na taką, która najprawdopodobniej pokaże majtki za paczkę chrupek; obecnie była zastępcą kierownika towarzystwa budowlanego i matką dwójki dzieci) oraz Bridget Gibbons (dawniej zapowiadała się na taką, która wciśnie ci egzemplarz „Socialist Worker” na boisku; obecnie udzielała się w Partii Pracy, zbierając na nią fundusze). Często spotykałem się z Gershwinem i Zoe. Początkowo było to trudne, bo nie mogłem wyrzucić z głowy myśli, że kiedyś się rozstali. Jednak im częściej ich widywałem, tym bardziej zdawałem sobie sprawę, że nie tylko są dla siebie stworzeni, ale mimo wszystko nadal się kochają. Ta świadomość podnosiła mnie na duchu.

Sprawy się skomplikowały, gdy zaczęliśmy planować moje urodziny. Bez Ginny ściąganie tu Bev, Katriny i Pete'a wydawało się bezcelowe.

Mimo protestów Gershwin kazałem mu zadzwonić do Bev i reszty i odwołać niespodziankę, którą zaplanowali. Podobnie jak wcześniej Gershwin, odrzucałem wszelkie propozycje — weekend w Londynie (pomysł Gershwin), przejażdżka czterokołowcami po Południowej Walii (Zoe) — i postanowiłem iść do Kings Arms. Nie chciałem żadnego zamieszania. Nie chciałem też mnóstwa gości, marzyłem, by mieć to wreszcie z głowy.

Z przyjemnością bym przyznał, że ten typowy dla trzydziestolatków stoicyzm sprawdził się przez te dwa tygodnie z dala od Ginny. Z przyjemnością bym przyznał, że przez cały czas panowałem nad sobą i radziłem sobie z bólem spowodowanym utratą ewentualnej miłości mojego życia, i do pewnego stopnia tak było. Czasem jednak, najczęściej późno w nocy, pozwalałem sobie na myślenie o niej i wtedy uświadamiałem sobie, że chociaż na zewnątrz tego nie widać, w środku bez wątpienia się rozpadam.

Czułem się bez niej zagubiony.

Naprawdę.

Ocaliło mnie przybycie Elaine.

DZIEWIĘĆDZIESIĄT CZTERY

— Matt! — wrzasnęła Elaine co sił w płucach, w chwili, gdy mnie ujrzała. — Tutaj!

Wszyscy pasażerowie zmierzający do sali przylotów popatrzyli na nią, jakby była stuknięta. Gdy tylko minęła bramkę, odbiegła od wózka z bagażem i rzuciła się na mnie, obsypując mnie pocałunkami.

— To dopiero powitanie — powiedziałem, gdy skończyła. Nagle wydała się zawstydzona.

— To chyba nieodpowiednie zachowanie — była dziewczyna nie powinna obściskiwać swojego byłego, obecnie zajętego chłopaka.

— Nie jest nieodpowiednie — odparłem. — Wcale nie.

— O co chodzi? — spytała. — Daję słowo, że nie będę była dziewczyną w potrzebie przez cały swój pobyt. — Zaśmiała się. — Będę była dziewczyną w potrzebie przez pięć minut. — Popatrzyła na zegarek i znów mnie wyściskała. — No co, mam jeszcze co najmniej dwie minuty.

— Posłuchaj, dobrze cię widzieć, naprawdę. Tylko nie powiedziałem ci wszystkiego.

— Nie ma tu Ginny, prawda? — Elaine zrobiła dziwną minę. — Czyżbym fatalnie zaczęła naszą znajomość?

Nie napisałem do Elaine o tym, co zaszło między mną i Ginny z kilku ważnych powodów. Po pierwsze, nie powinna myśleć, że jej przyjazd do Anglii ma coś wspólnego z naszym rozstaniem. Po drugie, nie miałem ochoty o tym rozmawiać. Po trzecie, czułem, że jeśli zacznę wnikać w szczegóły, Elaine odkryje, jaki jestem głupi.

— Nie. Posłuchaj, nie ma jej tu, bo... — zająknąłem się. — Nie jesteśmy już ze sobą.

— Ale minęły dopiero trzy tygodnie, prawda?

— To się zdarzyło jakiś czas temu. Sześć dni po tym, jak się zaczęło, ściślej biorąc. Przepraszam, że nie pisałem. — Byłem zmuszony wybrać jedną z wymówek. — Chyba to ignorowałem.

— Sześć dni, Matt — powiedziała Elaine. — Sądziłam, że ta kobieta to miłość twojego życia. Kobieta idealna i tak dalej.

— W tym problem — przyznałem. — Jeśli nadajesz czemuś aż taką wartość, z pewnością coś schrzanisz.

Elaine popatrzyła na mnie pytająco.

— Przez co zerwaliście?

— Nic wielkiego. Po prostu miałem przebłysk spowodowanego nadchodzącą trzydziestką zrozumienia i uświadomiłem sobie, że biegam za marzeniem, które nie ma prawa się ziścić. Powiedziałem jej, że moim zdaniem nic z tego nie będzie, zgodziła się ze mną, a potem kazała mi się wyprowadzić.

— Niech zgadnę, co się później stało — mruknęła Elaine. — Zamilkłeś, jak zawsze w takich sytuacjach, i powiedziałeś „dobra”, tak lekko, jakby

chwilę wcześniej ktoś cię zapytał, czy masz ochotę na piwo. Potem spakowałeś się i wyszedłeś. — Zadowolona wyszczerzyła zęby. — Mam rację?

Uśmiechnąłem się półgębkiem i nic nie odpowiedziałem.

— Nie da się tego uratować?

— Nie. To koniec.

— Ale myślałam, że dla niej chcesz rzucić nową pracę.

— To tylko takie gadanie — odparłem. — W tym oboje byliśmy dobrzy. — Umilkłem. — Tak czy siak, nie rozmawiajmy już o tym, to mnie przygnębia. — Wziąłem ją za rękę. — Przyjechała do mnie moja była dziewczyna Elaine, która teraz jest tylko platonyczną przyjaciółką...

— To prawda.

— A moja trzydziestka będzie za niespełna tydzień.

— To też prawda.

— Ale dotąd nigdy nie byłaś w Anglii, nie mówiąc już o Birmingham.

— Za to widziałam *EastEnders*.

— Proponuję wobec tego, żebyśmy cieszyli się twoim pobytem, zanim wyjedziesz.

DZIEWIĘCDZIESIĄT PIĘĆ

Przez następne pięć dni Elaine i ja świetnie się bawiliśmy. Zamieszkała w dawnym pokoju mojej siostry, kazano jej czuć się jak u siebie w domu. I naprawdę tak się czuła. Ponieważ była również gościem rodziców, nie tylko moim, uparli się, żeby zabrać nas we wszystkie te miejsca, które musiałem odwiedzić z nimi po powrocie, czyli pojechaliśmy do Stratford-upon-Avon (gdzie Elaine uparła się pozować do zdjęć z moimi rodzicami przed wszystkimi obiektami ze „starego kraju”, żeby pokazać zdjęcia w pracy), poszliśmy do ogrodu botanicznego (gdzie mój tata znowu gadał o tamtym gwarku) i nawet bez kłótni dotarliśmy na wzgórze Malvern.

To wszystko było zasługą Elaine. Rodzice ją uwielbiali. Nawet odmowa pomocy w kuchni obróciła się na jej korzyść. Moja mama oświadczyła, że nowoczesne kobiety nie mają czasu gotować i że na pewno rozstaliśmy się przeze mnie, bo sądząc po bałaganie w moim pokoju, nigdy nie pomagałem Elaine w porządkach.

Gershwin i Zoe przepadali za Elaine. Drugiego dnia jej pobytu poszliśmy do nich na kolację i po półgodzinnej rozmowie żartowała sobie z Zoe jak ze starą przyjaciółką. Nawet Charlotte, z którą całkiem nieźle się dogadywałem, natychmiast przyłgnęła do Elaine.

Później pokazałem Elaine wszystkie najważniejsze miejsca dla mojego rozwoju: starą podstawówkę, miejsce na boisku, na którym złamałem rękę podczas gry w piłkę; Kings Arms i ledwie trzymającą się ściany tapetę; nawet Safewaya i alejkę z trunkami. Nie była zirytowana, kiedy zaledwie po

pięciu minutach wpadliśmy na moich szkolnych kolegów: Jeza Morrisa (dawniej zapowiadało się na to, że nie zda egzaminów, obecnie był aktorem na pół etatu i modelem) i Mel Langer (dawniej zapowiadała się na aktorkę; obecnie była dziennikarką telewizyjną).

— Wiesz co? — odezwała się Elaine, gdy wyszliśmy z Safewaya obładowani zakupami dla mamy. — Masz tu przyjazne środowisko.

— Nie nazwałbym wpadania na dawnych znajomych w supermarkecie punktem zwrotnym swojej kariery.

— Nie o tym mówię.

— Wiem.

— Pomyśl tylko: kiedy wychodzę w Nowym Jorku, nigdy nie spotykam znajomych.

— Spotykałabyś, gdybyś wróciła na Brooklyn.

— Ale tam nie wrócę. O to mi właśnie chodzi. — Umilkła. — Właściwie nie mam pojęcia, po co w ogóle stąd wyjechałeś. Przecież najwyraźniej kochasz to miasto.

— Wiesz co? — powiedziałem, kiedy dotarliśmy do smażalni frytek na głównej ulicy. — Ja też nie mam pojęcia. Ale tak robisz, kiedy przybywa ci lat — pakujesz rzeczy i ruszasz przed siebie.

DZIEWIĘCDZIESIĄT SZEŚĆ

W przeddzień moich trzydziestych urodzin Elaine i ja poszliśmy na kolację z moimi rodzicami. Tym razem bez protestów pozwolili mi zapłacić. Tata musiał chyba zauważyć zdumienie na mojej twarzy, bo powiedział:

— Masz prawie trzydzieści lat. Sam możesz zacząć płacić za niektóre rzeczy, cholera jasna.

Wróciliśmy do domu tuż po dziesiątej. Rodzice poszli do łóżka, zostawiając mnie i Elaine przed telewizorem. Wkrótce zasnęliśmy na sofie. Kiedy się obudziłem, Elaine drzemała na mojej piersi. Było jak kiedyś.

— Elaine — wyszeptałem, usiłując ją poruszyć. — Elaine. Otworzyła oczy i ziewnęła.

— Zasnęliśmy.

— Wiem — powiedziałem. — Czy to oznaka starzenia się? Kiedy byłem dzieckiem, mój tata zawsze zasypiał przed telewizorem.

— Nie. Nie sądzę, żebyśmy się starzeli. Nie wiem, jakie ty masz wytłumaczenie, ale ciągle odczuwam skutki zmiany czasu — mruknęła.

— Tak czy siak, idę spać.

— Która jest?

Zerknąłem na wyświetlacz na magnetowidzie.

— Dziesięć po pierwszej.

Elaine zmarszczyła czoło, udając, że intensywnie myśli.

— Czyli są twoje urodziny.

— Co? Chodzi o to, że właściwie jest już sobota?

Przeciągnęła się i usiadła.

— Nie, w tym sensie, że urodziłeś się za piętnaście pierwsza w nocy. Od dwudziestu pięciu minut masz trzydzieści lat.

— Wcale nie urodziłem się za piętnaście pierwsza w nocy — powiedziałem z oburzeniem.

— A o której?

— Nie wiem.

— No to skąd wiesz, że nie urodziłeś się za piętnaście pierwsza?

Tu mnie miała.

— A ty skąd wiesz?

— Dowiedziałam się od kobiety, która cię urodziła. Przez chwilę zastanawiałem się nad jej słowami.

— To już mam trzydzieści lat?

Elaine z uśmiechem pocałowała mnie w policzek.

— Wszystkiego najlepszego. — Umilkła i popatrzyła mi w oczy. —
Matt?

— Tak?

— Czy mogłabym dziś z tobą spać?
Popatrzyłem na nią zaskoczony.

— Skąd ten pomysł?
Elaine westchnęła ciężko.

— Nie „spać z tobą”. Spać z tobą, ale spać — czyli tak, jak śpią dwie nieprzytomne osoby w tym samym czasie w tym samym łóżku.

— A po co? — zapytałem ostrożnie.

— Bo... — Popatrzyła w bok. Chyba nigdy dotąd nie widziałem jej tak zakłopotanej. — Bo tego brakuje mi najbardziej.

Nie mogłem odmówić i wcale nie chciałem. Wobec tego wspólnie umyliśmy zęby w łazience, tak jak kiedyś, rozebraliśmy się (nalegała, że włoży piżamę, którą dała mi mama, więc spałem w bokserkach) i położyliśmy w moim jednoosobowym łóżku. Dziesięć minut później Elaine smacznie spała, a ja musiałem borykać się z myślą, że mam trzydzieści lat. Zamiast dać się porwać strumieniowi świadomości, rozpisałem całe zagadnienia na pytania i odpowiedzi, mniej więcej takie:

Pytanie: Czy czegoś żałuję?

Odpowiedź: Podejrzewam, że równie dobrze można by zapytać, czy rozsądnie spędziłem lata między dwudziestką a trzydziestką, czy też je zmarnowałem? Właściwie, podobnie jak Edith Piaf, niczego nie żałuję, jeśli chodzi o spędzanie tamtego czasu. Czy gdybym go odzyskał, zrobiłbym wszystko inaczej? Bardzo wątpię. Żałuję też trochę, że nieco sobie odpuści-

łem z ciałem. Gdybym odzyskał te dziesięć lat, pewnie powiedziałbym: „Jedz więcej, pij więcej, dopóki masz niezły metabolizm, bo za dziesięć lat ludzie w twoim wieku będą pękali ze śmiechu, kiedy spróbujesz kupić jakieś nowe ubranie”. A także — to się zamienia w długą listę jak na kogoś, kto jeszcze chwilę wcześniej niczego nie żałował — żałuję, że nie byłem miłszy dla rodziców. Mimo wszystkich moich narzekań, podejrzewam, że mają więcej rozumu, niż mi się wydaje. Ale do rzeczy — coraz trudniej mi to przychodzi — czy żałuję czegoś jeszcze? Tak, wielu rzeczy: że pożyczyłem Stephenowi Cooperowi swój album *Meat is Mur der* w idealnym stanie i nigdy więcej go nie zobaczyłem; że mój dwudziestoczworogodzinny romanś z Liz Ward-Smith zaczął się, kiedy powiedziałem jej, że ją kocham, a skończył czternaście godzin później; że nie nauczyłem się francuskiego (sam nie wiem czemu, po prostu czuję, że powinienem go znać). Ta lista nie ma końca.

Pytanie: Czego żałuję najbardziej?

Ginny.

Pytanie: Czy czuję, że moja młodość się skończyła?

W zasadzie odpowiedź brzmi nie. Ale tak naprawdę i tak, i nie. W wieku trzydziestu lat uświadamiam sobie, że ludzie, którzy mają po dwadzieścia parę lat, popatrzą na mnie i od razu będą wiedzieli, że nie jestem jednym z nich. Jeśli rozpocznę z nimi rozmowę, nie spytają, gdzie studiuję, jaką muzykę lubię, bo bez wątpienia będę słuchał muzyki z pogranicza dwóch światów, ani nie spytają mnie, do jakich klubów chodzę, bo jestem z pogranicza. Nie będą chcieli się ze mną przyjaźnić — kto pragnie, żeby włóczył się z nim żywy dowód na to, że starość, śmierć i utrata włosów czają się tuż za rogiem? I po co ja miałbym włóczyć się z ludźmi, którzy nieuchronnie próbowaliby zmusić mnie do długich, pokręconych, bezsensownych filozoficznych rozmów o życiu, jakie sam prowadziłem dziesięć

lat temu? To, jak wszystko inne, jest czymś, co muszę zaakceptować. I wiem, że mogę z tym żyć.

Pytanie: Kto lub co sprawiłoby, że poczułbym się lepiej?

Ginny.

Pytanie: Czy czuję się starzej?

Odpowiedź raz jeszcze brzmi: „Tak, ale...” Z drugiej strony zdaję sobie sprawę, że życie nie zawsze jest takie, jakiego się pragnie, na co człowiek rzadko zwraca uwagę w wieku dwudziestu lat. A żartobliwiej: wiem, że maszynka higieniczna remington będzie częścią mojej przyszłości. (Może mi ktoś wyjaśnić ewolucyjny cel nagłego wyrastania zbyt długich włosów w nosie?) Tak czy siak, jestem jeszcze lata świetlne od ślubów i dwójki lub czwórki dzieci, ale mam też świadomość, że kredyt hipoteczny płacze się gdzieś w pobliżu. W skrócie, nie pragnę być znowu bezsensownie młody, co nie oznacza, że zacznę zachowywać się, jakby moje życie dobiegło końca. I nie mam zamiaru być czterdziestoparoletnim gościem z kabrioletem, apartamentem w Londynie oraz strumieniem osiemnastoletnich przyjaciółek i bez chęci ustatkowania się. To by mnie tylko przygnębiło.

Pytanie: Z kim lub z czym chciałbym spędzić resztę życia? Kto może mnie ocalić od zostania czterdziestoparoletnim gościem z kabrioletem, apartamentem w Londynie oraz strumieniem osiemnastoletnich przyjaciółek i bez chęci ustatkowania się?

Ginny.

MOJE TRZYDZIESTE URODZINY

Data: 31 marca

Dni do trzydziestych urodzin: 0

Psychika: ?

TLR

DZIEWIĘĆDZIESIĄT SIEDEM

— Dzień dobry, jubilate!

Z niepokojem otworzyłem oczy i ujrzałem rozradowaną twarz Elaine centymetr od swojej twarzy.

— Dzień dobry, wariatko — westchnąłem. — Czy tak się budzi człowieka w dniu jego trzydziestych urodzin? W moim stanie mogłem dostać ataku serca czy coś. — Przetarłem oczy. — Która godzina?

— Szósta rano — powiedziała ze skruchą, pokazując mi budzik na podłodze.

— Po co obudziłaś mnie o szóstej rano? — zapytałem. — Przecież nawet ty nie możesz mieć takich problemów po podróży.

— Byłam zbyt podniecona. — Nadal promieniała. Popatrzyłem na nią z uśmiechem. Cieszyłem się, że tu jest.

Jeśli ktokolwiek mógł sprawić, że ten dzień da się znieść, to tylko ona.

— Chcę od razu wręczyć ci prezenty — ciągnęła — bo muszę wśliznąć się do swojego pokoju, zanim twoja mama odkryje, że nie spałam u siebie.

— Masz rację — przyznałem. — To by jej tylko namieszało w głowie. — Przypomniałem sobie, co przed chwilą powiedziała. — Prezenty? —

powtórzyłem. — Chcesz mi dać prezenty? Myślałem, że twój przyjazd na moje trzydzieste urodziny to prezent.

Popatrzyła na mnie z zakłopotaniem.

— Nie mogłam się powstrzymać. Nie wydałam zbyt dużo, ale chciałam ci podarować parę rzeczy, które naprawdę ci się spodobają. — Podniosła wielką torbę, która nagle objawiła się obok łóżka, i mi ją podała. W środku zobaczyłem kilka starannie zapakowanych paczuszek.

— To wszystko dla mnie?

— Nie — odparła z szerokim uśmiechem. — Postanowiłam cię podreźczyć, dla zabawy.

— Co to takiego?
Westchnęła głośno.

— Myślisz, że po to zawracałam sobie głowę pakowaniem, żeby ci teraz powiedzieć, co to takiego? Otwórz, sam się dowiesz.

Dziesięć sekund później, szeleszcząc gustownym papierem, sam się przekonałem. Była to figurka generała Ursusa z *Planety małp* („Wyglądał świetnie z tym karabinem i małpią twarzą, wiedziałam, że musisz go mieć”); nagrana na kasetę książka *Mniej uczęszczana droga* („Doszłam do wniosku, że może ci się przydać w obecnej sytuacji”); kilka płyt kompaktowych („Pokazałam facetowi w Tower Record listę tych zawodzących i smędnących pieśniarek, uznał, że to ci się spodoba”) i na koniec nasze zdjęcie, zrobione przez Sarę. Leżymy na Piekielnej Sofie, jedząc wielką paczkę chrupek o smaku tortilli („Chyba wyglądamy na tym zdjęciu na szczęśliwych. Jak prawdziwi przyjaciele. Powinniśmy o tym zawsze pamiętać”).

— Nie wiem, co powiedzieć. — Objąłem ją ramieniem. — To nie tylko pierwsze prezenty, jakie dostałem na trzydziestkę, ale bez wątpienia najlepsze. — Ucałowałem ją czule. — Dzięki. Są genialne.

— Proszę bardzo — powiedziała. Odwzajemniła mój pocałunek i wysłiznęła się z łóżka. — Chyba już pójdę.

Stała przede mną, drobna, w mojej piżamie, z pomalowanymi paznokciami ledwie wystającymi spod nogawek. Pomyślałem, że wygląda uroczo. Doskonale. Dlaczego przestała mi się podobać? Dlaczego ja przestałem się jej podobać? Perwersyjna natura ludzkiego pożądania jest, no... perwersyjna.

— Dam ci dziesięć dolarów, jeśli powiesz, o czym myślisz — oświadczyła. — O czym myślałeś, facet?

Powiedziała „facet” dokładnie tak samo jak Keanu Reeves w *Bill and Ted's Excellent Adventure*. Bardzo dobrze naśladowała Keanu Reevesa.

— Kiedy? — zapytałem, żeby się wymigać.

— Przed chwilą, kiedy wstałam z łóżka.

— O niczym.

— Kłamca.

— Nieprawda.

— Kłamca do kwadratu.

— No dobra. — Roześmiałem się. — Masz rację. Myślałem o czymś. — Doszedłem do wniosku, że nie powiem jej, że już mi się nie podoba, i

zdecydowałem się zdradzić refleksję, która nadeszła tuż po chwili. — Myślałem o tym, że gdzieś jest jakiś facet, który w pewnym momencie się w tobie zakocha. I o tym, jak go uszczęśliwisz.

— To miły facet?

— Bardzo miły.

— Będę go kochała?

— Do szaleństwa.

— Spodoba mu się tatuaż na mojej dupie?

— Będzie go uwielbiał.

— I wiesz to wszystko, patrząc na mnie w twojej piżamie?

— Jasne. — Znów się roześmiałem.

— Wcale nie jesteś taką złą partią, Matthew Beckfordzie — powiedziała, wychodząc z pokoju. — Wcale nie.

DZIEWIĘCDZIESIĄT OSIEM

Był już wczesny wieczór, Elaine i ja siedzieliśmy w salonie przed telewizorem, czekając na Gershwin i Zoe, którzy szli z nami na urodzinowego drinka do Kings Arms. Od ponad osiemnastu godzin oficjalnie byłem trzydziestolatkiem i jak dotąd całkiem dobrze się czułem. Po śniadaniu (największym w całym moim dotychczasowym życiu) rodzice wręczyli mi prezenty (skarpety, mydło, majtki, czekolada), a Elaine i ja wybraliśmy się na spacer po parku. Po lunchu we włoskiej restauracji wróciliśmy do rodziców i siedzieliśmy z nimi w ogrodzie, chwilowo odpoczywając od codziennych obowiązków domowych. Później tego popołudnia Elaine zmusiła mnie, żebym uważnie przyjrzał się sobie w lustrze i sprawdził, czy te urodziny w jakiś sposób zmieniły moje rysy twarzy — robiła to co roku w dniu swoich urodzin (dwudzieste i dwudzieste drugie były w porządku, ale dwudzieste pierwsze były „beznadziejne”).

— Co myślisz o swojej nowej, trzydziestoletniej skórze? — spytała, zerkając mi przez ramię.

Odpowiedziałem jej dopiero po dłuższej chwili, tak mnie zajęło gapienie się w lustro. Rzadko w nie zaglądałem. Od czasu do czasu tak, ale nie aż tak uważnie. Ledwie się poznawałem.

— Czy ja tak wyglądam przez cały czas? — Nie mogłem uwierzyć w to, co widzę.

— Wydajesz się rozczarowany.

— Nie jestem rozczarowany, tylko chyba zdumiony. Człowiek myśli, że wie, jak wygląda, nawet jeśli nigdy nie spogląda w lustro, prawda? — Elaine skinęła głową. — Ja wcale nie przypominam siebie w lustrze.

— Uważam, że jesteś bardzo przystojny — oświadczyła.

— Dzięki — odparłem. — Sama jesteś niezła, ale nie domagam się komplementów. Nie twierdzę, że jestem brzydki — po prostu szokuje mnie, że chodzę po świecie, nie mając pojęcia, jak wyglądam.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

— To Zoe i Gershwin. — Wstałem.

— Wszystkiego najlepszego! — wrzasnęła Zoe, wchodząc do salonu. Pocałowała mnie i przytuliła.

— Dziękuję.

— Ode mnie też — Gershwin uścisnął mi rękę i dodał: — Do kwadrantu. Gotów na wspaniały wieczór w Kings Arms?

— Czyżbyście mieli wątpliwości co do mojego wyboru urodzinowych rozrywek?

— Mam — przyznał. — Jeszcze nie jest za późno na zmianę zdania.

— Nie chcę zmieniać zdania. Miałaś swoje urodziny w Kings Arms, dlaczego ja nie mogę mieć swoich?

— Nie ma wątpliwości, że jestem żalonym sukinsynem, jednak ty, Matt, jesteś istotą towarzyską.

— Nieprawda.

— Jesteś. A przynajmniej byłeś w szkole.
Roześmiałem się.

— Tak, ale minęło dużo czasu, co?

— Zbyt dużo. — Gershwin również zachichotał. — Zdecydowanie zbyt dużo. — Uśmiechnął się do Elaine. — Jak się dzisiaj miewa?

— Całkiem nieźle. Chyba po południu był w dołku, ale jakoś sobie z tym poradził.

— No chodźcie. — Zoe popatrzyła na zegarek. — Tracimy cenny czas, zamiast pić.

Nie mogliśmy wyjść, dopóki Zoe i Gershwin nie przywitają się z mamą i tatą — rodzice zawsze lubili ucinać sobie pogawędki z moimi przyjaciółmi, zwłaszcza z tymi, którzy obdarzyli własnych rodziców wnukami — a kiedy uprzejmości dobiegły końca, wyszliśmy przed dom. Zoe natychmiast ruszyła do samochodu, co mnie zdumiało.

— Prowadzisz? — spytałem.
Skinęła głową.

— A dlaczego nie?

— A „tracimy cenny czas, zamiast pić”?

— Zostawię samochód na parkingu, a do domu wrócimy taksówką.

Popatrzyłem na Gershwina.

— Powiedz swojej żonie, że picie na moich urodzinach jest obowiązkowe, więc nie chcę, żeby mi tłumaczyła: „Och, zmieniłam zdanie co do taksówki — wypiję sok pomarańczowy”.

— Dopilnuję, żeby piła, dobrze? — roześmiał się Gershwin.

— Nie rozumiem, po co w ogóle przyjechaliście samochodem — narzekałem, siadając z tyłu obok Elaine. — Przecież mieszkacie zaledwie piętnaście minut drogi stąd.

— Było strasznie zimno, kiedy wychodziliśmy — wyjaśniła Zoe, uruchamiając silnik. — Może przestaniesz wreszcie jęczeć?

Miałem otworzyć usta, ale Elaine do tego nie dopuściła.

— Ani słowa — powiedziała spokojnie. — Siedź grzecznie i ciesz się jazdą.

DZIEWIĘĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

— No dobra — powiedział Gershwin mniej więcej dziesięć minut później. — Jesteśmy na miejscu.

Zoe zaparkowała, a ja wyrząłem przez okno. Znajdowaliśmy się na jakiejś typowej uliczce w King's Heath.

— Co my tu robimy? — spytałem.
Gershwin mnie zignorował.

— Masz opaskę? — zwrócił się do Elaine.

— Jasne. — Wyciągnęła szalik z torebki.

— Co się dzieje? — zapytałem.

— Trata! — zachichotała Elaine. — Robimy ci niespodziankę.

Popatrzyłem na Gershwina, żeby wyjaśnił mi, co się dzieje.

— Masz pecha — powiedział. — Nie odwołaliśmy twojej niespodzianki, bo tak naprawdę czasem nie wiesz, co jest dla ciebie dobre. Bądź grzecznym chłopcem i pozwól Elaine zawiązać sobie oczy.

— Ale dokąd idziemy?

— Dlaczego zadajesz tyle kretyńskich pytań? — zdumiała się Elaine. — To niespodzianka, nie powiemy ci, dopóki nie zrobimy ci niespodzianki. Na tym one polegają. Pozwól nam działać.

Z przewiazanymi oczami wyszedłem z samochodu i zostałem poprowadzony chodnikiem, co trochę trwało. Potem dotarliśmy na jakieś schodki, mineliśmy — chyba — trawnik — później znów był asfalt. Wszedłem na schodki, następnie znów szliśmy po betonie aż do budynku. Mimo że szalik opasywał też moje uszy, słyszałem muzykę. Wyteżyłem słuch. Były to początkowe takty *Holiday* Madonny. Teraz naprawdę przestałem rozumieć, o co chodzi.

— Możesz rozwiązać szalik, Elaine — powiedział Gershwin.

Posłuchała polecenia, a ja otworzyłem oczy. Nie tylko stałem w sali mojej szkoły średniej; nie tylko otaczali mnie Katrina, Pete, Bev i osobnik, który zapewne był jej mężem; nie tylko profesjonalny didżej grał teraz *Axel F* Harolda Faltermeyera, ale w całej sali, w dużych grupach, małych grupkach i olbrzymich gromadach przy zaimprovizowanym barze w kącie widziałem parę setek absolwentów z mojego roku. Niektóre twarze rozpoznałem natychmiast, po zakupach w Safewayu, innych nie widziałem od czasu, gdy skończyłem szkołę w wieku szesnastu lat. Byli tu reprezentanci całego szkolnego spektrum: ulubieńcy nauczycieli, opryszki, przygłupy, dziwacy, samotnicy, frajerzy, palacze trawy, maniacy depresyjni, klasowe gwiazdy, złote dziewczyny, piękni chłopcy, mózgowcy, sportowcy, drobni przestępcy, cherlaki, świry i, w końcu, trochę normalnych ludzi — czyli wszyscy.

— Nic się nie martw — powiedział ze śmiechem Gershwin.

— To nie jest twoje przyjęcie urodzinowe. To zjazd absolwentów. Ale wszystkiego najlepszego.

— Jak do tego doszło? — spytałem. — Jak to zorganizowaliście? Stałeś w Safewayu z mikrofonem i czekałeś, aż przyjdzie ktoś ze szkoły?

— Nic nie zrobiłem. W każdym razie bardzo niewiele.

— Więc kto to zrobił?

— Zastanów się, Matt — powiedziała Bev.

Zastanowiłem się.

— Chcecie powiedzieć, że Ginny się tym zajęła?

Bev skinęła głową.

— Po tym, jak zorganizowałeś nasze spotkanie, Ginny wpadła na pomysł, że należy się nam przyzwoity zjazd absolwentów. Ponieważ wszyscy skończyli albo wkrótce skończą trzydziestkę, uznaliśmy, że to dobry pomysł.

— Więc zorganizowała zjazd tak, żeby jego termin zbiegał się z twoimi urodzinami — podjęła opowieść Katrina. — Upiekła dwie pieczenie przy jednym ogniu. Zamówiłam didżeja, żeby puszczał muzykę z naszej młodości, Bev, Pete i Katrina ustalili menu, ale to Ginny zajęła się wszystkimi szczegółami. Zarezerwowała aulę, żeby było tu jak na szkolnej dyskotecie, a w dokumentach znalazła adresy i porozsyłała zaproszenia.

— A gdzie ona jest? — Rozejrzałem się po pomieszczeniu. — Tutaj?

— Nie, obawiam się, że nie, stary — odparł Pete. — Powiedziała, że życzy ci wspaniałych urodzin, ale nie ma mowy, żeby przyszła. Nie chciała powiedzieć, dlaczego. Podejrzewam, że ty jednak wiesz.

Wymieniłem spojrzenia z Elaine.

— Posłuchaj, Matt — Gershwin najwyraźniej postanowił mnie rozweselić. — Nic nie zrobisz z tą sprawą między tobą i Ginny. Co się stało, to się nie odstanie. Stuknęła ci dziś trzydziestka, stary. To wyjątkowy zjazd, masz tu ludzi z naszych najlepszych czasów. — Roześmiał się, gdy usłyszeliśmy pierwsze dźwięki *Do You Really Want To Hurt Me?* Culture Club.

— Uwielbiam tę piosenkę — powiedziała Elaine, łapiąc mnie za rękę i usiłując zaciągnąć na parkiet. — Chodź tańczyć. Rozluźnij się!

— Dobrze — odparłem spięty. — Zaraz. Muszę zadzwonić. I kiedy Elaine spędzała wszystkich na parkiet, przeprosiłem i wyszedłem. Wypadłem przed szkołę, znalazłem budkę telefoniczną i zadzwoniłem do Ginny. Serce waliło mi jak młotem, kiedy słuchałem sygnału, myśląc, że Ginny lada chwila podniesie słuchawkę i z nią porozmawiam. Tak się jednak nie stało. Włączyła sekretarkę automatyczną. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie selekcjonuje telefonów. Zostawiłem krótką, szczerą wiadomość: „Przepraszam”. Potem odłożyłem słuchawkę i wróciłem na spotkanie.

STO

Reszty wieczoru nie pamiętam za dobrze, gdyż, zachęcany przez Gershwiną i Pete'a, piłem jeden plastikowy kubek za drugim — - wina, piwa i nawet thunderbirda. Rozluźniony dzięki alkoholowi, wdawałem się w rozmaite rozmowy typu: „Nie wierzę, że to ty” albo: „Nie wierzę, że jesteś taki łyсы”, albo: „Nie wierzę, że nie kiblujesz”. Cudownie było oglądać tych wszystkich ludzi po tylu latach, nawet tych, których wtedy wyjątkowo nie lubiłem, jak Penny Taylor (dawniej dziewczyna najbardziej chętna do bitki ze mną; obecnie graficzka w londyńskich czasopismach) i John Green (dawniej zapowiadał się na kogoś, kto najchętniej zrzuci ci na głowę cyrkiel, dla jaj; obecnie mechanik samochodowy w Coventry). Elaine chyba też świetnie się bawiła. Widziałem, że znakomicie dogaduje się z Katrzną, Bev i jej mężem, i parę razy zauważyłem, jak wariacko zachęca ich do tańca, przy takich hitach lat osiemdziesiątych, jak *Atomic Blonde*, *Pass The Dutchie* Musical Youth i motyw przewodni z *Miami Vice* Jana Hammera.

Właśnie wracałem z ubikacji — Bogu dzięki, wolno nam było korzystać z tych dla personelu — kiedy wpadłem na Katrnię wychodzącą z damskiej łazienki.

— W końcu dobrze się bawisz? — zapytała.

— Tak — odparłem. — A ty?

— Zdecydowanie.

Gdy wracaliśmy na salę, przyszło mi do głowy, że nic nie wiem o jej związku z Pete'em. Nie wspomniała o tym przez cały wieczór, choć traktowali się dość przyjaźnie. Spytałem ją wprost.

— Pamiętasz, że Pete, którego znaleźliśmy, był wymigującym się od pracy, egoistycznym frajerem z obsesją na punkcie science fiction?

— Nie opisałbym go tymi słowami, ale wiem, do czego zmierzasz.

— Teraz wcale taki nie jest. Zawsze podejrzewałam, że to tylko młodzieńcza poza i się nie myliłam. Nowy Pete jest tak uroczy i cudowny, że aż chce mi się płakać. Od tamtego spotkania w weekend albo ja jeżdżę do Manchesteru, albo on przyjeżdża do Stoke. Jesteśmy jak dzieci, śmiejemy się, żartujemy, dzwonimy do siebie trzy razy dziennie, choć nie mamy nic do powiedzenia. No dobrze, przyznaję, że nie jest doskonały — ta idiotyczna obsesja na punkcie science fiction czasem mnie przerasta, zwłaszcza kiedy przez wiele godzin Pete usiłuje mnie przekonać, że trzy ostatnie odcinki *Babylon Five* były najlepsze w historii telewizji — ale to mój najlepszy związek od lat.

— Gratuluję. Naprawdę się cieszę.

— Nie zeslibyśmy się, gdyby nie ty.

— Nie wiem, co odpowiedzieć. Mam nadzieję, że nie próbujesz zwalić na mnie winy.

— Mówiłam ci, że to mój najlepszy związek od lat.

— Jesteś pewna, że to prawdziwy związek?

— Jak to?

— Czy czujesz, że dokądś zmierza, że ma jakiś kierunek... Próbuję cię spytać, czy to nie jest tęsknota za dawnymi czasami? Czy związaliście się ze sobą, bo lubicie się takimi, jakimi teraz jesteście, czy takimi, jakimi byliście? Nie twierdzą, że tak jest. Tylko nie mogłem pozbyć się uczucia, że to wszystko, co łączy mnie i Ginny.

— Rozumiem, że ma to coś wspólnego z jej dzisiejszą nieobecnością.

Niezobowiązująco wzruszyłem ramionami.

— Matt, za dużo myślisz. Związek z Pete'em nie ma nic wspólnego z przeszłością. Przecież wtedy nawet mi się nie podobał. No dobra, może troszkę. Chodzi jednak o to, że jest świetny, doskonale nam się układa i jesteśmy przyjaciółmi. Nie odrzucę go, bo jest częścią mojej przeszłości. To szaleństwo. — Popatrzyła na mnie z prawdziwym znużeniem i zniknęła.

Byłem znowu sam, muzyka pobrzmiwała z oddali, więc postanowiłem przejść się po pogrążonych w półmroku korytarzach. O dziwo, miałem ochotę wstąpić do męskiej toalety, choćby po to, żeby sobie przypomnieć, jak ohydna była. Zdumiałem się, wręcz przeraziłem, że jest dokładnie taka, jak ją zapamiętałem: graffiti na drzwiach, tajemnicze ślady na ścianach i, nad moją głową, dwudziesto- albo trzydziestoletnie kulki z mokrego papieru toaletowego, przyklepione do sufitu. Jednak wszędzie indziej widać było zmiany. Odkryłem, że stara sala do angielskiego to teraz pracownia geograficzna. Dawna pracownia geograficzna na drugim piętrze była teraz pracownią rachunkowości. Pracownia historyczna zamieniła się w pracownię matematyczną, a gdzie zniknęła sala, w której uczyliśmy się religii i muzyki, diabli wiedzą. Skończyłem wycieczkę pod drzwiami pracowni plastycznej i poszukałem sali panny Pascoe. Drzwi były zamknięte, więc zerknąłem do środka, przez wzmocnione szkło. Było wystarczająco dużo światła, że-

bym zobaczył kilka prac uczniów Ginny: obrazów, fryzów i modeli z papier mache. Wyglądały dokładnie tak samo jak za moich czasów.

Kiedy postanowiłem wracać na przyjęcie, usłyszałem skrzypienie ciężkich drzwi prowadzących na główny korytarz. Odwróciłem głowę, a tam, w cieniu, stała Ginny.

— Słyszałam twoją wiadomość — powiedziała.

— Byłaś w domu?

Skinęła głową.

— Miałam podnieść słuchawkę, ale... nie zrobiłam tego.

— Nie wybaczyłaś mi, co?

Zajrzała do pokoju, do którego ja wcześniej zaglądałem. Było jasne, że nie chce jeszcze odpowiadać na to pytanie.

— Pewnie szkoła bardzo się zmieniła, odkąd byłeś tu po raz ostatni — powiedziała.

— Tak — odparłem. — Wszystko się zmieniło.

— Oprócz pracowni plastycznej. — Uśmiechnęła się.

— Chciałabyś, żeby znów byli tu wszyscy razem?

— Chciałabym.

— Nie. Znowu razem, w szkole w szóstej klasie. To były dobre czasy.

— Owszem. — Pokiwała głową.

Zapadła długa cisza, którą przerwały dopiero kroki ludzi mijających drzwi na górze. Najwyraźniej robili sobie wycieczkę po szkole, jak ja przed chwilą.

— Skąd wiedziałaś, że tu będę?

— Katrina widziała, jak odchodzisz. Potem miałam poszukać w sali gimnastycznej.

— Nie zamierzałem tam iść. — Nic mi nie przychodziło do głowy. Chciałem to jakoś wyjaśnić i to natychmiast. — Jak się miewa Ian? — spytałem.

— Nie wiem — odparła. — Już się z nim nie spotykam.

— Co się stało?

— Dobrze wiesz, co się stało, Matt. Ty się stałeś.

— Przepraszam — powiedziałem. — Przepraszam za wszystko. Przepraszam, jeśli cię skrzywdziłem. Nie chciałem. Kiedy mówiłem, że chcę być z tobą, byłem gotów zostać tu i robić, co trzeba, naprawdę.

— Ja też mówiłam poważnie.

— Chodzi o to, że kiedy myślałem o nas, nie potrafiłem zrozumieć, czemu jesteśmy razem. To znaczy, nie o to mi chodzi. Bo... na pewno się pociągamy.

— Na pewno. — Uśmiechnęła się.

— Ale za każdym razem, kiedy się spotykamy, coś nie wychodzi.

— To prawda.

—Naprawdę sądziłem, że tym razem będzie inaczej. Sam nie wiem. Chyba po tym, jak dowiedziałem się o śmierci Elliota i tak dalej, zacząłem inaczej patrzeć na pewne sprawy. Nagle wiedziałem, że nic już nie jest oczywiste.

—Rozumiem — powiedziała. — Czułam to samo po śmierci mamy.

— Chodzi o to, że nie chcę traktować tego, co mnie do ciebie przyciąga, jako czegoś oczywistego. Ale jednocześnie nie chcę tego zepsuć. Jestem zmęczony tym strachem, Ginny. Chcę, żebyśmy spróbowali.

— Wcale nie chcesz — powiedziała. — Nie tak naprawdę. Tylko tak myślisz. Myślisz, że nasz związek rozwiąże wszystkie problemy. Jeśli mam być szczerą ja też tak myślałam. Tak łatwo byłoby nam być ze sobą, Matt, boja naprawdę cię kocham. Ale wiesz równie dobrze jak ja, że to by nie wyszło, gdyż gdzieś z tyłu naszych głów zawsze czaiłaby się myśl, że jesteśmy ze sobą tylko ze strachu przed samotnością.

Chociaż w tamtej chwili ogromnie pragnąłem, żebyśmy byli razem, musiałem przytaknąć. Bałem się samotności.

— To co zrobimy? — spytałem w końcu.

— Zostaniemy przyjaciółmi — odparła.

— Nie sądzisz, że to trochę smutne, że nigdy nie zrobiliśmy tego porządnie? Nie sądzisz, że to smutne, że nigdy się nie dowiemy, czy nasz związek byłby najlepszą rzeczą pod słońcem, czy też...

— Kompletnym koszmarem. — Uśmiechnęła się do mnie.— Zapomniałeś o jednej rzeczy.

— O czym?

— O tym, co już wiemy.

— Czyli?

— Że jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. — Umilkła. — Wracamy na imprezę?

— Jasne.

— Matt?

— Co?

— To zabrzmiało dziwnie, ale...

— Co?

— Katrina mówiła, że jest tu twoja była dziewczyna Elaine.

— I?

— Chciałabym ją poznać.

— Po co?

Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

— Po prostu jestem ciekawa.

DOKŁADNIE ROK PÓŹNIEJ

TLR

Do: crazedelaine@hotmail.com

Od: mattb@c-tec.national.com

Odp: Trzydzieste pierwsze urodziny

Droga Elaine,

po pierwsze, dzięki za kartkę i prezent— kartka urodzinowa ze Snopym była bardzo elegancka, a stojak na wino do samodzielnego montażu to ozdoba mojej kuchni. W Australii żyje się nieźle. Mam fantastyczne mieszkanie (takie czyste, że aż mnie to przeraża. Wczoraj poszedłem spać, zostawiwszy na stole pojemnik po chińskim żarciu, i dziesięć minut później musiałem wstać i wrzucić go do kosza. Tak mi odbija). Co do mojego życia intymnego, o które tak subtelnie zapytujesz („No, co tam stary? Kto Ci gra na flecie?"), obawiam się, że jest dość spokojne. Przez pewien czas widywałem się z dziewczyną z pracy, ale sam nie wiem... Była miła i w ogóle. Ale nie miała tego... czegoś. Chyba jeszcze poszukam. Miło jednak słyszeć, że Twoje życie obfituje w wydarzenia, jak zawsze. Szczerze mówiąc, nie podobał mi się ani ten Harry z reklamy (zbyt pewny siebie], ani muzyk Woody (trzydziestodwulatek, który uważa się za dwudziestodwulatek — jakie to smutne], ale przypadł mi do gustu ten ostatni, Carl, miał kilka zalet (i trochę przypominał mi mnie]. Zbyt obcesowo go potraktowałaś.

Pytałaś, co u Gershwina, Zoe i Charlotte, więc donoszę, że wszystko w porządku. Gershwin w końcu rzucił pracę, zamierza w październiku iść na studia, na historię. Dlaczego na historię? Pojęcia nie mam. Ale oszczędzili trochę pieniędzy, więc wszystko w porządku. Z Charlotte też jest okay. Uwielbia szkołę i bardzo dobrze sobie radzi, ale tęskni za moją sztuką,

czyli puszczeniem bąków grzbietem dłoni. Katrina i Pete, których poznałaś na moich urodzinach, zadzwonili ostatnio, żeby zawiadomić mnie o swoich zaręczynach. Katrina nie chciała się za nic zgodzić, ale Pete jakoś ją przekonał, że to świetny pomysł. Od Katriny wiem, że z Bev też wszystko w porządku, co przypomina mi, że muszę do niej zadzwonić. I w końcu Ginny. Zmieniła szkołę i teraz ma chyba trochę więcej spokoju. Nadal jest sama, chociaż miała krótki romans z facetem z pracy (dzięki Bogu, ten nie był z nikim związany), ale już po wszystkim. Nawet dzwoniła do mnie wczoraj, żeby życzyć mi wszystkiego najlepszego i powiedzieć, że skoro jest samotna, to może odwiedzi mnie na Wielkanoc i sprawdzi, czy ją poznam z jakimiś przystojnymi Australijczykami. Powiedziałem, że zobaczymy. I to — jak mówią — byłoby na tyle. Uważaj na siebie.

Uściski jak zawsze,

Mattxxx

PS. W ostatnim e-mailu prosiłaś o radę wynikającą z mojego trzydziestoletniego doświadczenia, która może Ci się przydać, gdy skończysz dwadzieścia pięć lat. Godzinami łamałem sobie nad tym głowę i wymyśliłem tylko tyle:

- 1) Niczego nie traktuj jako oczywistość, bo gdy to minie, będzie za późno.
- 2) Dbaj o swoich przyjaciół — a oni będą dbali o Ciebie.
- 3) Jedyne w życiu, co z wiekiem przychodzi łatwiej, to zasypianie w trakcie rozmowy.

4) Nigdy nie wprowadzaj się do rodziców — to zawsze kiepski pomysł.

5) I nie chodź do pubów, jeśli nie ma wolnych miejsc siedzących.

Ale ogólnie najważniejszy jest zdrowy rozsądek.

TLR